

Tytuł oryginału
Foe

Copyright © J.M. Coetzee, 1986
By arrangement with Peter Lampack, Inc.
551 Fifth Avenue, Suite 1613
New York, NY 10176-0187 USA

Opracowanie graficzne
Witold Siemaszkiewicz

Fotografia na pierwszej stronie okładki
© Dennis Marsico/CORBIS

Fotografia autora na czwartej stronie okładki
Piotr Wójcik/Agencja Gazeta


Opieka redakcyjna
Dariusz Zukowski

Korekta
Dorota Strojnowska

Łamanie
Irena Jagocha

Copyright © for the translation by Magdalena Konikowska

ISBN 978-83-240-0783-7

 Zamówienia: Dział Handlowy, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Bezpłatna infolinia: 0800-130-082
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: www.znak.com.pl

I

W końcu nie mogłam już dłużej wiosłować. Dłonie miałam całe w pęcherzach, plecy poparzone, ciało obolałe. Z westchnieniem, z cichutkim pluskiem zsunęłam się za burtę. Powolnymi ruchami – moje długie włosy unosiły się wokół mnie, niczym morski kwiat, niczym ukwiał, niczym meduza z gatunku tych, które widuje się w wodach Brazylii – zdążałam ku nieznannej wyspie, zrazu płynąc tak, jak wcześniej wiosłowałam, pod prąd, potem nagle uwolniona z jego uścisku, niesiona falami w głąb zatoki i na plażę.

Tam leżałam rozciągnięta na piasku, głowę wypełniał mi pomarańczowy słoneczny blask, moja halka (jedyne przyodziewek, w jakim uciekłam) schła na ciele, prazona słońcem. Byłam zmęczona i wdzięczna, jak wszyscy, co ocaleli.

Padł na mnie mroczny cień, nie chmury, lecz mężczyzny w oślepiającej aureoli.

– Rozbitek – rzekłam. Język miałam nabrzmiały, suchy. – Jestem rozbitkiem. Jestem całkiem sama. – Za czym wyciągnęłam poranione ręce.

Mężczyzna przykucnął tuż obok. Był czarnoskóry: Murzyn z kędzierzawą, wełnistą czupryną, odziany jedynie w wystrzępione spodnie, poza tym nagi. Uniosłam się

i przyjrzałam płaskiej twarzy, małym, mętным oczom, szerokiemu nosowi, grubym wargom, skórze nie tyle czarnej, ile ciemnoszarej, suchej, jak gdyby zakurzonej.

– *Agua* – ozwał się, próbując portugalskiego, i czyniłam gest naśladujący picie. Nie odpowiedział mi słowem, oglądał mnie jeno niby fokę albo morświna wyrzuconego przez fale, niby stworzenie, które wkrótce wyzionie ducha i które wówczas można oprawić i zjeść. Przy boku dzierzył włócznię. Znalazłam się na niewłaściwej wyspie – pomyślałam i opuściłam głowę: znalazłam się na wyspie kanibali.

Wyciągnął rękę, wierzchem dłoni dotknął mego ramienia. Próbuje mojego mięsa – przeszło mi przez myśl. Lecz niebawem oddech mi się wyrównał, nieco się uspokoiłam. Mężczyzna pachniał rybami i owczym runem w upalny dzień.

Później, jako że nie mogliśmy trwać tak w nieskończoność, usiadłam i znowu pokazałam na migi, że chcę pić. Wiosłowałam cały ranek, od ubiegłej nocy nic nie piłam, nie dbałam już o to, czy potem mnie zabije – bylebym tylko dostała wody.

Murzyn wstał i zachęcił mnie gestem, abym za nim poszła. Poprowadził mnie, zesztyniałą i obolałą, przez piaszczyste wydmy, a następnie ścieżką wznoszącą się ku górzystemu środkowi wyspy. Zaledwie jednak jeliśmy się wspinać, poczułam ostry ból. Wyciągnęłam z pięty długi kolec z czarnym czubkiem. Choć roztarłam piętę, wkrótce spuchła tak, iż z bólu ledwie mogłam kuśtykać. Murzyn zaofiarował mi własne plecy, pokazując, że mnie poniesie. Zawahałam się, albowiem był drobnej budowy, niższy ode mnie. Wszelako nie miałam innego wyjścia. A zatem już to podskakując na jednej nodze, już to jadąc na jego grzbiecie, z podkasaną halką, muskając brodą kędzierza-

wą czuprynę, wspinałam się po stoku. W tym dziwnym, odwróconym uścisku lęk mój przed nieznanym z wolna przygasał. Zauważyłam, że nie zważa, gdzie stawia stopy, że miążdzy pod nimi całe pęki kolców takich jak ten, który przebił mi skórę.

Dla czytelników wychowanych na opowieściach podróżniczych słowa *desert isle* być może wyczarowują obraz brzegów o miękkich piaskach i cienistych drzewach, gdzie płyną potoki, aby ugasić pragnienie rozbitka, a dojrzwały owoc spada wprost do jego rąk, gdzie ówże rozbitki nie musi robić nic, jeno przepędzać dni na drzemce, aż zjawi się statek i zabierze go w rodzinne strony. Aliści wyspa, na którą mnie rzucił los, była miejscem zupełnie innym: ogromną skalistą górą z płaskim wierzchołkiem, ze wszystkich stron, prócz jednej, piętrzącą się stromo z morza, upstrzoną splowiałymi krzewami, co nigdy nie kwitły i nigdy nie zrzucały liści. Opodal wyspy rosły kępami brunatne wodorosty; wynoszone przez fale na brzeg, wydzielaly paskudny odór i dawały schronienie rojom dużych białych pcheł. Wszędzie pomykały mrówki, takie same jak w Bahii, była tu także jeszcze inna plaga: małutki owad żyjący na wydmach, który chował się człowiekowi między palce u nóg i wgryzał w ciało. Nawet twarda skóra Piętaszka nie dawała dostatecznej ochrony – stopy miał całe spękane i krwawiące, jakkolwiek na to nie zważał. Węży nie widziałam, natomiast w skwarze dnia pokazywały się jaszczurki, aby się wygrzewać na słońcu, jedne małe i ruchliwe, inne duże i niezdarne, z błękitną krawatką na podgardlu, które osobliwie wydymały, skoro coś je zaniepokoiło, a przy tym syczały i wytrzeszczały ślepką. Schwyciłam jedną do worka i usiłowałam oswoić, karmiąc muchami; nie chciała wszakże jeść padliny, przeto w końcu uwolniłam zwierzątko. Były tam rów-

niez małpy (później opowiem o nich szerzej) oraz ptaki, wszędzie ptaki: nie tylko chmary wróbli (tak je przynajmniej nazywałam), co jak dzień długi przemykały, ćwierkając, z krzaka na krzak, lecz także, na urwisku ponad morzem, wielkie stada mew, rybitw, głuptaków i kormoranów, tak że skały bielily się od ptasiego łajna. W morzu morświny, foki i najróżniejsze ryby. Gdyby więc wystarczyło mi towarzystwo zwierząt, mogłabym żyć na tej wyspie jak najszczęśliwiej. Któż jednak, przywykły do przebogatej ludzkiej mowy, potrafiłby się zadowolić krakaniem, świergotami i skrzeczeniem, poszczekiwaniami fok i zawozeniem wiatru?

Wreszcie nadszedł kres wspinaczki; tragarz mój przystanął, aby chwycić oddech. Znalazłam się na równym płaskowzgórzu nieopodal jakowegoś obozowiska. Zewsząd rozciągało się migotliwe morze, a statek, który mnie tu przywiózł, oddalał się pod pełnymi żaglami ku wschodowi.

Myślałam o wodzie, o niczym więcej. Nie dbałam, jaki los mnie czeka, bylebym tylko mogła się napić. U furtki obozowiska stał mężczyzna o ciemnej twarzy i z gęstą brodą.

– *Agua* – powiedziałam, gestykulując. Pokazał coś na migi Murzynowi i wówczas spostrzegłam, że przemawiam do Europejczyka.

– *Fala inglez?* – zapytałam, tak jak się nauczyłam mówić w Brazylii. Skinął głową. Murzyn przyniósł mi czarękę wody. Wypiłam, a on przyniósł więcej. To była najlepsza woda, jakiej kosztowałam w życiu.

Nieznajomy oczy miał zielone, włosy spłowiałe na kolor słomy. Wedle mojej oceny liczył sobie sześćdziesiąt lat. Odziany był (pozwolę sobie opisać go całego) w kaftan i spodnie pod kolana, przypominające rybaczkę przewoź-

ników na Tamizie, w wysoką stożkową czapkę – wszystko to sporządzone ze skór zwierzęcych pozszywanych razem i wywróconych włosem na wierzch – oraz w toporne sandały. Za pasem nosił krótki kij i nóż. Zbuntowany marynarz – taka była pierwsza moja myśl; jeszcze jeden buntownik wysadzony na ląd przez litościwego kapitana, a u jego boku Murzyn-tubylec, którego uczynił swoim służącym.

– Nazywam się Susan Barton – powiedziałam. – Rzuciła mnie na łaskę fal załoga tamtego oto statku. Zamordowali swego dowódcę, a ze mną postąpili właśnie tak.

I oto nagle, aczkolwiek wcześniej nie uroniłam jednej łzy, znosząc wszelkie zniewagi na pokładzie statku, znosząc rozpaczliwe godziny, kiedy tkwiłam samotnie wśród fal, a kapitan leżał martwy u mych stóp, ze szpikulcem sterczącym z oczodołu – oto teraz wybuchnęłam płaczem. Siedząc na nagiej ziemi, trzymając oburącz zranioną stopę, kiwałam się w przód i w tył, i lkałam jak dziecko, podczas gdy nieznajomy (był nim oczywiście ów Kruzo, o którym panu opowiadałam) przypatrywał mi się raczej jak rybce wyrzuconej przez fale aniżeli jak nieszczęsnej pokrewnej mu istocie.

Opowiedziałam panu o stroju Kruzo; teraz pozwolę sobie opisać jego domostwo.

Pośrodku płaskiego wierzchołka góry wznosiło się skupisko skał, wysokie jak dom. W kącie pomiędzy dwiema z owych skał Kruzo zbudował sobie chatę z żerdzi i trzciny – trzcinę zręcznie posplatał i przeciągnął między żerdziami, aby wraz z pierzastymi liśćmi utworzyła dach i ściany. Płot z furtką na skórzanych zawiasach uzupełniał obozowisko w kształcie trójkąta, które Kruzo obdarzył mianem swego zamku. Wewnątrz ogrodzenia, chronione przed małpami, znajdowało się poletko gorzkiej dzikiej sałaty.

Owa sałata, razem z rybami i jajami ptaków, stanowiła nasz wikt na wyspie, jak pan jeszcze usłyszy.

W chacie Kruzo miał wąskie łóżko, swój jedyny sprzęt. Podłogę tworzyła naga ziemia. Za postanie dla Piętaszka służyła mata pod okapem.

Otarłszy w końcu łzy, poprosiłam Kruzo o igłę albo o inne stosowne narzędzie, by wyjąć sobie resztę kolca z pięty. Dał mi igłę wykonaną z ości, z dziurką wywierconą w grubszym końcu – nie wiem, jakim sposobem – przyglądał się w milczeniu, gdy usuwałam kolec.

– Pozwól, panie, że opowiem swoją historię – rzekłam – bo z pewnością się zastanawiasz, kim jestem i jak się tutaj znalazłam.

Nazywam się Susan Barton i jestem kobietą samotną. Ojciec mój był Francuzem; uszedł do Anglii, aby uniknąć prześladowań we Flandrii. Właściwie nazywał się Berton, ale, jak to się zdarza, nazwisko uległo zniekształceniu w ustach cudzoziemców. Matka moja była Angielką.

Dwa lata temu moją jedyną córkę porwał i wywiózł do Nowego Świata pewien Anglik, faktor i pośrednik przewozowy. Ruszyłam jej śladem na poszukiwania. Skoro przybyłam do Bahii, usłyszałam jeno zaprzeczenia, a gdy nie ustępowałam, spotkały mnie zniewagi i groźby. Urzędnicy Korony nie byli skłonni udzielić mi pomocy, twierdząc, że to sprawa między Anglikami. Mieszkałam w wynajętych pokojach i trudniłam się szyciem, szukałam i czekałam, lecz nie natrafiłam na żaden ślad mego dziecka. A zatem, popadłszy wreszcie w rozpacz, utraciwszy też środki do życia, wsiadłam na statek handlowy płynący do Lizbony.

Dziesięć dni po opuszczeniu portu, jak gdyby nie spotkało mnie dość nieszczęść, załoga podniosła bunt. Wdarli się do kajuty swego kapitana i okrutnie go zamordowa-

li, chociaż błagał o darowanie życia. Marynarzy, którzy się nie przyłączyli, zakuto w łańcuchy. Mnie buntownicy wsadzili do łodzi, razem z trupem kapitana, i puścili na łaskę fal. Nie pojmuję, czemu mnie przegnano. Jakkolwiek tych, którym uwłaczyliśmy, zazwyczaj poczynamy nienawidzić i pragniemy, żeby na zawsze zeszedli nam z oczu. Serce ludzkie, ciemny las... tak mawiają w Brazylii.

Los zechciał, a może też tak zarządzono bunt, że marynarze spuścili mnie na wodę nieopodal tej wyspy. *Re-mos!*, zakrzyknął żeglarz z pokładu, co oznaczało, iż mam chwycić za wiosła. Lecz ja cała dygotałam w przestachu. Gdy więc załoga śmiała się i szydziła, ja dryfowałam tam i sam na fali, póki nie zerwał się wiatr.

Cały ranek, podczas gdy statek się oddalał (buntownicy zamyślali, jak mniemam, zostać piratami u brzegów Hispanioli), wiosłowałam, z martwym kapitanem u moich stóp. Dłonie wkrótce pokryły mi się bąblami... proszę spojrzeć!... lecz nie śmiałam odpocząć w obawie, że prąd zniesie mnie mimo pana wyspy. O wiele gorsza niż ból, który sprawiało mi wiosłowanie, była groźba pozostania nocą pośród bezmiernej pustki morza, kiedy to, jak słyszałam, na powierzchni wypływają potwory z głębin w poszukiwaniu zdobyczy.

Aż w końcu nie mogłam już dłużej wiosłować. Dłonie miałam obdarte, plecy poparzone, ciało obolałe. Z westchnieniem, z cichutkim pluskiem zsunęłam się za burtę i jęłam płynąć ku pańskiej wyspie. Fale mnie uniosły i wyrzuciły na plażę. Resztę pan zna.

Tymi słowy przedstawiłam się Robinsonowi Kruzo w dniach, gdy jeszcze władał swą wyspą, i stałam się jego drugim poddanym – pierwszym był sługa Piętaszek.

Z chęcią opowiedziałabym panu teraz historię owego niezwykłego Kruzo, tak jak ją usłyszałam z jego własnych

ust. Atoli opowieści jego tak były rozmaite i tak trudne do pogodzenia ze sobą, iż coraz bardziej umacniałam się w przekonaniu, że czas i odosobnienie zebrały już swoje niszczące żniwo w jego pamięci, toteż Kruzo nie wiedział zgoła, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Jednego dnia mawiał, że ojciec jego był bogatym kupcem i że on sam porzucił ojcowski kantor w poszukiwaniu przygody. Aliści już następnego dnia przedstawiał dzieje biednego chłopczyka, zupełnej sieroty, który się zamustrował jako majtek i którego porwali Maurowie (na ramieniu nosił bliznę, ślad, jak twierdził, po żelazie do piętnowania); w końcu im umknął i podążył do Nowego Świata. Niekiedy utrzymywał, że mieszka na wyspie od piętnastu lat, wraz z Piętaszkiem, że tylko oni dwaj ocalili, gdy ich statek zatonął.

– Piętaszek był więc dzieckiem, czy tak? Wówczas kiedy statek zatonął? – spytałam.

– O tak, był dzieckiem, ledwie dzieciakiem, maluszkim niewolnikiem – odrzekł Kruzo.

Innym jednak razem, na przykład gdy chwyciła go gorączka (a czyż nie powinniśmy wierzyć, iż w gorączce, podobnie jak w upojeniu trunkowym, prawda chcąc nie chcąc wychodzi na jaw?) snuł opowieści o kanibalach, o tym, że Piętaszek był kanibalem, którego on, Kruzo, ocalił przed upieczeniem i pożarciem przez innych kanibali.

– Czy aby kanibale nie powrócą i nie zażądają, by im wydać Piętaszka? – pytałam, a wówczas Kruzo kiwał głową. – Czy to dlatego wiecznie pan spogląda w morze... żeby nie dać się zaskoczyć, jeśliby mieli wrócić? – Znowu kiwał głową. W końcu więc nie wiedziałam, co jest prawdą, co kłamstwem, a co zwykłym majaczeniem.

Lecz powróćmy do mojej relacji.

Śmiertelnie zmęczona, przeprosiłam i ległam na ziemi; niezwłocznie zapadłam w głęboki sen. Kiedym się obudziła, zachodziło słońce, a Piętaszek przygotowywał kolację. Chociaż składała się jedynie z ryby pieczonej na węglach, podanej z sałatą, jadłam ze smakiem. Wdzięczna za to, że brzuch mam pełny i znowu stoję na twardej ziemi, wyraziłam podziękowanie swemu osobliwemu zbawcy. Byłabym mu także opowiedziała coś więcej o sobie, o mych poszukiwaniach wykradzionej córki, o buncie. On wszelako o nic nie pytał, wpatrywał się jeno w zachodzące słońce, kiwając głową, jak gdyby gdzieś w jego wnętrzu przemawiał sekretny głos, któremu się przysłuchiwał.

– Czy wolno mi spytać, panie – ozwał się po małej chwili – czemuś przez tyle lat nie zbudował sobie łodzi i nie uciekł z tej wyspy?

– A dokąd to miałbym uciekać? – odrzekł, uśmiechając się do siebie, jakby nie istniała żadna odpowiedź.

– Jakże to, mógłbyś pożeglować ku wybrzeżom Brazylii albo też napotkać jakowyś okręt i znaleźć na nim ratunek.

– Brazylia leży setki mil stąd i roi się od kanibali. A co się tyczy żaglowców, to żaglowce ujrzymy równie prędko albo i prędzej, jeśli zostaniemy tutaj.

– Ośmielam się być odmiennego zdania – rzekłam. – Spędziłam dwa długie lata w Brazylii i jako żywo nie spotkałam tam żadnych kanibali.

– Mieszkałaś, pani, w Bahii – stwierdził. – Bahia to ledwie wyspa na skraju brazylijskich puszczy.

A zatem wcześniej pojęłam, że darmo namawiać Kruzo, aby szukał ocalenia. Starzejąc się w swym wyspiarskim królestwie, nie mając tu nikogo, kto by mu się sprzeciwiał, tak bardzo zawęził sobie horyzont – gdy horyzont otaczający nas zewsząd taki był ogromny i taki majesta-

tyczny! – iż z wolna utwierdził się w przeświadczeniu, że wie o świecie wszystko, co tylko możliwe. Ponadto, jak później się przekonałam, pragnienie ucieczki całkiem w nim obumarło. Uparł się pozostać do kresu żywota królem swej małej dziedziny. W rzeczy samej to nie lęk przed piratami czy kanibalami powstrzymywał go od palenia ognisk, od skakania tam i sam po wierzchołku góry i wymachiwania kapeluszem – nie lęk, lecz obojętność wobec ratunku i przyzwyczajenie, i upór starości.

Nadeszła pora udania się na spoczynek. Kruzo zaofiarował się odstąpić mi swoje łóżko, ale odmówiłam: wolałam, aby Piętaszek rozesał dla mnie posłanie z trawy na klepisku. Tam też się ułożyłam, na wyciągnięcie ręki od Kruzo (albowiem chata była mała). Zeszłej nocy zdążyłam w rodzinne strony; dzisiejszej byłam rozbitkiem. Długie godziny przeleżałam bezsennie, niezdolna uwierzyć w taką zmianę mych losów, doskwierały mi także bolesne pęcherze na dłoniach. Później zasnęłam. Tej nocy raz się obudziłam. Wiatr ucichł; słyszałam cykanie świerszczy i gdzieś daleko łoskot fal. – Jestem bezpieczna, jestem na wyspie, wszystko będzie dobrze – szepnęłam do siebie, objęłam się mocno ramionami i znowu zapadłam w sen.

Obudziło mnie bębnienie deszczu o dach. Był ranek; Piętaszek przysiadł w kucki przed piecem (jeszcze nie mówiłam panu o piecu Kruzo, bardzo zgrabnie zbudowanym z kamieni), dokładał do ognia, rozniecał go dmuchaniem. Zrazu się zawstydziałam, że widzi mnie polegującą, potem atoli przypomniałam sobie, jak swobodnie zachowywały się bahijskie damy na oczach służby, przeto poczułam się lepiej. Wszedł Kruzo; spożyliśmy obfite śniadanie złożone z ptasich jaj, podczas gdy deszcz kapał przez szpary w dachu i syczał na gorących kamieniach. Z czasem

deszcz ustał i wyjrzało słońce, podnosząc z ziemi smutki pary, znów zerwał się wiatr, dmuchał bez ustanku aż do następnej ciszy i następnego deszczu: w taki właśnie wzór układały się tam dni i tak też, o ile mi wiadomo, działało się od zarania czasu. Jeżeli jedna okoliczność nade wszystko kazała mi myśleć o ucieczce, o ucieczce za wszelką cenę, nie była to samotność ani surowość tamtego życia, ani też monotonia pożywienia, lecz wiatr, który dzień po dniu świstał mi w uszach, targał mnie za włosy i sypał piaskiem w oczy, aż czasem klękałam w kącie chaty, osłaniając głowę ramionami, i jęczałam do siebie, jęczałam bez końca, aby usłyszeć jakiś inny dźwięk prócz poszumu wiatru; lub też później, kiedy upodobała sobie kąpiele w morzu, wstrzymywałam oddech i zanurzałam głowę pod wodę, tylko po to by wiedzieć, co to znaczy cisza. Najpewniej pan sobie powie: w Patagonii wiatr wieje bezustannie jak rok długi i Patagończycy nie chowają głów, czemu więc ona to robi? Wszelako Patagończycy, nie znający innej ojczyzny oprócz Patagonii, nie mają podstaw, ażeby wątpić, że wiatr wieje bez ustanku o wszystkich porach roku we wszystkich zakątkach ziemskiego globu; tymczasem ja nie jestem tak nieświadoma.

Zanim Kruzo odszedł do swych wyspiarskich prac, dał mi nóż i ostrzegł, bym nie opuszczała twierdzy; albowiem małpy – oznajmił – nie będą się wystrzegać kobiety, tak jak się wystrzegają jego i Piętaszka. Zdziwiły mnie te słowa: czyżby z punktu widzenia małpy kobieta należała do innego gatunku niż mężczyzna? Aliści usłuchałam, z ostrożności, zostałam w chacie i zażywałam odpoczynku.

Prócz noża wszystkie narzędzia na wyspie sporządzono z drewna lub z kamienia. Łopata, którą Kruzo wyrównywał swoje terasy (o terasach jeszcze opowiem coś więcej

niedługo później), była drewniana, wąska, z zakrzywionym styliskiem, wyrzezana z jednego kawałka i utwardzona w ogniu. Oskard z ostrego kamienia przytwierdzonego do kija. Miski, z których jedliśmy i pili, z surowych kawałków drewna wydrążonych przez skrobanie i wypalanie. Albowiem na wyspie brakło gliny do lepienia i wyprężania, a nieliczne drzewa były niepozorne, skarlawałe z powodu wiatru, ich poskręcane pnie rzadko rosły szersze niżli moja dłoń. Wielka szkoda, że z wraku Kruzo zdołał wynieść jedynie nóż. Gdyby bowiem uratował choćby najprostsze przybory ciesielskie, a także jakieś ostrza, pręty i temu podobne, potrafiłby wymodelować lepsze narzędzia, a za sprawą lepszych narzędzi mógłby wieść mniej pracowity żywot czy nawet zbudować łódź i uciec do cywilizacji.

W chacie stało jeno łóżko, sporządzone z żerdzi powiązanych rzemieniami, prymitywne w wykonaniu, lecz mocne, w kącie zaś leżała sterta wyprawionych małych skór, która przesycała chatę wonią składu garbarskiego (z biegiem czasu przywykłam do tego zapachu i brakowało mi go, gdy opuściłam wyspę; nawet teraz, ilekroć powącham nową skórę, opada mnie senność), znajdował się tam również piec – żar z ostatniego ognia nigdy w nim nie wygasł, ponieważ rozpalenie nowego było nużącą czynnością.

Tego, na co przede wszystkim spodziewałam się natrafić, nie znalazłam. Kruzo nie prowadził dziennika, może dlatego iż nie miał papieru ni atramentu, lecz raczej – co bardziej prawdopodobne, jak teraz sądzę – dlatego że brakło mu skłonności do prowadzenia zapisków, a jeżeli kiedykolwiek takową odczuwał, to ją utracił. Przepatrzyłam żerdzie podtrzymujące dach, obejrzałam nogi łóżka, ale nie odnalazłam żadnych wyłobień, nawet zwykłych

karbów świadczących, że Kruzo liczył dni swego wygnania bądź cykle księżyca.

Później, gdy już poczułam się swobodniej w jego towarzystwie, wyjawiałam mu swe zaskoczenie.

– Przypuśćmy – rzekłam – że pewnego dnia nadejdzie ocalenie. Czy nie będziesz, panie, żałował, iż nie możesz przywieźć ze sobą jakowychś zapisków o latach spędzonych jako rozbitek, ażeby to, coś tu przeżył, nie popadło w niepamięć? A jeżeli ocalenie nigdy nie nadejdzie, jeśli pomrzemy jedno po drugim, co przecież możliwe, czy nie życzyłybyś sobie, aby przetrwała po nas jakaś kronika, aby następni podróżnicy, którzy przybiją do tych brzegów, kimkolwiek będą, przeczytali ją i dowiedzieli się o nas, może też uronili łzę? Albowiem to pewne, że z każdym mijającym dniem wspomnienia nasze tracą wyrazistość, tak jak pod działaniem deszczu niszczeje nawet marmurowy posąg, aż wreszcie nie potrafimy już stwierdzić, jakie kształty nadała mu ręka rzeźbiarza. Choćby i teraz... jakieś, panie, zachował wspomnienia owego fatalnego sztormu, modlitw pańskich towarzyszy, przerażenia, gdy pana samego pochłonęły fale, wdzięczności, kiedy wyrzuciły na brzeg, pierwszych niepewnych eksploracji, lęku przed dzikim zwierzem, niewygód tych pierwszych nocy (czy nie mówiłaś mi, panie, żeś spał na drzewie)? Czyż nie można wytworzyć papieru i atramentu i uwiecznić owych wspomnień, chociażby ich śladu, żeby pana przeżyły; a skoro braknie papieru i atramentu, wypalić opowieści w drzewie bądź wyryć w skale? Na tej wyspie nie dostaje nam wielu rzeczy, lecz bez wątpienia czas do nich nie należy.

Ufam, iż przemawiałam z żarliwością, aliści Kruzo pozostał niewzruszony.

– Nic nie popada w zapomnienie – rzekł; a następnie: – Nic, co zapomniałem, nie jest warte zapamiętania.

– Mylisz się, panie! – wykrzyknęłam. – Nie pragnę się spierać, ale zapomniałeś wiele i z każdym dniem zapominasz coraz więcej! Zapominanie to nie hańba: zapominanie leży w naszej naturze, tak jak w naszej naturze leży starzenie się i śmierć. Lecz oglądane z nazbyt daleka, życie pomalutku traci swą odrębność. Wszelkie katastrofy stają się tą samą katastrofą, wszyscy rozbitkowie tym samym rozbitkiem, ogorzałym, samotnym, odzianym w skóry ubitych zwierząt. Prawda, która sprawia, że pańska historia jest pana historią i niczym więcej, prawda, która pana odróżnia od sędziwego żeglarza plotącego przy ogniu duby smalone o morskich potworach i syrenach, owa prawda spoczywa w tysiącu drobiazgów, co dziś mogą się wydawać nieistotne, takich jak: Kiedyś, panie, wykonał igłę (tę oto igłę wpiętą w twój pas), w jaki sposób przewierciłeś uszko? Kiedyś uszył czapkę, czego użyłeś jako nici? Podobne drobiazgi pewnego dnia przekonają pańskich rodaków, że to wszystko prawda, każde słowo, że istotnie była niegdyś wyspa pośrodku oceanu, kędy dął wiatr, mewy krzyczały znad urwiska, a człowiek nazwiskiem Kruzo przechadzał się w stroju z małych skór, lustrując horyzont w poszukiwaniu żagla.

Bujna płowa czupryna Kruzo i jego nigdy nie strzyżona broda gorzały w zanikającym świetle. Otworzył i znowu zacisnął dłonie, dłonie żylaste, o szorstkiej skórze, zaprawione do ciężkiej pracy.

– Jest zółć morskich ptaków – nalegałam. – Jest sepia mątwy. Są pióra mew.

Kruzo uniósł głowę i rzucił mi spojrzenie pełne wyzwania.

– Pozostaną po mnie terasy i mury – rzekł. – One wystarczą. Aż nadto wystarczą. – Po czym znów pogrążył się w milczeniu. Jeżeli o mnie idzie, to zastanawiałam się,

któż by przemierzał ocean, żeby ujrzeć terasy i mury, bo przecież tych niewątpliwie mamy pod dostatkiem w rodzinnych stronach. Wszelako powściągnąłem język.

Nadal sypialiśmy pospołu w chacie, Kruzo i ja, on na swym łóżku, ja na posłaniu z trawy, które ułożył dla mnie Piętaszek i które zmieniał co trzeci dzień, posłaniu bardzo grubym i wygodnym. Gdy noce stały się chłodne, naciągałam na siebie przykrycie ze skór, przez cały ten czas bowiem nosiłam jedynie halkę, w której tu przybyłam; lecz wolałam nie sypiać pod skórą, gdyż zapach ich wciąż był nazbyt silny dla moich nozdrzy.

Czasami Kruzo nie dawał mi zasnąć, a to z przyczyny odgłosów, które wydawał we śnie, osobliwie zgrzytania zębami. Albowiem zęby jego tak dalece już spróchniały, iż nabrał zwyczaju bezustannego ich zaciskania – tych, co mu jeszcze zostały – aby uśmierzyć ból. W samej rzeczy, niemiły przedstawiał widok, kiedy brał strawę niemytymi rękoma i żuł lewą stroną ust, gdzie ból był mniej dotkliwy. Jednakowoż Bahia, a także życie, jakie tam wiodłam, odczyły mnie wykwinności.

Śniłam o zamordowanym kapitanie okrętu. We śnie widziałam, jak żegluje na południe w kruchej łódce, z wiosłami skrzyżowanymi na piersi i z paskudnym szpikulcem sterczącym z oka. Morze rozkołysały potężne fale, wiatr zawodził, lał deszcz, lecz łódź nie zatonała: dryfowała ku dziedzinie gór lodowych i dalej tam będzie dryfować, jak mi się zwidywało, obrośnięta lodem, aż po dzień naszego zmartwychwstania. Kapitan był miłym człowiekiem – niechże teraz to powiem, bym nie zapomniała – i należał mu się lepszy koniec.

Z powodu przestrogi, której mi udzielił Kruzo względem małej, rozważnie nie opuszczałam obozowiska. Atoli trzeciego dnia mego odosobnienia na wyspie, gdy Kru-

zo i Piętaszek oddalili się do swych zajęć, odważyłam się wyjść i przeszukałam stromiznę, póki nie odnalazłam ścieżki, którą wniósł mnie Piętaszek. Podążyłam na sam brzeg morza, bacząc, gdzie stawiam kroki, ponieważ nadal nie miałam butów. Czas jakiś spacerowałam po plaży, coraz to spoglądając w morze, aczkolwiek, jak się wydawało, za wcześnie jeszcze było na ratunek. Brodziłam w wodzie, ubawiona małymi barwnymi rybkami, co nieruchomości na chwilę, by skubnąć mnie w palce u nóg i pokosztować, cóż to ze mnie za stwór. Wyspa Kruzo to nie najgorsze miejsce dla rozbitka – pomyślałam – skoro już trzeba zostać rozbitkiem. Później, koło południa, wdrapałam się na zbocze i jęłam zbierać drewno na opał, co już wcześniej przedsięwzięłam, wielce zadowolona ze swej wycieczki.

Gdy Kruzo powrócił, zaraz poznał, że się wypuściłam na rekonesans, i wybuchnął gniewem.

– Póki mieszkasz, pani, pod moim dachem, masz wypełniać moje polecenia! – zakrzyknął, wbijając łopatę w ziemię, nie czekając nawet, aż Piętaszek odejdzie poza zasięg głosu. Jeżeli wszakże sądził, iż gniewną fizjonomią wzbudzi we mnie lęk i nakłoni do niewolniczego posłuszeństwa, to wnet się przekonał, że był w błędzie.

– Jestem na pańskiej wyspie, panie Kruzo, nie z wyboru, lecz zrzędzeniem złego losu – odparłam, wstając (a byłamomalże jego wzrostu). – Jestem rozbitkiem, nie więźniem. Gdybym miała buty albo też gdyby pan mi umożliwił sporządzenie takowych, nie musiałabym się skradać niczym złodziej.

Później tego dnia, gdy złość moja opadła, przeprosiłam Kruzo za owe cierpkie słowa, a on najwyraźniej mi przebaczył, jakkolwiek z ociąganiem. Potem poprosiłam o igłę i kawałek zwierzęcego jelita, ażeby uszyć so-

bie buty. Na co mi rzekł, że butów nie szyje się w okamgnieniu, jak chusteczek, że on sam je dla mnie wyrobi w stosownym czasie. Atoli dni mijały, a ja nadal chodziłam bez obuwia.

Zagadnęłam Kruzo o małpy. Kiedy tu przybył – oznajmił – włóczyły się po calutkiej wyspie, zuchwałe i złośliwe. Wiele z nich ubił, a wówczas pozostałe wycofały się na stromizny Urwiska Północnego, jak nazywał ową stronę. Podczas mych spacerów słyszałam niekiedy małpie wrzaski i widziałam, jak owe stworzenia sadzą susami ze skały na skałę. Nieco większe od kota, a mniejsze od lisa, były szare z czarnymi pyszczkami i czarnymi łapami. Wyglądały nieszkodliwie, aliści Kruzo miał je za plagę i obaj z Piętaszkiem zabijali małpy, ilekroć znaleźli ku temu sposobność, zabijali je pałkami i obdzierali ze skóry; małpie skóry wyprawiali i zszywali razem, by sporządzić ubrania, koce i temu podobne.

Pewnego wieczora, kiedym przygotowywała kolację i ręce miała zajęte, zwróciłam się do Piętaszka ze słowami: – Przynieś jeszcze drewna, Piętaszku. – Piętaszek mnie usłyszał, mogłabym przysiąc, lecz ani drgnął. Przeto znów wymówiłam słowo „drewno”, wskazując ogień; natenczas się podniósł, ale też na tym poprzestał. Wówczas przemówił Kruzo.

– Drew, Piętaszku – rzekł. – Drew na opał. – Na to Piętaszek zaraz przyniósł drewna ze sterty. Zrazu pomyślałam, że niczym pies słucha jednego tylko pana; było wszakże inaczej.

– Nauczyłem go słowa „drwa” – wyjaśnił Kruzo. – „Drewna” nie zna.

Zdumiało mnie, iż Piętaszek nie pojmuje, że drwa są rodzajem drewna, tak jak rodzajem drewna są wszelkie drzewka lub inne tam drzewienka. Pominęłam to jednak

milczeniem. Dopiero gdyśmy się posilili, kiedyśmy siedzieli, spoglądając na gwiazdy, jak to nam weszło w zwyczaj, ponownie przemówiłam.

– Ile słów angielskich zna Piętaszek? – spytałam.

– Tyle, ile mu trzeba – odparł Kruzo. – To nie Anglia, niepotrzebny nam wielki zasób słów.

– Mówisz, panie, tak, jak gdyby język był jeszcze jedną zmorą żywota, niby pieniądz albo ospa – rzekłam. – Lecz czyby to nie osłodziło twojej samotności, gdyby Piętaszek władał angielszczyzną? Moglibyście obaj przez te wszystkie lata zaznawać rozkoszy konwersacji; pan sam mógłby uświadomić mu poniektóre zdobycze cywilizacji i uczynić zeń lepszego człowieka. Jakież to niby korzyści niesie życie w milczeniu?

Na to Kruzo nie dał żadnej odpowiedzi, jedynie przywołał Piętaszka bliżej.

– Zaśpiewaj, Piętaszku – powiedział. – Zaśpiewaj dla pani Barton.

Za czym Piętaszek uniósł twarz ku gwiazdom, zamknął oczy i, posłuszny swemu panu, jął nucić z cicha. Słuchałam, lecz nie potrafiłam uchwycić melodii. Kruzo postukał mnie w kolano.

– Głos człowieka – rzekł. Nie zrozumiałam, o co mu idzie; on jednak przyłożył palec do ust, aby mnie uciszyć. W mroku słuchaliśmy Piętaszkowego nucenia.

Wreszcie Piętaszek umilkł.

– Cóż tedy, czy on jest imbecylem pozbawionym daru mowy? – zapytałam. – Czy tak mam to rozumieć? – (Albowiem, powtarzam, znajdowałam Piętaszka tępym w każdej materii).

Kruzo przywołał Piętaszka jeszcze bliżej.

– Otwórz usta – nakazał i otworzył swoje.

Piętaszek rozdziawił usta.

– Spójrz, proszę – zwrócił się do mnie Kruzo.

Spojrzałam, lecz w ciemności nie zobaczyłam nic prócz lśnienia zębów jasnych jak kość słoniowa.

– La-la-la – rzekł Kruzo i gestem kazał Piętaszkowi powtórzyć.

– Ha-ha-ha – ozwał się Piętaszek gardłowo.

– On nie ma języka – oświadczył Kruzo. Chwyciwszy Piętaszka za włosy, przybliżył jego twarz do mojej. – Widzisz, pani?

– Jest zbyt ciemno – odparłam.

– La-la-la – rzekł Kruzo.

– Ha-ha-ha – rzekł Piętaszek.

Odsunęłam się, a Kruzo puścił czuprynę Piętaszka.

– Nie ma języka – powtórzył. – To dlatego nie mówi. Język mu ucięli.

W zadziwieniu szeroko otworzyłam oczy.

– Kto mu go uciął?

– Handlarze żywym towarem.

– Handlarze żywym towarem ucięli Piętaszkowi język i zapredali chłopca w niewolę? Łowcy niewolników z Afryki? Ależ on był ledwie dzieckiem, gdy go złapali! Po cóż mieliby ucinać język dziecku?

Kruzo odpowiedział mi niewzruszonym spojrzeniem. Aczkolwiek teraz przysiąc nie mogę, wierzę, że się uśmiechał.

– Może handlarze żywym towarem, a są to Maurowie, mają język za przysmak. A może też zmęczyło ich wysłuchiwanie żałościwych zawodzeń Piętaszka, skoro jęczał dzień i noc. Możliwe, iż sobie nie życzyli, by kiedykolwiek opowiedział swą historię: kim jest, gdzie leży jego dom, jak to się stało, że go złowili. Może ucinają język każdemu pochwycyonemu kanibalowi, za karę. Jakże tu się dowiedzieć prawdy?

– To straszna historia – powiedziałam. Zapadła cisza. Piętaszek zabrał nasze naczynia i zniknął w mroku. – Gdzież w niej sprawiedliwość? Najpierw niewolnik, teraz również rozbitek. Ograbiony z dzieciństwa i skazany na życie w milczeniu. Czyżby Opatrzność spała?

– Gdyby Opatrzność miała czuwać nad nami wszystkimi – rzekł Kruzo – któż by pozostał do zbierania bawełny i cięcia trzciny cukrowej? Gwoli interesów świata, by owe kwitły, Opatrzność musi czasem się budzić, czasem znów spać, na podobieństwo podlejszych stworzeń. – Spostrzegł, że potrząsam głową, ciągnął zatem: – Myślisz, pani, jakobym szydził z Opatrzności. Wszelako może to Jej rządzeniem Piętaszek znajduje się na wyspie, służąc wyrozumiałemu panu, nie zaś w Brazylii pod batogiem plantatora albo w Afryce, kędy w puszczech roi się od kanibali. Może to rzecz najkorzystniejsza, choć my tego nie dostrzegamy, że Piętaszek jest tutaj i że ja jestem tutaj, i że teraz także ty, pani, tutaj jesteś.

Dotychczas, jeśli o mnie idzie, Piętaszek pozostawał w cieniu, użyczałam mu ledwie odrobinę więcej uwagi, niżbym jej poświęciła jakiemu bądź domowemu niewolnikowi w Brazylii. Aliści teraz jęłam nań spoglądać – nic na to nie umiałam poradzić – z ową szczególną zgrozą, którą odczuwamy wobec okaleczonych. Nie dodawał mi bynajmniej otuchy fakt, iż owo okaleczenie jest niewidoczne, zamknięte za wargami (podobnie jak inne okaleczenia skrywa ubranie), iż na zewnątrz Piętaszek wygląda nie inaczej niżli każdy inny Negr. W rzeczy samej, właśnie sekretność jego straty kazała mi się wzdragać. Ilekroć był w pobliżu, nie mogłam mówić, żeby nie zdać sobie zarazem sprawy z jakże żywych poruszeń języka w mych własnych ustach. Oczyma duszy widziałam, jak szczytce chwytają Piętaszkowy język, jak chlasta nóż – tak to się

musiało odbyć – i przechodził mnie dreszcz. Obserwowałam go ukradkiem, kiedy jadł, ze wstrętem chwytalam uchem ciche dźwięki, gdy od czasu do czasu odchrząkiwał; widziałam, jak żuje przednimi zębami, niczym ryba. Łapałam się na tym, że się wzdrygam, skoro Piętaszek podchodzi, albo też wstrzymuję oddech, by nie czuć jego zapachu. Ukradkiem wycierałam naczynia, których dotykały jego dłonie. Wstydziałam się swego zachowania, ale przez czas jakiś nie byłam panią siebie. Srodze żalowałam, że Kruzo w ogóle opowiedział mi ową historię.

Nazajutrz po naszej rozmowie, gdy Kruzo powrócił ze swych teras, paradowałam w sandałach. Lecz jeśli się spodziewałam podziękowań za to, iż oszczędziłam mu trudu, nijakich nie usłyszałam.

– Nieco cierpliwości, a miałabyś, pani, lepsze buty – rzekł.

Najpewniej była to prawda, albowiem sandały wyszły mi nader toporne. Jednakowoż nie mogłam puścić tego mimo uszu.

– Cierpliwość przedzierzgnęła mnie w więźnia – odparłam. Wówczas Kruzo gniewnie obrócił się na pięcie, chwycił skóry, z których wycięłam buty, i z całej mocy cisnął je za ogrodzenie.

Widząc, że nie sposób go ułagodzić, oddaliłam się ścieżką ku morzu; tamże wędrowałam dopóty, dopóki się nie natknęłam na miejsce, gdzie plażę zalegały wodorosty, zmyte na brzeg i gnijące, a przy każdym kroku wzbijały się chmary pcheł, zwykłych albo też piaskowych. Tam przystanąłam; złość mijała. Jest rozgorączony – rzekłam sobie – bo czemuż by nie? Po latach niekwestionowanego i samotnego władztwa oto widzi, że jakowaś kobieta wdziera się do jego królestwa, a jemu samemu narzuca powinności do spełnienia. Ślubowałam sobie mocniej

powściągać język. Mógł mi się być przytrafić gorszy los aniżeli porzucenie na wyspie rządzonej przez mego rodaka, dość zapobiegliwego, iżby dopłynąć na brzeg z nożem za pasem i niewolnikiem u boku. Równie łatwo mogłam się znaleźć – ja, samotny rozbitek – na wyspie rojnej od lwów i węży lub też na wyspie, gdzie nigdy nie pada deszcz, albo na wyspie służącej za dom jakowemuś cudzoziemskiemu awanturnikowi, co postradał zmysły z samotności, nagiemu, bestialskiemu, żywiącemu się surowym mięsem.

Wróciłam przeto pełna skruchy, poszłam do Kruzo i prosiłam o wybaczenie za to, iż wzięłam skóry, i z wdzięcznością przyjął strawę, którą Piętaszek dla mnie odłożył. Skoro ległam tamtej nocy do snu, odniosłam takie wrażenie, jak gdyby ziemia się pode mną kołysała. Rzekłam sobie, że to wraca nieproszone wspomnienie rozkołysanego statku. Lecz nie: było to kołysanie samej wyspy, gdy tak się unosiła na powierzchni morza. Pomyślałam: to znak – znak, że się staję wyspiarką. Zapominam, jak się żyje na stałym lądzie. Rozkrzyżowałam ramiona, położyłam dłonie na ziemi i w rzeczy samej, kołysanie nie ustawało, kołysanie wyspy, kiedy tak żeglowała pośród morza i nocy, niosąc w przyszłość swój ładunek z mew, wróbli, pcheł, małp i rozbiteków, wszystkich teraz pogrążonych w nieświadomości, prócz mnie jednej. Zapadłam w sen uśmiechnięta. Jak mniemam, wówczas to uśmiechnęłam się po raz pierwszy, odkąd wyruszyłam do Nowego Świata.

Powiadają, że Brytania to także wyspa, ogromna wyspa. Aliści tak głoszą jeno geografowie. W Brytanii mamy pod stopami twardego lądu – na wyspie Kruzo zgoła taki nie był.

Teraz, gdy już miałam buty, zwykłam co dzień chadzać brzegiem morza, w obie strony, tak daleko, jak tyl-

ko się dało. Mówiłam sobie, iż wypatruję żagla. Lecz na zbyt często oczy moje przywierały do horyzontu z jakąś niewzruszonością, aż wreszcie ukołysana szumem wiatru, łoskotem fal i skrzypieniem piasku pod stopami, zapadałam w sen na jawie. Pomiędzy skałami znalazłam kotlinkę, gdzie mogłam polegiwać osłonięta od wiatru i spoglądać na morze. Z biegiem czasu poczęłam ją uważać za swe prywatne ustronie, za jedyne miejsce wyłącznie moje na wyspie posiadanej przez innego; aczkolwiek wyspa w istocie nie należała bardziej do Kruzo niżli do króla Portugalii czy wręcz do Piętaszka albo też do afrykańskich kanibali.

Więcej jeszcze, znacznie więcej mogłabym panu opowiedzieć o życiu, jakieśmy wiedli: o tym, jak dzień i noc podtrzymywaliśmy tłący się ogień; jak pozyskiwaliśmy sól; jak, z braku mydła, myliśmy się popiołem. Razu pewnego zapytałam Kruzo, czy nie zna sposobu na sporządzenie lampy lub świecy, abyśmy nie musieli się kłaść na spoczynek z zapadnięciem mroku, niby zwierzęta. Kruzo odpowiedział następującymi słowami: – Co jest łatwiejsze: nauczyć się widzieć w ciemności czy też zabić wieloryba i przetopić go całego dla jednej świecy? – Wielu opryskliwych replik mogłam mu na to udzielić; wszelako pamiętając o mym ślubowaniu, powściągnęłam język. Szczerą to prawdą – Kruzo nie ścierpiałby nijakich zmian na swej wyspie.

Przebywałam tam już blisko miesiąc, gdy pewnego ranka Kruzo wrócił z teras, skarżąc się, iż jest niezdrów. Widząc, jak dygocze, położyłam go do łóżka i ciepło okryłam.

– To ta moja dawna gorączka – rzekł. – Nie ma na nią lekarstwa, sama się musi wypalić.

Przez dwanaście dni i nocy go doglądałam, niekiedy przytrzymując w łóżku, skoro chwyciła go ataki majacze-

nia, podczas których lkał albo też tłukł pięściami i wrzeszczał po portugalsku na postaci, co mu się zwidywały pośród cieni. Pewnej nocy, gdy godzinami jęczał i dygotał, a dłonie i stopy zimne miał jak lód, wręcz się przy nim położyłam, tuląc go w ramionach, żeby go rozgrzać, obawiając się, że inaczej umrze. W mych objęciach nareszcie usnął, spałam też i ja, choć niespokojnie.

Przez cały ten czas Piętaszek nie uczynił najmniejszego wysiłku, by mi pomóc; przeciwnie, unikał chaty, jakby nas dwoje dotknęła zaraza. O świcie wyruszał ze swą włócznią na ryby; wróciwszy, składał zdobycz przy piecu, wypatroszoną i oskrobaną, potem zaś odchodził w drugi kąt ogrodu, gdzie spał na boku, zwinięty niczym kot, lub też bez końca wygrywał na małej trzciniowej piszczałce melodię złożoną z sześciu tonów, zawsze tę samą. Melodia owa, której najwyraźniej nigdy nie miał dosyć, tak mnie poczęła drażnić, iż pewnego dnia pomaszerowałam do niego, wyrwałam mu piszczałkę z rąk i byłabym go też zbeształa, gdyby nie obawa, że obudzę Kruzo. Piętaszek skoczył na równe nogi, z oczyma rozszerzonymi zdumieniem, albowiem nigdy dotąd nie straciłam do niego cierpliwości, a i uwagi nie poświęcałam mu wiele.

Później Kruzo jął zdrowieć. Przygasł dziki błysk w oku, twarz złagodniała, minęły napady majaczenia, sypiał spokojnie. Wrócił mu apetyt. Już wkrótce chadzał z chaty do ogrodu o własnych siłach i wydawał polecenia Piętaszkowi.

Jego powrót do zdrowia powitałam z zadowoleniem. W Brazylii widywałam i młodszych mężczyzn zabranych przez gorączkę; był w istocie jeden taki dzień i jedna noc, kiedy poczułam pewność, że Kruzo umiera, i z przerażeniem czekałam chwili, gdy zostaną sama z Piętaszkiem. Wierzę, że Kruzo uratowało właśnie czynne życie, któ-

re wiódł – czynne życie i prosta stawa, nie zaś jakoweś moje umiejętności.

Wkrótce potem mieliśmy wielką nawałnicę, z wyciem wichru i potokami deszczu. Gwałtowny podmuch zerwał część dachu, zalało ogień, któregośmy strzegli tak zazdrośnie. Przesunęliśmy łóżko w ostatni suchy kąt; nawet tam podłoga wnet zmieniła się w bajoro.

Sądziłam, że Piętaszka przerazi ryk żywiołów (nigdy dotąd nie przeżyłam takiej burzy: współczułam nieszczęsnym żeglarzom na morzu). Lecz nie, Piętaszek siedział pod okapem, oparł głowę na kolanach i spał niby dziecko.

Po dwóch nocach i dniu deszcz ustał, wyszliśmy zatem rozprostować członki. Ogród nieomalże zmyło do cna, a tam gdzie w dół stoku biegła ścieżka, wody wyłobily żleb głęboki do pasa. Plażę zaściełały wodorosty wyrzucane przez fale. Później znowu spadł deszcz; na trzecią z rządu noc powróciliśmy do swego nędznego schronienia, głodni, zziębnięci, nie mogąc rozniecić ognia.

Owej nocy Kruzo – choć jak się zdawało, całkiem ozdrowiał – skarżył się na gorąco; cisnął precz okrycie i mocno dyszał. Wnet począł majaczyć i rzucać się z boku na bok, jak gdyby się dusił, aż myślałam, że łóżko trzaśnie. Chwycałam go za ramiona i próbowałam uspokoić, lecz mnie odtrącił. Ciałem targały mu straszliwe dreszcze; zeszywniał jak deska, jął coś ryczeć o *Masa* bądź *Massa* – nie domyślałam się nawet, coż to słowo znaczy. Rozbudzony harmidrem Piętaszek wydobył swą piszczałkę i dalejże wygrywać ową przeklętą melodię, aż na koniec – w deszczu i wichrze, przy wrzaskach Kruzo i Piętaszkowej muzyce – gotowa byłam uwierzyć, że się znalazłam w domu dla obłąkanych. Aliści nadal przytrzymałam Kruzo i go uspokajałam, aż nareszcie znieruchomiał, Piętaszek zaprzestał hałasów i nawet deszcz przedniał. Wyciągnę-

łam się obok Kruzo, by ogrzać go własnym ciałem; z czasem drzenie ustało i obydwójce zapadliśmy w sen.

Oprzytomniałam w świetle dnia, pośród niezwykłej ciszy: nawałnica wreszcie przeszła. Po mym ciele sunęła czyjaś dłoń. Tak byłam zamroczona, iż mi się zdziało, że nadal jestem na statku, w łóżku portugalskiego kapitana. Wszelako obróciwszy się, ujrzałam zmierzwioną czuprynę Kruzo, gęstą, nigdy nie strzyżoną brodę i jego żółte oczy; pojęłam, że to wszystko prawda, że istotnie los rzucił mnie na wyspę, kędy żył mężczyzna nazwiskiem Kruzo, wprawdzie Anglik, lecz równie mi obcy jak Lapończyk. Odepchnęłam jego rękę i próbowałam wstać, ale mnie przytrzymał. Bez wątpienia zdołałabym się uwolnić, byłam bowiem silniejsza od niego. Pomyślałam wszakże: Nie zazał kobiety od piętnastu lat, czemuż by nie miał zaspokoić żądy? Przeto już mu się nie opierałam, lecz pozwoliłam czynić, jak chciał. Skoro opuściłam chatę, nigdzie nie dostrzegłam Piętaszka, co mnie ucieszyło. Oddaliłam się kawałek, po czym usiadłam, chcąc zebrać myśli. W zaroślach wokół mnie przysiadły stadkiem wróble, ciekawie przekrzywiały łebki, bez krzty lęklivosti, jako że od zarania czasu nie zazały od człowieka ni jakiej krzywdy. Czy powinnam żałować tego, co zaszło między mną a Kruzo? Czy lepiej byłoby nadal żyć niby brat i siostra albo gospodarz i gość, albo też pan i służa – czy kim tam jeszcześmy dla siebie byli? Przypadek rzucił mnie na tę wyspę, przypadek rzucił mnie w jego ramiona. Czy w świecie przypadku istnieje jakieś „lepiej” i „gorzej”? Poddajemy się uściskowi nieznanomego lub oddajemy falom; na mgnienie oka czujność nasza przygasa; zasypiamy; a przebudziwszy się, widzimy, że oto życie utraciło kierunek. Czymże są owe okamgnienia, przed którymi chroni nas jeno wieczne i nieludzkie czu-

wanie? Czy nie szparami i szczelinami, kędy w życiu naszym przemawia inny głos, inne głosy? Jakim prawem zatykamy uszy? Owe pytania odbijały mi się echem w głowie – bez odpowiedzi.

Pewnego dnia, wędrując przez północne krańce wyspy, po Urwisku, spostrzegłam poniżej Piętaszka, niósł na ramieniu kłodę czy też belkęomalże tak długą jak on sam. Gdy tak patrzyłam, przemierzył skalną półkę wystającą ze ściany klifu, spuścił kłodę na fale – woda była tam głęboka – i siadł na niej okrakiem.

Często przyglądałam się Piętaszkowi, kiedy łowił ryby: stał wówczas na skałach, czekając, aż ryba podpłynie, za czym z wielką zręcznością ciskał w nią włócznię. Nie było dla mnie jasne, w jaki sposób mógłby polować, leżąc brzuchem do dołu na swym niezgrabnym stateczku.

Atoli Piętaszek nie łowił ryb. Powiosłowawszy kilkadziesiąt jardów od półki, zapuściwszy się w największą gęstwę wodorostów, sięgnął do woreczka wiszącego na szyi i jął wyciągać garściami białe płatki, które wnet rozrzucił po wodzie. Zrazu sądziłam, że to przynęta gwoli zwabienia ryb; lecz nie – rozsiawszy wszystkie płatki, obrócił swą łódź i skierował ją na powrót ku występowi, gdzie z wielkim trudem wylądował, walcząc z przybojem.

Wiedziona ciekawością, pragnąc się dowiedzieć, cóż to takiego ciskał na fale, czekałam owego wieczoru, póki Piętaszek nie poszedł napełnić misek wodą. Natenczas zajrzałam pod jego matę i odkryłam tam mały zawiązywany woreczek; wewnątrz znalazłam kilka białych płatków i pączków jeżynowych – jeżyny kwitły podówczas w różnych partiach wyspy. Wywnioskowałam tedy, iż Piętaszek składał ofiarę bogu fal, ażeby ów zrządził obfitość ryb, lub też odprawiał jakowys inny zabobonny rytuał.

Nazajutrz, jako że morze pozostało spokojne, przemierzyłam śladami Piętaszka skały poniżej Urwiska, aż stanęłam na samej krawędzi półki. Woda zimna była i mroczna; na myśl o tym, iżbym miała się powierzyć owym głębinom i popłynąć – czy to na kłodzie, czy nie – pomiędzy kołujące ramiona wodorostów, kędy bez wątpienia zawisły przyczajone mątwy, czekając na zdobycz, co wpadnie im w macki – na samą myśl o tym zdrzżałam. Po Piętaszkowych płatkach nie zostało ni śladu.

Dotychczas poświęcałam życiu Piętaszka ledwie tyle uwagi, ile żywotowi psa albo też innego jakiegoś niemego stworzenia – zaiste, mniej nawet, albowiem przerażało mnie tamto okaleczenie, każąc mi wcale o Piętaszku nie rozmyślać i się wzdragać, gdy do mnie podchodził. Owo rozrzucanie płatków stanowiło pierwszy znak, że pod tępą i niemłą powłoką drga w istocie duch lub też dusza – jakkolwiek by rzecz tę nazwać.

– Gdzie zatonął statek, którym żeglowaliście z Piętaszkiem? – spytałam Kruzo.

Wskazał tę część wybrzeża, dokąd jeszcze nie zachodziłam.

– Gdybyśmy potrafili zanurkować do wraku, nawet teraz – rzekłam – moglibyśmy stamtąd uratować najbardziej potrzebne narzędzia. Ot, chociażby piłę albo siekiere, obu nam przecież brakuje. Wręgi również można by oblużować i przenieść tutaj. Czyż nie ma żadnego sposobu, by zbadać wrak? Czy Piętaszek nie dałby rady tam popłynąć, wplaw bądź na jakiej kłodzie, a potem zanurkować obwiązany w pasie liną, gwoli bezpieczeństwa?

– Statek spoczywa na dnie oceanu, zgruchotany przez fale i przykryty piaskiem – odparł Kruzo. – To, co się nie poddało soli i morskim skorupiakom, nie będzie warte uratowania. Mamy dach nad głową, zrobiony bez po-

mocy piły ani siekiery. Śpimy, jemy, żyjemy. Nie trzeba nam narzędzi.

Mówił tak, jak gdyby narzędzia były wymysłem barbarzyńcy. Ja atoli wiedziałam, że gdybym dopłynęła na brzeg z piłą uwiązaną do kostki nogi, wzięłby tę piłę i użył jej z największą radością.

Pozwolę sobie teraz opowiedzieć o terasach Kruzo.

Pokrywały owe terasy większą część zbocza na wschodnim krańcu wyspy, najlepiej tam chronione od wiatru. Kiedy przybyłam, było dwanaście terasowych poziomów, a każdy wrzynał się w stok blisko na dwadzieścia kroków, obwałowany kamiennym murem grubości jarda, murem w najwyższym miejscu sięgającym głowy dorosłego mężczyzny. Na wszystkich terasach grunt zniwelowano i oczyszczono; kamienie tworzące mury zostały wykopane z ziemi bądź skądś przyniesione po jednym. Spytałam Kruzo, ile ich zużył. Sto tysięcy albo i więcej – odrzekł. Wielka to praca – zauważyłam. Lecz w cichości ducha pomyślałam: Czyżby nagą ziemię, spieczoną słońcem i otoczoną murami, istotnie wypadało przedkładać nad kamyki, zarośla tudzież roje ptactwa?

– Czy jest pańskim zamiarem wykarczować całą roślinność tej wyspy i wszystko zmienić w terasy? – zagadnęłam.

– Gdyby chcieć oczyścić całą wyspę, trzeba by na to pracy wielu ludzi i więcej niżli jednego życia – odrzekł; przez co sobie uświadomiłam, iż wolał zrozumieć jeno literę mojego pytania.

– A co, panie, zasiejesz, skoro już do tego przyjdzie?

– Sianie nie do nas należy. Nie mamy czego posiać... w tym właśnie całe nasze nieszczęście. – Po czym spojrział na mnie z tak żalosną godnością, że mogłam się być ugrzyć w język. – Sianie pozostawimy tym, co nadej-

dą po nas i będą dość przewidujący, by przywieźć ziarno. Ja tylko oczyszczam dla nich grunt. Oczyszczanie gruntu i gromadzenie kamieni to zaiste niewiele, lecz przecież lepsze to, niż gdybym miał siedzieć beczynnie. – Później zaś dodał z wielkim przejęciem: – Proszę, pani, zapamiętaj jedno: nie każdy człowiek naznaczony piętnem rozbitka jest rozbitkiem w głębi serca.

Długo dumałam nad owymi słowami, lecz pozostały dla mnie niejasne. Kiedy, mijając terasy, widziałam tego człowieka, już niemłodego, mozolącego się w skwarze dnia, by wydobyć z ziemi ogromny kamień, bądź cierpliwie wycinającego trawę – gdy tak czekał rok po roku na zbawczego rozbitka, który przybędzie łódką, z workiem zboża u stóp – nieodmiennie znajdowałam ów sposób uprawy ziemi po prostu głupim. Wydawało mi się, że Kruzo równie dobrze mógłby trawić czas, kopiąc w poszukiwaniu złota albo też kopiąc groby, w pierw dla siebie i Piętaszka, później – jeśli wola – dla wszystkich rozbitków w przyszłej historii tej wyspy. a wreszcie i dla mnie.

Czas mijał w narastającej nudzie. Skoro już wyczerpałam pytania, jakie zadawałam Kruzo o terasy, o łódź, której nie myślał zbudować, o dziennik, którego nie myślał prowadzić, o narzędzia, których nie myślał uratować z wraku, i o język Piętaszka, pozostało nam rozmawiać jedynie o pogodzie. Kruzo nie snuł żadnych opowieści o swym życiu kupca i plantatora, o życiu sprzed katastrofy okrętu. Nie dbał zgoła, jakim sposobem znalazłam się w Bahii ani co tam robiłam. Kiedy rozprawiałam o Anglii i o tym wszystkim, co zamierzam zobaczyć, czego dokonać, skoro nadejdzie ratunek, jak gdyby mnie nie słyszał. Zupełnie jakby pragnął, iżby jego historia rozpoczęła się z chwilą jego przybycia na wyspę, moja z chwilą mego tu przybycia, i żeby nasza wspólna historia na

też wyspie również się zakończyła. Niechaj w żadnym razie dla Kruzo nie nadejdzie ocalenie – mówiłam sobie; albowiem świat po swych poszukiwaczach przygód spodziewa się opowieści, ciekawszych opowieści aniżeli buchalteryjne wyliczanki względem tego, ile kamieni przenieśli przez piętnaście lat, skąd je nosili i dokąd. Uratowany Kruzo sprawi światu rozczarowanie; idea jakowegoś Kruzo na wyspie lepsza jest niżli prawdziwy Kruzo, matomówny i markotny w obcej mu Anglii.

Dni przepędzałam, spacerując po urwiskach albo brzegiem morza lub też śpiąc. Nie zaofiarowałam się pomóc Kruzo na terasach, gdyż pracę tę uważałam za głupią. Sprawiałam sobie czapkę z klapkami do zawiązywania na uszach; nosiłam ją, a czasem też zatykałam uszy koreczkami, aby nie słyszeć wiatru. Przeto stałam się głucha, tak jak Piętaszek był niemy: co za różnica – na wyspie, gdzie nikt się nie odzywał? Halka, w której tu przyplłynęłam, podarła się w strzępy. Skórę miałam brunatną niczym Indianka. Byłam w kwiecie wieku – i oto co mnie teraz spotkało. Nie płakałam; wszelako czasem nagle sobie uświadamiałam, że siedzę na nagiej ziemi, zasłoniwszy oczy rękoma, kołyszając się w przód i w tył, pojękując, i nie wiedziałam zgoła, jak się tam znalazłam. Gdy Piętaszek stawiał przede mną strawę, chwytalam kęsy brudnymi palcami i pochłaniałam je niby pies. Przykucałam w ogrodzie, nie dbając, czy ktoś mnie widzi. I wciąż, bez końca lustrowałam horyzont. Nie miało znaczenia, kto się pojawi, Hiszpan, Rusin czy kanibal, bylebym tylko mogła uciec.

Był to dla mnie czas najmroczniejszy, ów czas rozpacz i letargu; stałam się wtedy dla Kruzo takim samym ciężarem, jakim on był dla mnie, gdy majaczył w gorączce.

A później, krok po kroku, odzyskałam ducha i znowu jęłam się przykładać do drobnych prac. Jakkolwiek nie

żywiłam wobec Kruzo cieplejszych uczuć, byłam wdzięczna, że ścierpiał moje humory i mnie nie wypędził.

Kruzo już na mnie więcej nie nastawał. Przeciwnie, zachowywał taką rezerwę, jak gdyby nic między nami nie zaszło. Bynajmniej tego nie żałowałam. Aliści wyznam, iż gdybym żywiła przekonanie, że resztę swych dni muszę przepędzić na wyspie, to znowu bym mu się ofiarowała albo też mu się narzuciła, wręcz uczyniła wszystko, co konieczne, by począć i powić dziecko; albowiem posępne milczenie, którym napiętnował nasze życie, wpędziłoby mnie w szaleństwo – żeby już nie wspomnieć o perspektywie przeżycia ostatnich moich lat samotnie z Piętaszkiem.

Pewnego dnia zapytałam Kruzo, czy na jego wyspie obowiązują jakoweś prawa, a jeśli tak, to jakie; czy też może woli się stosować do wewnętrznych nakazów, ufając, iż własne serce poprowadzi go ścieżką prawości. Tak mi odrzekł:

– Prawa ustanawia się w jednym tylko celu: ażeby trzymać nas w karbach, skoro w swoich żądzach tracimy umiar. Dopóki pożądamy wstrzemięźliwie, niepotrzebne nam prawa.

– Ja odczuwam żądzę ratunku bez wątpienia nieumiarkowaną – powiedziałam. – Pali mnie ta żądza dzień i noc, nie umiem myśleć o niczym innym.

– Nie życzę sobie o tym słuchać – odparł Kruzo. – Żądza pani dotyczy innych spraw, nie dotyczy tej wyspy, nie jest jej rzeczą. Na wyspie nie istnieje żadne prawo prócz tego, że będziemy pracować na chleb, a to już przykazanie. – Z tymi słowy się oddalił.

Odpowiedź owa mnie nie zadowoliła. Jeżeli byłam jedynie trzecią gębą do wykarmienia, a nie wykonywałam nijakiej pożytecznej pracy na terasach, co powstrzymywało Kruzo od skrępowania mi rąk i nóg, ciśnięcia mnie

z urwiska w morze? Co przez te wszystkie lata powstrzymywało Piętaszka od zmiżdżenia kamieniem głowy pana, gdy ów spał, który to uczynek położyłby kres niewolnictwu i zapoczątkował panowanie bezczynności? I co powstrzymywało Kruzo od wiązania Piętaszka co noc do słupa, jak psa, aby spać w tym większym poczuciu bezpieczeństwa, albo też od oślepienia sługi, jako w Brazylii oślepia się osły? Zdało mi się, że na wyspie wszystko jest możliwe, wszelka tyrania i okrucieństwa, jakkolwiek w mniejszym wymiarze; a skoro pomimo owej możliwości żyliśmy ze sobą w pokoju, niewątpliwie stanowiło to dowód, że rządzą tu pewne prawa, choć nam nie znane, bądź też że przez cały czas kierowaliśmy się podszeptami serc, a serca nas nie zwiodły.

– Jak, panie, karzesz Piętaszka, kiedy już to robisz? – spytałam przy innej okazji.

– Nie ma potrzeby go karać – odparł Kruzo. – Piętaszek przeżył ze mną wiele lat. Nie znał innego pana. Jest mi powolny we wszystkim.

– A przecież postradał język. – Słowa te same mi się wyrwały.

– Piętaszek postradał język, jeszcze nim został mym sługą. – Kruzo wpatrzył się we mnie z wyzwaniem. Milczałam. Pomyślałam jednak: Wszystkich nas spotyka kara, dzień w dzień. Ta wyspa jest naszą karą, ta wyspa i nasze własne towarzystwo, aż do grobowej deski.

Moja ocena Kruzo nie zawsze była tak surowa. Pewnego wieczora, widząc go, jak stoi na Urwisku, ze słońcem całym czerwonym i szkarłatnym za plecami, zaparty w morze, z laską w dłoni i w tej wielkiej stożkowatej czapie na głowie, pomyślałam: Zaiste, królewska to postać, prawdziwy król swej wyspy. Wróciłam myślami na ów padół melancholii, który przeżyłam, kiedy to snu-

łam się tam i sam pogrążona w apatii, oplakując swe nie-
szczęście. Jeżeli wówczas poznałam niedolę, o ileż głę-
szą musiał cierpieć Kruzo w owych wczesnych dniach?
Czy nie należy słusznie go uznać za bohatera, co stawiał
czoło głuszy, zabił potwora samotności i powrócił umoc-
niony swym zwycięstwem?

Niegdyś, widząc Kruzo w owej wieczornej pozie, są-
dziłam, iż tak jak ja wypatruje na horyzoncie żagla. Wsze-
lako byłam w błędzie. Jego wizyty na Urwisku przynale-
żały do innych praktyk – zatapiania się w kontemplacji
przestworu wody i niebios. Piętaszek nigdy mu nie prze-
szkadzał w tych chwilach odosobnienia; gdy razu pew-
nego ja tam podeszłam, w dobrej wierze, Kruzo odpra-
wił mnie z gniewnymi słowy, po czym przez wiele dni nie
mówiliśmy ze sobą. Jeśli o mnie idzie, niebo i morze po-
zostały niebem i morzem, pustymi, nudnymi. Nie leżało
w mym usposobieniu umiłowanie takiej pustki.

Muszę panu opowiedzieć o śmierci Kruzo i o tym, jak
nas uratowano.

Pewnego ranka – upłynął już przeszło rok, odkąd zo-
stałam wyspiarką – Piętaszek przydzwigał swego pana z ter-
ras osłabionego i bliskiego omdlenia. Od razu spostrze-
głam, że gorączka wróciła. Żywiąc niejako złe przeczu-
cia, rozebrałam Kruzo, położyłam do łóżka i gotowałam
się poświęcić jego pielęgnacji, żalując, iż nie znam się le-
piej na stawianiu baniek i puszczaniu krwi.

Tym razem nie było żadnego majaczenia, wrzasków
ani zmagania. Kruzo leżał blady niby duch, zlany potem,
z szeroko otwartymi oczyma, niekiedy poruszając war-
gami, jakkolwiek nie potrafiłam rozróżnić ni słowa. Po-
myślałam: Umiera, nie zdołam go ocalić.

Już nazajutrz, jak gdyby zniknął urok rzucony spojrze-
niem Kruzo na fale, nieopodał wyspy zakotwiczył statek

handlowy „John Hobart”, udający się do Bristolu z ład-
dunkiem bawełny tudzież indygo; wnet też ruszyła na ład-
grupa marynarzy. Nic o tym nie wiedziałam, aż do chwili
gdy Piętaszek nagle wpadł do chaty, porwał swe włócznie
rybackie i pomknął ku stromiźnie, gdzie żyły małpy. Wów-
czas wyszłam i oto poniżej ujrzałam statek, marynarzy po-
śród takielunku, wiosła szalupy zanurzające się w falach.
Wydałam wielki okrzyk radości i padłam na kolana.

Pierwszy znak, iż do jego królestwa wkroczyli obcy,
Kruzo miał wówczas, gdy go dźwignęli z łóżka, ułożyli
na noszach i ponieśli ścieżką na wybrzeże; nawet wtedy
pewno uważał to wszystko za sen. Skoro jednak wwindo-
wano go na pokład „Hobarta”, skoro poczuł woń smoły
i posłyszał skrzypienie wręg, odzyskał przytomność i jął
tak gwałtownie się wrywać, że trzeba było silnych męż-
czyzn, by go poskromić i znieść pod pokład.

– Na wyspie jest jeszcze jeden człowiek – rzekłam ka-
pitanowi okrętu. – Murzyński niewolnik imieniem Pięta-
szek. Umknął pomiędzy urwiska na północnym wybrzeżu.
Żadne wasze słowa nie skłonią go do zaniechania opo-
ru, albowiem nie rozumie on słów ani też potęgi mowy.
Schwywanie go przysporzy niemałego trudu. Lecz błagam,
panie, raz jeszcze pošlij swoich ludzi na brzeg. Zważyw-
szy, że Piętaszek to niewolnik i dziecko, mamy obowią-
zek zatroszczyć się o niego we wszystkim i nie porzucać
go na pastwę samotności gorszej niżli śmierć.

Prośba moja została wysłuchana. Na ład ruszyła no-
wa grupa pod dowództwem trzeciego oficera. Otrzyma-
li rozkazy, aby w żadnym razie nie krzywdzić Piętaszka,
jest bowiem biednym głuptasem, lecz by uczynić wszyst-
ko, co konieczne, gwoli sprowadzenia go na pokład. Za-
ofiarowałam się towarzyszyć marynarzom, ale kapitan
Smith na to nie zezwolił.

Przeto zasiadłam z kapitanem w jego kajucie i spożyłam talerz solonej wieprzowiny z biskwitami, co wielce mi smakowało po roku rybnej diety, wypiliśmy też kieliszek madery i opowiedziałam swoją historię – tak jak i panu ją przekazałam – a kapitan wysłuchał mnie z wielką uwagą.

– Taką historię powinnaś, pani, spisać i zaoferować księgarzom – jał nakłaniać. – O ile mi wiadomo, w ojczyźnie naszej nigdy dotąd nie znano rozbitka płci pięknej. Rzecz wywołała ogromne poruszenie.

Smętnie potrząsnęłam głową.

– Kiedy tak panu opowiadam, moja historia wcale dobrze zabija czas, lecz skromna moja wiedza o pisarstwie mówi mi, że urok tej opowieści całkiem się rozwieje, skoro wyjdzie ona drukiem, czarno na białym. W pisaniu ginie żywość, którą zatem należy uzupełnić sztuką, a ja ową sztuką nie władam.

– Co się tyczy sztuki, ja, prosty marynarz, nie mogę tu wydawać sądu – powiedział kapitan Smith. – Ale miej, pani, pewność, że księgarze wynajmą sobie człowieka, iżby przedstawił historię we właściwy sposób, nieco też ją tu i ówdzie ubarwił.

– Nie pozwolę na żadne kłamstwa! – zaprotestowałam.

Uśmiechnął się kapitan.

– W tym względzie nie mogę za nich ręczyć. Parają się książkami, nie prawdą.

– Już raczej sama chcę być autorką własnej historii, aniżeli dopuścić, by rozpowiadano o mnie kłamstwa – upierałam się. – Jeśli nie będę mogła wystąpić jako autorka i dać słowa na prawdziwość mej opowieści, ileż ona warta? Równie dobrze mogłam ją sobie wyśnić w wygodnym łóżku w Chichester.

Wówczas to zawezwano nas na pokład. Marynarze wysłani na łód właśnie wracali: ku swej radości ujrzałam pomiędzy nimi ciemną sylwetkę Piętaszka.

– Piętaszku, Piętaszku! – zawołałam, kiedy szalupa przybiła do burty, i uśmiechnęłam się, pragnąc pokazać, że wszystko jest dobrze, że marynarze to przyjaciele, nie wrogowie. Atoli gdy Piętaszka wprowadzono na pokład, unikał mego wzroku. Zgarbiwszy plecy, opuściwszy głowę, czekał, co też go spotka.

– Czy można by go zaprowadzić do jego pana? – prosiłam kapitana. – Kiedy się przekona, że pan Kruzo ma dobrą opiekę, może przyjmie do wiadomości, że nie myślimy nikogo skrzywdzić.

A zatem, podczas gdy stawiano żagle i zmieniano kurs na przeciwny, poprowadziłam Piętaszka do kajuty, gdzie spoczywał Kruzo.

– Oto i twój pan, Piętaszku – rzekłam. – Teraz śpi, bo dostał wywar nasenny. Sam widzisz, że to dobry ludzie. Zabiorą nas do Anglii, do ojczyzny twego pana, a tam odzyskasz wolność. Przekonasz się, że życie w Anglii jest lepsze, niżli życie na wyspie było kiedykolwiek.

Wiedziłam, rzecz jasna, iż Piętaszek nie rozumie słów. Aliści już od pierwszych dni wierzyłam, że rozumie tony, że słyszy w ludzkim głosie życzliwość, gdy ta płynie ze szczerego serca. Przeto dalej do niego mówiłam, wciąż powtarzając te same słowa, kładąc mu dłoń na ramieniu, gwoli uspokojenia; podprowadziłam go do posłania pana i kazałam tam klęczeć, póki nie poczułam, jak spływa na nas spokój, póki towarzyszący nam marynarz nie zaczął ziewać i szurać nogami.

Uzgodniono, iż będę sypiać w kajucie Kruzo. Jeśli idzie o Piętaszka, to uprosiłam, aby go nie umieszczano wraz z prostymi marynarzami.

– Wolałby raczej spać na podłodze u stóp swego pana aniżeli na najmniejszym łożu w całym Chrześcijaństwie – rzekłam. Piętaszkowi zezwolono więc sypiać w kącie, kilka kroków od drzwi kajuty Kruzo. W czasie podróży prawie nie wyściubiał nosa poza tę swoją norkę, chyba że go prowadziłam w odwiedziny do jego pana. Ilekroć do Piętaszka przemawiałam, nieodmiennie uśmiechałam się i dotykałam jego ręki, postępując z nim tak, jak postępujemy ze spłoszonym koniem. Albowiem spostrzegłam, iż statek oraz marynarze niewątpliwie budzą w nim najmroczniejsze wspomnienia czasu, gdy porwano go z kraju rodzinnego i uwieziono w niewolę do Nowego Świata.

Przez całą podróż traktowano nas z wielką uprzejmością. Medyk okrętowy dwakroć w ciągu dnia odwiedzał Kruzo i puszczając mu krew, przysparzał znacznej ulgi. Kiedyśmy jednak znaleźli się na osobności, potrząsał głową.

– Mąż pani ginie w oczach – mawiał. – Obawiam się, żeśmy przybyli zbyt późno.

(Winnam w tym miejscu zaznaczyć, iż kapitan Smith mi podsunął, abym nazywała Kruzo swoim mężem i twierdziła, że wspólnie wyszliśmy z katastrofy okrętu – po to by ułatwić sobie sytuację zarówno na statku, jak i w Anglii, gdy już tam dotrzemy. Gdyby wyszła na jaw rzecz o Bahii i buntownikach, rzekł, niełatwo przyszyłoby ludziom wyrozumieć, jaką jestem kobietą. Roześmiałam się na te słowa – jaką kobietą, w rzeczy samej, byłam? – lecz zastosowałam się do jego rady, przeto wszyscy na statku znali mnie pod nazwiskiem pani Kruzo.

Pewnego dnia przy wieczerzy – przez cały ów czas jadałam przy kapitańskim stole – kapitan Smith szepnął mi na ucho, iż czułby się zaszczycony, gdybym zechciała póź-

niej złożyć mu wizytę w kajucie i wypić kieliszek kordiału. Udałam, że biorę jego propozycję za wyraz zwykłej galanterii, i nie poszłam. Więcej nie nalegał, lecz zachowywał się równie dwornie jak wprzódy. Znalazłam go dżentelmenem w każdym calu, aczkolwiek był zaledwie kapitanem okrętu i jak mi wyznał, synem przekupnia).

Nosiłam Kruzo posiłki do łóżka i zachęcałam go do jedzenia, jakby był dzieckiem. Niekiedy wiedział chyba, gdzie się znajduje, innym znów razem nie. Pewnej nocy, usłyszawszy, że wstaje, zapaliłam świecę i ujrzałam go przy drzwiach kajuty – napierał na nie, nie pojmując, iż otwierają się do środka. Podeszłam i dotknęłam go, a wówczas spostrzegłam, że twarz ma mokrą od łez.

– Chodźże, mój Kruzo – szepnęłam, odprowadziłam go do koi i uspokajałam, póki nie zasnął.

Na wyspie, ufam, Kruzo zdołałby jeszcze się otrząsnąć z gorączki, tak jak wiele razy przedtem. Albowiem choć już niemłody, zachował krzepkość. Teraz wszelako umierał z żałości, z najsroźszej żałości. Z każdym dniem coraz bardziej się oddalał od owego królestwa, za którym usychał z tęsknoty, do którego już nigdy nie odnajdzie drogi. Był więźniem, ja zaś, wbrew własnej woli, jego strażnikiem.

Niekiedy mamrotał coś przez sen po portugalsku – zawsze, zdawało się, gdy powracała wspomnieniem zamierzchnia przeszłość. Wówczas ujmowałam go za rękę albo kładłam się obok i mówiłam do niego.

– Czy pamiętasz, mój Kruzo – rozpoczynałam – jak po wielkiej burzy, co zerwała nam dach, leżeliśmy nocą, obserwując spadające gwiazdy, a potem się budziliśmy w blasku księżyca i myśleli, że to już dzień? W Anglii będziemy mieli nad głowami taki dach, którego nie zerwie żadna wichura. Lecz czy ci się nie wydawało, że

księżyc nad naszą wyspą większy jest niżli księżyc angielski, jakim go zapamiętałeś, a gwiazdy bardziej liczne? Może tam żyliśmy bliżej księżyca, tak jak z pewnością żyliśmy bliżej słońca.

– A jednak – ciągnęłam – skorośmy tam żyli bliżej niebios, czemu jeno w niewielkim stopniu można by tę wyspę nazwać niezwykłą? Czemuż nie było tam żadnego osobliwego owocu, żadnych węży, żadnych lwów? Dlaczego kanibale nigdy nie przybyli? Cóż opowiemy w Anglii naszym ziomkom, gdy nas poproszą, by ich rozweselić?

– Kruzo – mówię (to już nie ta sama noc, to noc inna, prujemy fale, skała Anglii majaczy wciąż bliżej) – czyż nikogo nie porzuciłeś w Brazylii? Czy jakowaś siostra nie oczekuje twego powrotu w brazylijskich dobrach, wraz z wiernym rządcą prowadzącym rachunki? Czy nie moglibyśmy wrócić do tej twojej siostry i spać tuż koło siebie w hamakach pod przepastnym brazylijskim niebem pełnym gwiazd?

Kładę się u boku Kruzo, czubkiem języka obrysowuję włochaty wir jego ucha. Ocieram się policzkami o szorstkie faworyty, rozciągam na nim, gładzę jego ciało udami.

– Pływam w tobie, mój Kruzo – szepczę, i płynę. Jest wysokim mężczyzną, ja wysoką kobietą. Oto i nasze parzenie: owo pływanie, owo gramolenie, owo naszeptywanie.

Albo też mówię o wyspie.

– Odwiedzimy zbożowego faktora, mój Kruzo, obiecuję ci – mówię. – Kupimy worek zboża, najprzedniejszego zboża. Znowu wsiądziemy na statek płynący do obu Ameryk i sztorm zniesie nas z kursu, i rzuci na twoją wyspę. Obsiejemy terasy, sprawimy, że zakwitną. Wszystkiego tego dokonamy.

To nie owe słowa, to żarliwość, z jaką je wypowiadam: Kruzo ujmuje moją rękę między swe kościste dłonie i podnosi ją do ust, i szlocha.

Od portu dzieliły nas jeszcze trzy dni, gdy Kruzo umarł. Spałam przy nim na wąskiej koi. Nocą słyszałam, jak wydaje długie westchnienie; za czym poczułam, że nogi ogarnia mu chłód, zapaliłam więc świecę, jęłam mu rozcierać skronie i nadgarstki. Wszelako do tej pory wyzionął już ducha. Wysłałam tedy z kajuty i przemówiłam do Piętaszka:

– Piętaszku, twój pan nie żyje – szepnęłam.

Piętaszek spoczywał w swej ciasnej niszy otulony starym płaszczem marynarskim, wyszukany dlań przez medyka okrętowego. Oczy mu zaślniły w blasku świecy, lecz ani drgnął. Czy pojmował, co to śmierć? Na jego wyspie nikt nie umarł od zarania czasu. Czy wiedział, iż podlegamy śmierci, tak samo jak zwierzęta? Wyciągnęłam rękę, ale nie chciał jej ująć. Przeto wiedziałam, że coś wie; choć co takiego wie, nie wiedziałam.

Kruzo pochowano nazajutrz. Załoga stała z odkrytymi głowami, kapitan zmówił modlitwę, dwóch marynarzy przechyliło mary. Doczesne szczątki Kruzo – zaszyte w płócienny całun, z ostatnim ściegiem przeciągniętym przez nos (widziałam, jak to uczynili, Piętaszek także widział), okrecone grubym łańcuchem – ześliznęły się w fale. Podczas całej ceremonii czułam na sobie ciekawskie spojrzenia marynarzy (dotąd nieczęsto wychodziłam na pokład). Bez wątpienia osobliwy przedstawiałam sobą widok, w ciemnym płaszczu pożyczonym od kapitana, okrywającym marynarskie pantaloney tudzież sandały z małpiej skóry. Czy istotnie brali mnie za żonę Kruzo, czy też zdążyły już do nich dotrzeć opowieści – portowe tawermy pełne są plotek – opowieści o Angielce z Bahii, porzu-

conej na Atlantyku przez portugalskich buntowników? Czy ty, panie Foe, uważasz mnie za panią Kruzo, czy też za zuchwałą awanturnicę? Cokolwiek sobie myślisz, to ja dzieliłam łożę z Kruzo i ja zamknęłam Kruzo oczy, ja także rozporządzam wszystkim, co Kruzo po sobie pozostawi, a jest tym historia jego wyspy.

II

15 kwietnia

Mieszkamy teraz na Clock Lane opodal Long Acre. Podaję się za panią Kruzo – proszę o tym pamiętać. Ja wynajmuję pokój na piętrze. Piętaszek ma łóżko w piwnicy, dokąd też zanoszę mu posiłki. Żadną miarą nie mogłam go porzucić na wyspie. Atoli wielkie miasto to nie miejsce dla niego. Piętaszkowe pomieszczenie i rozpacz, gdy go prowadziła ulicami w ubiegłą sobotę, wręcz rozdzierały mi serce.

Za mieszkanie płacimy w sumie pięć szylingów. Cokolwiek pan przyśle, będę wdzięczna.

Spisałam historię owego czasu spędzonego na wyspie – spisałam najlepiej, jak umiałam – i moje zapiski niniejszym załączam. Żałośnie to się przedstawia, kulawo (myśle, historia, nie sam ów czas), „nazajutrz”, brzmi refren, „nazajutrz... nazajutrz”, lecz pan już będzie wiedział, jak rzecz odpowiednio przysposobić.

Zapewne pan się zastanawia, jak to się stało, że pana wybrałam, skoro tydzień temu nawet nie znałam pańskiego nazwiska. Przyznaję, gdy po raz pierwszy pana ujrzałam, sądziłam, że jesteś prawnikiem lub też kimś z giełdy. Aliści potem ktoś ze służby mi powiedział: to pan Foe, autor, który wysłuchał wielu wyznań i cieszy się reputa-

cją człowieka nader dyskretnego. Padał deszcz (czy pan pamięta?); przystanął pan na schodku, by zapiąć płaszcz, a ja także wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi.

– Wybacz mi, panie, moją śmiałość... – rzekłam (tak brzmiały tamte słowa, śmiałe słowa).

Zmierzył mnie pan wzrokiem, lecz nie odpowiedział, a ja sobie pomyślałam: Jakaż to niby sztuka wysłuchiwać zwierzeń? Pająk posiadał taką samą, pająk, co obserwuje i czeka.

– Jeśli mi wolno, panie, zająć ci chwilkę: szukam nowej posady.

– Wszyscy jej szukamy – pan mi odrzekł.

– Ale ja muszę jeszcze o kogoś się troszczyć, o mężczyznę, Murzyna, który nigdy żadnej posady sobie nie znajdzie, albowiem postradał język. Miałam nadzieję, że może pan da mi jakieś zajęcie, i jemu takż, w swoim domu.

Do tej pory włosy już mi przemokły, nie wzięłam nawet szala. Deszcz kapał z ronda pańskiego kapelusza.

– Najęłam się tutaj do pracy, lecz przywykłam do czegoś lepszego – ciągnęłam. – Nigdy dotąd, panie, nie słyzałaś takiej historii jak moja. Dopiero co powróciłam z dalekich stron. Byłam rozbitkiem na wyspie bezludnej. Tam też byłam towarzyszką nader osobliwego człowieka. – Uśmiechnęłam się, nie do pana, lecz z przyczyny tego, co zamierzałam powiedzieć. – Jestem uosobieniem losu, panie Foe. Jestem tym dobrym trafem, którego zawsze się spodziewamy.

Czy słowa te zabrzmiały bezczelnie? Czy bezczelnością był uśmiech? Czy to właśnie bezczelność obudziła pańskie zainteresowanie?

Dzięki za trzy gwinee. Kupiłam Piętaszkowi wełniany kaftan (takie noszą rozwoziciele piwa), również wełniane pończochy. Jeżeli ma pan jakowąś zbywającą bieliznę, przyjmę ją z wdzięcznością. Piętaszek ubranie nosi bez sprzeciwu, butów wszelako jeszcze nie chce włożyć.

Czy nie mógłbyś, panie, wziąć nas do siebie? Czemu każesz mi mieszkać osobno? Czy nie możesz mnie przyjmując do swego domu jako osobistą służącą, Piętaszka zaś jako ogrodnika?

Wspinam się po schodach (wysoki to dom, wysoki i przewiewny, o wielu kondygnacjach), pukam do pańskich drzwi. Pan siedzi przy stole, plecami do mnie, na kolanach ma pled, na nogach domowe pantofle, spogląda pan na pola, rozmyśla, gładzi się po brodzie piórem, czeka, aż postawię tacę i się oddalę. Na tacy szklanka z gorącą wodą, do której wcisnęłam cytrynę, i dwie grzanki posmarowane masłem. Nazywa to pan pierwszym śniadaniem.

Pokój jest umeblowany nader skąpo. W istocie to nie pokój, lecz część strychu, dokąd pan się usuwa ze względu na panującą tu ciszę. Stół i krzesło stoją pod oknem na platformie z desek. Od drzwi strychu aż do owej platformy takż leżą deski, tworzą wąską ścieżkę. Prócz nich widać jedynie deski stropu – człowiek stąpa po nich na własne ryzyko – i krokwie, a nad głową szare dachówki. Na podłodze grubą warstwą zalega kurz; gdy wiatr dmuchnie pod okapem, kurz poczyna wirować, z kątów dobiegają jakby pojękiwania. Są tu również myszy. Nim pan zejdzie na dół, musi chować swoje papiery, aby je przed owymi myszami uchronić. Rankiem zmiata pan ze stołu mysie bobki.

W szybie okiennej jest zmarszczka. Poruszając głowę, można sprawić, iżby zmarszczka ta zaczęła wędrować.

wać po krowach skubiących trawę na pastwisku, po zaranej ziemi poza nim, po rzędzie topoli, wreszcie w górę, w niebo.

Myślę o panu jakoby o sterniku prowadzącym potężny kadłub tego domu poprzez noce i dni, baczenie wyglądającym oznak sztormu.

Pańskie papiery spoczywają w kufrze tuż obok stołu. Strona po stronie powędruje tam również historia wyspy Kruzo, w miarę jak będziesz ją spisywał, i dołączy do sterty innych papierów: do spisu londyńskich żebraków, do statystyki urodzeń i zgonów od czasu wielkiej zarazy, do relacji o podróżach przez szkockie pogranicze, do sprawozdań o dziwacznych i zaskakujących zjawiskach, do rejestrów z handlu wełną, do kroniki żywota tudzież zapatrywań Dickory Cronke'a (któż to taki?); a także do książek opisujących podróże do Nowego Świata, pamiętników opisujących niewolę wśród Maurów, kronik opisujących wojny w Niderlandach, do wyznań notorycznych złoczyńców, a wreszcie do rozlicznych opowieści rozbitków, z których to historii większość, jak zgaduję, roi się od kłamstw.

Gdy byłam na wyspie, marzyłam jeno o tym, by się znaleźć gdzie indziej, czy raczej, jak naówczas mówiłam, by mnie uratowano. Aliści teraz budzi się we mnie tęsknota, choć nie sądziłam, że ją kiedykolwiek pocuję. Zamykam oczy i oto dusza moja mnie opuszcza, frunie ponad domami i ulicami, ponad lasami i pastwiskami, z powrotem do naszego dawnego domu, domu Kruzo i mojego. Nie zrozumiesz, panie, owej tęsknoty po tym, jak tyle napowiadałam o nudzie naszego życia. Może powinnam była napisać coś więcej o przyjemności, jakiej zaznawałam, spacerując boso po chłodnym piasku naszego gospodarstwa, coś więcej o ptakach, małych różnorakich ptasz-

kach, których nazw nigdy nie poznałam, a które z braku lepszego miana nazywałam wróblami. Któż, jeśli nie sam Kruzo – a jego nie ma już pośród żywych – potrafiłby naprawdę przekazać panu historię Kruzo? Powinnam była mniej opowiadać o nim, a więcej o sobie. Jakim sposobem – na początek – córka moja zaginęła i jak podążając jej śladem, dotarłam do Bahii? Jak przetrwałam pomiędzy obcymi ludźmi tamte dwa długie lata? Czy mieszkałam tylko w pokojach umeblowanych, tak jak mówiłam? Byłaż Bahia wyspą pośród oceanu brazylijskich puszcz, a pokój mój samotną wyspą w Bahii? Kim był ówże kapitan, którego przeznaczeniem stał się wieczny rejs po najdalszych południowych morzach, w okowach lodu? Z wyspy Kruzo nie przywiozłam ni piórka, ni szczypty piasku. Mam jedynie sandały. Gdy rozmyślam nad swą historią, istnieję w niej – zda się – ledwie jako ktoś, kto przybył, ktoś, kto pozostał świadkiem, ktoś, kto pragnął odejść: jako istota niematerialna, widmo przy prawdziwym ciele Kruzo. Czy tak się przedstawia los wszystkich narratorów? Wszak i ja byłam ciałem, tyleż co Kruzo. Jadłam i piłam, budziłam się i spałam, tęskniłam. Wyspa należała do Kruzo (jakim jednak prawem? prawem wysp? czy takowe istnieje?), lecz ja również tam mieszkałam, nie byłam ptakiem wędrownym, głuptakiem ani albatrosem, który raz okrążywszy wyspę i musnąwszy ją skrzydłem, odlatuje ponad bezkresny ocean. Przywróćże mi moją utraconą materię, panie Foe: o to błagam. Albowiem choć historia moja przekazuje prawdę, nie przekazuje materii prawdy (widzę to jasno, nie ma potrzeby udawać, że jest inaczej). Aby wypowiedzieć prawdę w całej jej materialności, konieczny jest człowiekowi spokój i wygodne krzesło z dala od wszelkiej dystrakcji, a także okno, by przez nie wyglądać; i jeszcze sztuka dostrzegania fal, tam

gdzie przed oczyma ciągną się pola, i wyczuwania słońca tropików, gdy jest zimno; a na czubkach palców słowa zdolne uchwycić wizję, zanim ta zblaknie. Ja nic z tego nie mam, pan natomiast ma wszystko.

21 kwietnia

Wczorajszy mój list mógł wskazywać, jakoby sztywność ze sztuki pisarskiej. Proszę o wybaczenie, byłam niesprawiedliwa. Niech mi pan wierzy, przychodzą takie chwile, że gdy myślę o tym, jak pan się mozoli tam na strychu, aby ożywić swych rzeźmieszków, kurtyzany i grenadierów – aż mi się serce kraje ze współczucia i pragnę jedynie służyć pomocą. Myślę o panu (proszę mi wybaczyć owo wyrażenie) jako o zwierzęciu pociągowym, a o pańskim domu jako o wozie, który musisz wlec, wozie pełnym stołów, krzeseł i szaf, a zwieńczonym żoną (nie wiem nawet, czy masz żonę!) i niewdzięcznymi dziećmi, leniwą służbą, psami i kotami – wszyscy oni zjadają twoje wiktuały, spalają twój węgiel, ziewają i śmieją się, nie bacząc na twój trud. Wczesnym rankiem, leżąc w ciepłym łóżku,omalże słyszę szuranie pańskich stóp, gdy otulony pleciem wspina się pan po schodach na strych. Tam się sadowi, oddychając z wysiłkiem, zapala lampę, zaciska powieki i poczyną brnąć na powrót do miejsca, w którym był pan ubiegłej nocy, brnąć przez ciemność i chłód, przez deszcz, ponad polami, kędy leżą przytulone do siebie owce, ponad lasami, ponad morzami, aż do Flandrii czy gdzie tam pańscy kapitanowie i grenadierzy także muszą teraz się poruszyć, rozpocząć kolejny dzień swego żywota, a tymczasem z kątów strychu popatrują na pana myszy z drgającymi wąsami. Praca postępuje nawet w niedzielę, jak gdyby całe regimenty stóp mogły zapaść w wiecznotrwały sen, jeśliby ich co dzień nie budzić i nie popy-

chać do działania. Nawet dręczony przeziębieniem dalej pan się trzyma, okręcony szalami, wydychując nos, odchrząkując, spluwając. Niekiedy tak pan jest znużony, że aż światło świecy skacze panu przed oczyma. Kładzie pan głowę na rękach i w jednej chwili zasypia; papier znaczący czarna krecha, tam gdzie pióro wysliznęło się z palców. Usta się otwierają, pochrapuje pan z cicha, pachnie (po raz drugi proszę o wybaczenie) niczym starzec. Jakżeby chciała ci pomóc, panie Foe, jakżeby chciała, by to było w mojej mocy! Zamykam oczy, zbieram siły, posyłam w dal wizję wyspy, aby zawisała przed panem niby materialne ciało, wraz z ptakami, pchłami i rybami wszelkich odcieni, z jaszczurkami, co wygrzewają się w słońcu, migając czarnym językiem, ze skałami pokrytymi warstwą pąkli, z deszczem bębniącym o liściany dach i z wiatrem, nieustannym wiatrem: żeby wizja owa tam trwała, żebyś mógł z niej czerpać, ilekroć zajdzie taka potrzeba.

25 kwietnia

Pytał pan, jak to się stało, iż Kruzo nie uratował z wraku choćby jednego muszkietu, dlaczego człowiek, który tak się lękał kanibali, nijak się nie uzbroił.

Kruzo nigdy mi nie pokazał, gdzie leży wrak, lecz żywi przekonanie, że spoczywał – i spoczywa nadal – w głębokiej wodzie pod urwiskiem na północnym krańcu wyspy. Gdy sztorm najsrożej się rozszał, Kruzo skoczył za burtę z młodzieńcem Piętaszkiem u boku, być może skoczyli też inni marynarze; aliści uratowali się jeno ci dwaj za sprawą wielkiej fali, która ich porwała i uniosła na brzeg. Teraz ja pytam: Kto zdoła wynieść suchy proch z takiego wodnego brzuszyska? Ponadto: Czemu niby człowiek miałby próbować ocalić muszkiet, gdy ledwie ma nadzieję ocalić własne życie? Co zaś się tyczy ka-

nibali, to pomimo obaw Kruzo brak mi jakoś przekonania, iż na tych morzach w ogóle takowych się spotyka. Mógłby mi pan słusznie odrzec, że skoro się nie spodziewamy ujrzeć rekinów płasających pośród fal, nie powinniśmy też się spodziewać widoku kanibali płasających na plaży; że miejsce kanibali jest wśród nocy, tak jak miejsce rekinów w głębinach. Ja mówię tylko: To, com widziała, opisałam. Nie widziałam żadnych kanibali; a jeżeli nadchodzili po zmroku i umykali przed świtem, to ich stopy nie pozostawiały nijakiego śladu.

Ubiegłej nocy śniłam o śmierci Kruzo, a gdy się obudziłam, po policzkach spływały mi łzy. Tedy leżałam długą chwilę, smutek wciąż ścisnął mnie za serce. Później zeszedłam na nasz dziedzińczyk przy Clock Lane. Jeszcze nie dniało; niebo było czyste. Pod tymiż samymi cichymi gwiazdami – pomyślałam – unosi się wyspa, gdzieśmy żyli; a na owej wyspie jest chata, w chacie zaś postanie z miękkiej trawy, które, co możliwe, nadal nosi odcisnięty ślad, z każdym dniem słabszy, ślad mego ciała. Dzień po dniu wiatr targa dachem, skroś teras wije się zielsko. Za rok, za lat dziesięć nic się nie ostanie prócz kręgu żerdek znaczących miejsce, kędy była chata, a po terasach zostaną jeno mury. O murach powiedzą: To mury kanibali, ruiny kanibalskiego miasta, ze złotego wieku kanibali. Albowiem któż uwierzy, że mury owe wzniósł jeden mężczyzna i jeden niewolnik, w nadziei, iż pewnego dnia przybędzie jakowyś żeglarz z workiem zboża, aby je mogli posiać?

Napomknął pan, że byłoby lepiej, gdyby Kruzo uratował nie tylko muszkiet, proch i kule, lecz także komplet narzędzi stolarskich, i zbudował sobie łódź. Nie chcę łapać pana za słowa, mieszkaliśmy atoli na wyspie tak mocno smaganej wiatrem, iż wszelakie drzewa rosły skręco-

ne i przygięte. Mogliśmy byli zbudować tratwę, jakąś koślawą tratwę, nigdy jednak łódź.

Rozpytywał pan również o przyodziewek Kruzo, sporządzony z małpich skór. Niestety, ów zabrali z naszej kajuty i cisnęli za burtę ciemni marynarze. Jeżeli tego pan sobie życzy, narysuję nas takimi, jacyśmy byli na wyspie, w strojach, jakieśmy tam nosili.

Marynarską bluzę tudzież pantalon, które oblekłam na statku, oddałam Piętaszkowi. Ma ponadto swój kaptan oraz płaszcz marynarski. Piętaszkowa piwnica wychodzi na dziedzińczyk, toteż chłopak może sobie spacerować, kiedy tylko wola. Wszelako rzadko gdziekolwiek chadza, nazbyt jest bowiem załęczniony. Czym sobie wypełnia czas, nie wiem, jako że w piwnicy nie ma nic prócz Piętaszkowej pryczy, skrzyni z węglem i kawałków połamanych mebli.

Aliści już się widocznie rozeszła wieść, jakoby przy Clock Lane pomieszkiwał kanibal, gdyż wczoraj u drzwi piwnicy zdybałam trójkę chłopców, którzy tam zaglądali, by się przyrzec Piętaszkowi. Odpędziłam ich, za czym stanęli przy końcu uliczki, skandując słowa: „Kanibal Piętaszek, kanibalski ptaszek, zjadł dziś swą mamusię, a co, może nie?”

Piętaszek przedwcześnie się starzeje, niczym pies przez całe życie trzymany w zamknięciu. Ja również, obcując ze starcem i śpiąc w jego łóżku, posunęłam się w latach. Chwilami uważam się za wdowę. Jeżeli w Brazylii pozostała jakowaś żona, byłybyśmy teraz siostrami – swego rodzaju siostrami.

Dwa razy w tygodniu, rankami, wolno mi korzystać z pomywalni, uczę tedy Piętaszka prac; inaczej gnuśność całkiem go zepsuje. Ustawiam go przy zlewie, odzianego w ów strój marynarski, bosego – jak zwykle – na zimnej podłodze (nie chce nosić butów).

nibali, to pomimo obaw Kruzo brak mi jakoś przekonania, iż na tych morzach w ogóle takowych się spotyka. Mógłby mi pan słusznie odrzec, że skoro się nie spodziewamy ujrzeć rekinów płasających pośród fal, nie powinniśmy też się spodziewać widoku kanibali płasających na plaży; że miejsce kanibali jest wśród nocy, tak jak miejsce rekinów w głębinach. Ja mówię tylko: To, com widziała, opisałam. Nie widziałam żadnych kanibali; a jeżeli nadchodzili po zmroku i umykali przed świtem, to ich stopy nie pozostawiały nijakiego śladu.

Ubiegłej nocy śniłam o śmierci Kruzo, a gdy się obudziłam, po policzkach spływały mi łzy. Tedy leżałam długą chwilę, smutek wciąż ścisnął mnie za serce. Później zeszedłam na nasz dziedzińczyk przy Clock Lane. Jeszcze nie dniało; niebo było czyste. Pod tymiż samymi cichymi gwiazdami – pomyślałam – unosi się wyspa, gdzieśmy żyli; a na owej wyspie jest chata, w chacie zaś posłanie z miękkiej trawy, które, co możliwe, nadal nosi odcisnięty ślad, z każdym dniem słabszy, ślad mego ciała. Dzień po dniu wiatr targa dachem, skroś teras wije się zielsko. Za rok, za lat dziesięć nic się nie ostanie prócz kręgu żerdek znaczących miejsce, kędy była chata, a po terasach zostaną jeno mury. O murach powiedzą: To mury kanibali, ruiny kanibalskiego miasta, ze złotego wieku kanibali. Albowiem któż uwierzy, że mury owe wzniósł jeden mężczyzna i jeden niewolnik, w nadziei, iż pewnego dnia przybędzie jakowyś żeglarz z workiem zboża, aby je mogli posiać?

Napomknął pan, że byłoby lepiej, gdyby Kruzo uratował nie tylko muszkiet, proch i kule, lecz także komplet narzędzi stolarskich, i zbudował sobie łódź. Nie chcę łapać pana za słowa, mieszkaliśmy atoli na wyspie tak mocno smaganej wiatrem, iż wszelakie drzewa rosły skręco-

ne i przygięte. Mogliśmy byli zbudować tratwę, jakąwąś koślawą tratwę, nigdy jednak łódź.

Rozpytywał pan również o przyodziewek Kruzo, sporządzony z małpich skór. Niestety, ów zabrali z naszej kajuty i cisnęli za burtę ciemni marynarze. Jeżeli tego pan sobie życzy, narysuję nas takimi, jacyśmy byli na wyspie, w strojach, jakieśmy tam nosili.

Marynarską bluzę tudzież pantalon, które oblekłam na statku, oddałam Piętaszkowi. Ma ponadto swój kaptan oraz płaszcz marynarski. Piętaszkowa piwnica wychodzi na dziedzińczyk, toteż chłopak może sobie spacerować, kiedy tylko wola. Wszelako rzadko gdziekolwiek chadza, nazbyt jest bowiem załęczniony. Czym sobie wypełnia czas, nie wiem, jako że w piwnicy nie ma nic prócz Piętaszkowej pryczy, skrzyni z węglem i kawałków połamanych mebli.

Aliści już się widocznie rozeszła wieść, jakoby przy Clock Lane pomieszkiwał kanibal, gdyż wczoraj u drzwi piwnicy zdybałam trójkę chłopców, którzy tam zaglądali, by się przyrzec Piętaszkowi. Odpędziłam ich, za czym stanęli przy końcu uliczki, skandując słowa: „Kanibal Piętaszek, kanibalski ptaszek, zjadł dziś swą mamusię, a co, może nie?”

Piętaszek przedwcześnie się starzeje, niczym pies przez całe życie trzymany w zamknięciu. Ja również, obcując ze starcem i śpiąc w jego łóżku, posunęłam się w latach. Chwilami uważam się za wdowę. Jeżeli w Brazylii pozostała jakowaś żona, byłybyśmy teraz siostrami – swego rodzaju siostrami.

Dwa razy w tygodniu, rankami, wolno mi korzystać z pomywalni, uczę tedy Piętaszka prac; inaczej gnuśność całkiem go zepsuje. Ustawiam go przy zlewie, odzianego w ów strój marynarski, bosego – jak zwykle – na zimnej podłodze (nie chce nosić butów).

– Przyjrzyj się, Piętaszku! – mówię i zaczynam mydlić halkę (z mydłem trzeba go zapoznać, nigdy w życiu czegoś takiego nie widział, na wyspie używaliśmy popiołu bądź piasku), po czym trę halką o tarę. – A teraz zrób to, Piętaszku! – Odstępuję w bok. „Przyjrzyj się” i „zrób”: oto dwa moje główne słowa do Piętaszka i nimi to wiele osiągam. Straszliwy to upadek, wiem, po swobodzie na wyspie, gdzie mógł się włóczyć cały dzień, wybierać ptasie jaja i polować z włócznią na ryby, jeśli tylko nie wzywały go terasy. Lecz niewątpliwie lepiej jest się uczyć pożytecznych prac, aniżeli leżeć samotnie w piwnicy jak dzień długi, rozmyślając Bóg wie o czym?

Kruzo nie zamierzał go uczyć, albowiem – powiedział – Piętaszkowi niepotrzebne słowa. Atoli Kruzo się mylił. Życie na wyspie, nim tam przybyłam, mniej byłoby nudne, gdyby nauczył Piętaszka rozumieć angielską mowę i gdyby obmyślił jakiś sposób, by Piętaszek mógł wyrażać własne myśli, chociażby gestykulując albo układając kamyki w kształty odpowiadające słowom. Wówczas Kruzo mógłby przemawiać do Piętaszka na swoją modłę, a Piętaszek odwzajemniać mu się na swoją, i tak zdolaliby zabić wiele pustych godzin. Nie potrafię bowiem uwierzyć, iż życia Piętaszka, zanim wpadł Kruzo w ręce, nie ożywiało nijakie zainteresowanie, aczkolwiek był ledwie dzieckiem. Wiele bym dała, by usłyszeć prawdziwą relację o tym, jak go porwali handlarze niewolnikami i jak postradał język.

Piętaszek wielce sobie upodobał płatki owsiane: codziennie pochłania tyle owsianki, ile trzeba do wykarmienia tuzina Szkotów. Owe nazbyt obfite posiłki oraz polegiwanie w łóżku ze szczętem go otumanily. Widząc jego brzuch napięty niby bęben, jego chude kończyny i jego apatię, nie uwierzyliby pan zgoła, że to ten sam człowiek,

który zaledwie parę miesięcy temu stał, balansując na skałach, wśród wodnej mgiełki, w słonecznym świetle pełzającym po jego członkach, dzierżąc wzniesioną włócznię, w jednej chwili gotów trafić rybę.

Podczas gdy pracuje, ja uczę go nazw przedmiotów. Podnoszę łyżkę, mówię: – Łyżka, Piętaszku! – po czym wtykam mu łyżkę do ręki. Później mówię: – Łyżka! – i wyciągam po nią dłoń. Żywię nadzieję, że dzięki temu z upływem czasu słowo „łyżka” mimowolnie zabrzmiechem w głowie, ilekroć wzrok Piętaszka padnie na rzeczoną łyżkę.

Najmocniej się obawiam tego, iż po latach niemoty mógł utracić samo wyobrażenie mowy. Gdy biorę łyżkę z jego ręki (wszelako czy dla niego to rzeczywiście łyżka, czy też byle przedmiot – tego nie wiem), gdy mówię „łyżka”, skąd pewność, że w jego pojęciu nie gaworzę do siebie na podobieństwo sroki czy małpy, gwoli samej przyjemności słuchania własnego głosu i odczuwania poruszeń języka, tak jak on sam znajdował przyjemność w grze na fujarce? Prawda, można wziąć tępe dziecko, wykręcić mu rękę albo uszczypnąć je w ucho, aż nareszcie powtórzy po nas: „łyżka”. Cóż jednak mogę uczynić z Piętaszkiem?

– Łyżka, Piętaszku! – mówię. – Widelec! Nóż!

Myślę o korzeniu języka, ukrytym za tymi ociężałymi wargami niczym ropucha w czas wieczystej zimy, i wstrząsa mną dreszcz.

– Szczotka, Piętaszku! – mówię, gestami naśladuję zamiatanie, wciskam mu szczotkę do rąk. Albo też przynoszę do pomywalni książkę.

– To jest książka, Piętaszku – oznajmiam. – A w książce historia napisana przez słynnego pana Foe. Nie znasz tego dżentelmena, lecz właśnie teraz pisze on inną histo-

rię, historię twoją, twego pana i moją. Pan Foe cię dotąd nie poznał, ale wie o tobie, wie, bo ja mu opowiedziałam za pomocą słów. To właśnie część słownej magii. Za pośrednictwem słów przekazałam panu Foe szczegółową relację o tobie i panu Kruzo, o roku mego pobytu na wyspie, o latach, które obydwaj z panem Kruzo spędziliście tam sami, przekazałam o tyle, jak potrafiłam; pan Foe zaś wszystkie te szczegóły wplata w opowieść, która przysporzy nam sławy w całym kraju, a też bogactwa. Nie będziesz już musiał mieszkać w piwnicy. Będziesz miał pieniądze, by wykupić sobie przejazd do Afryki czy Brazylii, dokądkolwiek zapragniesz się udać, i powieźć tam wspaniałe dary. Wówczas znów się połączysz z rodzicami, jeśli cię jeszcze pamiętają, i wreszcie weźmiesz sobie żonę, i będziesz miał dzieci, synów i córki. A ja dam ci twój własny egzemplarz książki, oprawny w skórę, abyś go zabrał ze sobą. Pokażę ci, jak masz odszukać tam własne imię, kartka po kartce, iżby twoje dzieci wiedziały, że ojca ich znają we wszystkich stronach świata, gdzie czyta się książki. Czyż pisanie nie jest rzeczą wspaniałą, Piętaszku? Czyż nie przepęlnia cię radość na myśl, że będziesz żył wiecznie, poniekąd wiecznie?

Tak oto pana przedstawiwszy, otwieram pańską książkę i czytam Piętaszkowi.

– To historia pani Veal, jeszcze jednej skromnej osoby, która za sprawą pisarstwa pana Foe stała się sławna – mówię. – Niestety, nigdy nie poznamy pani Veal, ponieważ zesła z tego świata. Co zaś do jej przyjaciółki, pani Barfield, ta mieszka w Canterbury, mieście położonym nieco dalej na południe od nas, na tej wyspie, gdzie się znajdujemy, wyspie zwanej Brytanią. Wątpię, żebyśmy kiedykolwiek tam się wybrali.

Podczas gdy tak paplam, Piętaszek mozoli się przy tarze. Nie spodziewam się żadnej oznaki zrozumienia. Wy-

starczy mi nadzieja, że jeśli powietrze wokół niego zagęszczę słowami, to odrodzą się Piętaszkowe wspomnienia zamarte pod panowaniem Kruzo, a wraz z nimi świadomość, iż żyć w milczeniu to jakby żyć na podobieństwo wielorybów, ogromnych wieżyc mięsa, co dryfują o całe mile od siebie nawzajem, albo też żyć niczym pająki, z których każdy tkwi samotnie pośrodku swej sieci, stanowiącej dla niego cały świat. Piętaszek, owszem, postradał język, atoli uszu nie stracił – tak sobie mówię. Za pośrednictwem uszu może jeszcze ogarnąć bogactwo nagromadzone w przeróżnych historiach i przez to się dowiedzieć, że świat nie jest – jak widocznie uczyła go wyspa – miejscem jałowym i cichym (jak pan myśli, czy w angielskiej mowie słowo *story*, historia, ma właśnie takie ukryte znaczenie: składnica wspomnień, od *store*, gromadzić bądź składować?).

Przyglądam się stopom Piętaszka, gdy podkurcza palce na deskach podłogi czy na bruku, i wiem, że łaknie miękkiej ziemi pod nogami. Jakże żałuję, że nie ma tu ogrodu, dokąd mogłabym go zaprowadzić! Czy nie pozwoliłby pan nam dwojgu odwiedzić swego ogrodu w Stoke Newington? Zachowywalibyśmy się cicho niby para duchów. – Łopata, Piętaszku! – szeptałabym, podsuwając mu łopatę pod rękę. A później: – Kop! – tego słowa go nauczył jego pan – spulchnij ziemię, złóż chwasty na kupę do spalenia. Pomacaj łopatę. Czyż to nie wspaniałe, ostre narzędzie? To łopata angielska, wykonana w angielskiej kuźni.

Obserwując tedy jego dłoń, gdy chwyta za szpadel, obserwując jego oczy, szukam pierwszego znaku, iż rozumie, na co się porywam: nie idzie mi o to, by oplewił klomby (z pewnością ma pan własnego ogrodnika), nie o to nawet, by go uchronić przed gnuśnością lub też,

ze względu na jego zdrowie, wyprowadzić z piwnicznego mroku, lecz o to, by zbudować most ze słów, którym – skoro pewnego dnia dostatecznie się ów most umocni – Piętaszek zdoła przejść do czasu sprzed Kruzo, do czasu, zanim utracił język, do chwili, kiedy żył pogrążony w słownej paplaninie tak bezrozumnie jak ryba w wodzie; stamtąd mógłby krok po kroku powrócić, w dostępnym sobie wymiarze, do świata słów, gdzie żyjesz ty, panie Foe, i ja, i inni ludzie.

Albo też przynoszę pański sekator i pokazuję Piętaszkowi, jak go używać.

– Tu, w Anglii – mówię – mamy w zwyczaju sadzić żywopłoty, aby oznaczyć granice naszych włości. Bez wątplenia nie byłoby to możliwe w afrykańskich puszczech. Aliści tutaj sadzimy żywopłoty, a później równo je przycinamy, żeby wytyczyć swoje ogrody ze starannością.

Obcinam gałązki, póki Piętaszek nie pojmie, co robię: nie wycinam przejścia przez pański żywopłot, nie ścinam go, lecz równo przycinam z jednej strony.

– A teraz, Piętaszku, weź sekator! – mówię. – Tnij!

Piętaszek bierze sekator i tnie – prościutko. Wiem, że to potrafi, albowiem jego kopanie jest bez zarzutu.

Mówię sobie, iż przemawiam do Piętaszka, aby nauką wydobyć go z ciemności i ciszy. Czy to jednak prawda? Zdarzają się chwile, gdy opuszcza mnie życzliwość, i wówczas traktuję słowa jedynie jako najprostszy sposób podporządkowania Piętaszka mej woli. W takich chwilach rozumiem, czemu Kruzo wolał nie naruszać jego niemothy. Innymi słowy, rozumiem, dlaczego człowiek decyduje się trzymać niewolnika. Czy przez to wyznanie straciłam w pańskich oczach?

28 kwietnia

List mój z dwudziestego piątego wrócił nie otwarty. Oby to była jakaś prosta omyłka. Tenże sam list załączam.

1 maja

Odwiedziłam Stoke Newington i zastałam pański dom zajęty przez komorników. To okrutne tak mówić, lecz omal się nie roześmiałam, odkrywszy, że taki był powód pańskiego milczenia – nie stracił pan zainteresowania, nie wymazał nas z pamięci. Teraz atoli muszę zadać sobie pytanie: Dokąd mam wysyłać listy? Czy nadal pan będzie spisywał naszą historię, pozostając w ukryciu? Czy dalej będzie łożył na nasze utrzymanie? Czy Piętaszek i ja to jedyne postaci ulokowane w wynajętych pokojach, podczas gdy opisuje pan ich losy, czy też jest nas znacznie więcej, rozsianych po Londynie – starych weteranów włoskich kampanii, porzuconych kochanek, skruszonych rozbójników, nieuchwytnych złodziei? Jak pan sobie poradzi, żyjąc w ukryciu? Czy ma pan jakąś kobietę, która by przyrządzała posiłki i prała panu bieliznę? Czy można zaufać pańskim sąsiadom? Niechże pan pamięta: komornicy wszędzie mają swoich szpiegów. Proszę się wystrzegać szynków. Jeśliby coś pana dręczyło, proszę przyjść na Clock Lane.

8 maja

W ubiegłym tygodniu, muszę wyznać, dwukrotnie zachodziłam do pańskiego domu, w nadziei, że usłyszę jakoś wieści. Niech pan się nie złości. Nie wyjawiałam pani Thrush, kim jestem. Powiedziałam jedynie, że przynoszę panu wiadomość, wiadomość najwyższej wagi. Podczas pierwszej mojej wizyty pani Thrush jasno dała do zrozu-

mienia, iż mi nie wierzy. Atoli okazawszy stosowne przejęcie, teraz już ją sobie pozyskałam. Przyjęła moje listy, obiecując, że nie wpadną w niepowołane ręce, co, jak mniemam, oznacza, że je panu przekaże. Czy mam słuszność? Czy do pana docierają? Pani Thrush, jak wyznała, trapi się pańskim losem i nie może się doczekać odejścia komorników.

Komornicy rozlokowali się w bibliotece. Jeden sypia na otomanie, drugi, jak się wydaje, na dwóch zsuniętych fotelach. Posiłki sprowadzają sobie z King's Arms. Gotowi są czekać miesiąc, dwa miesiące, rok – tak powiadają – aby wręczyć ten swój nakaz. Miesiąc, owszem, w to wierzę, ale nie rok – nie zdają sobie sprawy, jak długo ów może trwać. To właśnie jeden z komorników, odrażające indywiduum nazwiskiem Wilkes, otworzył mi drzwi za drugą moją tam bytnością. Wyobraża sobie, jakobym nosiła wiadomości od pana do pani Thrush. Zanim odeszłam, przyszpilił mnie w korytarzu i jął opowiadać o więzieniu za długi, owym Fleet, o tym, jak mężczyźni trawią tam życie opuszczeni przez rodziny, istni rozbitkowie w sercu miasta. Któż cię uratuje, panie Foe, jeśli cię aresztują i osadzą za murami Fleet? Sądziłam, że masz żonę, lecz pani Thrush mówi, iż od wielu lat jesteś wdowcem.

Biblioteka cuchnie dymem fajkowym. Drzwi większej biblioteczki wybite, szkło ledwie podmiecione. Wilkes i jego kolega, jak twierdzi pani Thrush, zeszłej nocy sprowadzili tu sobie kobietę.

Wróciłam na Clock Lane zgębiona. Chwilami czuję, że siła moja nie zna granic, że zdołałabym unieść na własnych barkach pana i pańskie kłopoty, a też i komorników, jeśli trzeba, Piętaszka, Kruzo i wyspę. Lecz kiedy indziej spowija mnie istny całun znużenia; wtedy pragnę

się przenieść w nowe życie, do dalekiego miasta, gdzie nigdy więcej nie usłyszę pańskiego imienia ani imienia Kruzo. Panie Foe, czy nie mógłbyś się pospieszyć z pisanem, ażeby Piętaszek co prędzej wrócił do Afryki, ja zaś wyzwoliła się z monotonii życia, jakie wiodę? Ukrywanie się przed komornikami to zapewne nużące zajęcie, a pisanem nadzwyczaj miło wypełnia się czas. Pamiętnik, który dla pana skreśliłam, pisałam, siedząc na łóżku i trzymając papier na tacy wspartej o kolana; serce przepełniał mi lęk, że Piętaszek umknie z piwnicy albo też pójdzie na przechadzkę i zginie w labiryntach Covent Garden, owego ludzkiego mrowiska. Aliści ukończyłam pamiętnik w trzy dni. W historii, którą pan spisuje, gra idzie o większą stawkę, pierwsza to przyznam, albowiem historia ta nie tylko musi przekazywać prawdę o nas, lecz także zadowolić czytelnika. Czy jednak nie zechciałbyś, panie, pamiętać, iż dopóki jej nie skończysz, życie moje trwać będzie w posepnym zawieszaniu?

19 maja

Dni mijają, a ja nie mam od pana ani słowa. Przy ścianie pod moim oknem rozkwitają mlecze – jedyne nasze kwiaty na Clock Lane. Do południa w pokoju jest już skwar. Uduśzę się, jeżeli lato nadejdzie, a ja nadal pozostanę w zamknięciu. Łaknę ulgi – spacerów na powietrzu, przechadzek w samej koszuli, jakie zwykłam odbywać na wyspie.

Tamte trzy gwinee od pana wydałam. Przyodziejewek dla Piętaszka mocno uszczuplił tę kwotę. Zalegam z komornym za ten tydzień. Wstyd mi schodzić na dół i przyrządzać naszą nędzną kolację z solonego grochu.

Do kogo piszę? Osuszam kartki i ciskam przez okno. Niech je czyta kto bądź.

Dom w Newington zamknięty, pani Thrush i służba odeszli. Gdy wymawiam pańskie nazwisko, sąsiedzi nabierają wody w usta. Co się stało? Czyżby komornicy cię wytopili? Czy zdołasz dalej pisać w więzieniu?

29 maja

Zamieszkaliśmy w pańskim domu, skąd teraz piszę. Czy to pana dziwi? W oknach były już pajęczyny, któreśmy zmietli. Niczego nie popsujemy. Gdy pan wróci, znikniemy niby duchy, bez skargi.

Siedzę przy twoim stole, wyglądam przez twoje okno. Piszę twoim piórem na twoim papierze, a wypełnione kartki składam do twojego kufra. Przeto twoje życie toczy się dalej, chociaż ciebie nie ma.

Brak mi jedynie światła. W domu nie została ani jedna świeca. Może to wszelako dar boski. Skoro nie wolno nam odsuwać zasłon, przywyknijemy do życia w półmroku za dnia, w ciemności nocą.

Nie jest tu całkiem tak, jak sobie wyobrażałam. Pańskie biurko, jak o nim myślałam, to wcale nie biurko, lecz sekretarzyk. Okno nie wychodzi na lasy i pastwiska, ale na ogród. W szkle nie ma zmarszczki. Kufer to nie prawdziwy kufer, tylko skrzynka na papiery. Atoli wszystko jest dostatecznie zbliżone. Czy pana to również dziwi, tak jak dziwi mnie – owa zgodność między przedmiotami w ich prawdziwej postaci a obrazami przedmiotów powstałymi w naszej wyobraźni?

Obejrzelśmy z Piętaszkiem ogród. Klomby kwiatowe gęsto zarosły zielskiem, ale marchew i fasola obrodziły. Każę Piętaszkowi zabrać się do plewienia.

Mieszkamy tu niczym najpokorniejsi z ubogich krewnych. Pańską najlepszą pościel odłożyliśmy; jadamy na zastawie służby. Proszę mnie uważać za podupadłą kuzynkę dalekiego krewniaka, wobec której ma pan jeno najskromniejsze zobowiązania.

Nie daj Bóg, abyś wsiadł na statek zmierzający ku koloniom. Obawiam się, a jest to najskrytszy z moich lęków, iż atlantycki sztorm zagna okręt na skały, których próżno szukać na mapie, i rzuci cię na jakowąś jałową wyspę.

W swoim czasie na Clock Lane, wyznam, żywiłam do pana gorzką urazę. Odwrócił od nas myśli – mówiłam sobie – z równą łatwością, jakbyśmy byli parą jego flandryjskich grenadierów, aliści zapomniał, że choć owi grenadierzy zapadają w czarodziejski sen, ilekroć on sam się oddala, to Piętaszek i ja nadal jemy, pijemy, trapimy się. Wydawało się, iż tylko jedno mam wyjście – pójść na ulicę i żebrać albo kraść, albo też zrobić coś jeszcze gorszego. Teraz atoli, gdy mieszkamy w pańskim domu, powrócił spokój. Skąd to się bierze, nie wiem, lecz do tego domostwa – którego aż do ubiegłego miesiąca nie widziałam na oczy – żywię takie same uczucia, jakie żywimy dla domu, gdzieśmy się urodzili. Wszystkie kąciki i kryjówki, wszelkie ukryte zakątki ogrodu sprawiają wrażenie tak znajomych, jak gdybym w zapomnianym dzieciństwie bawiła się tutaj w chowanego.

Jakże znaczną część życia trawię na czekaniu! W Bahii niemal wyłącznie czekałam, aczkolwiek czasem nie wiedząc na co. Na wyspie bezustannie czekałam na ratunek. Tutaj czekam, aż pan się pojawi albo też zostanie napisana owa książka, co mnie oswobodzi od Kruzo i Piętaszka.

Dzisiejszego ranka usiadłam przy pańskim sekretarzyku (teraz jest popołudnie, siedzę przy tymże sekretarzyku, siedziałam tu cały dzień), wyjęłam czystą kartkę i umoczyłam pióro w atramencie – pańskie pióro, w pana atramencie, wiem, lecz pióro poniekąd staje się moje, gdy nim piszę, jak gdyby wyrastało mi z dłoni – za czym skreśliłam nagłówek: „Kobieta Rozbitkiem. Prawdziwa Relacja o Roku przeżyтым na Wyspie Bezludnej. Z Wieloma osobliwymi Przypadkami nigdy dotąd niepodawanymi do Wiadomości”. Następnie sporządziłam listę wszystkich osobliwych przypadków owego roku, jakie tylko zapamiętałam: rebelia i mord na portugalskim okręcie, zamek Kruzo, sam Kruzo ze swą lwią grzywą i odzieniem z małpich skór, jego niemy niewolnik Piętaszek, rozległe terasy, które wzniesli i na których nie rośło nic, straszliwa burza, co zerwała dach naszego domu i usłała plaże krociami zdychających ryb. Pełna wątpliwości pomyślałam: Czy doprawdy wystarczy tych osobliwych przypadków, by się złożyły na historię? Jak prędko zacznę, mimo woli, wymyślać nowe i bardziej osobliwe: uratowanie ze statku Kruzo narzędzi oraz muszkietów; budowa łodzi, a przynajmniej łódeczki i próba pożeglowania na stały ląd; nadejście kanibali, następnie potyczka i niejedna krwawa śmierć; a wreszcie przybycie złotowłosego nieznajomego z workiem zboża i obsianie teras? Zaiste, czyż kiedyś zaświta taki dzień, gdy potrafimy układać historie bez osobliwych przypadków?

Pozostaje też kwestia Piętaszkowego języka. Na wyspie pogodziłam się z tym, że nigdy się nie dowiem, jak go Piętaszek postradał, podobnie jak pogodziłam się z tym, iż nigdy się nie dowiem, jak małpy przebyły ocean. Aliści tego, co jakoś akceptujemy w życiu, w opowieści nie możemy zaakceptować. Opowiedzieć moją historię i za-

milczeć o Piętaszkowym języku to niewiele lepiej, aniżeli oferować na sprzedaż książkę, w której po cichutku zostało się puste strony. Wszelako jedyny język zdolny wyjaśnić tajemnicę Piętaszka to jego własny, utracony!

A zatem dzisiejszego ranka sporządziłam dwa szkice. Jeden przedstawiał mężczyznę odzianego w kaftan, rybaczki i stożkową czapkę, mężczyznę z faworytami na kształt sterczących wiechci i z wielkimi kocimi oczyma. Przed nim klęczała druga postać – Murzyn, prócz spodni zupełnie nagi, trzymający ręce za plecami (ręce miał związane, tego wszakże nie było widać). W lewej dłoni postać ozdobiona faworytami ścisnęła żywy język owej klęczącej postaci; w prawej, wzniesionej, dzierżyła nóż.

O drugim szkicu opowiem panu za chwilę.

Zaniosłam szkice Piętaszkowi do ogrodu.

– Przyjrzyj się tym obrazkom, Piętaszku – nakazałam – a potem mi powiedz: na którym jest prawda? – Podniosłam pierwszy. – Pan Kruzo – wyjaśniłam, wskazując postać z faworytami. – Piętaszek – wyjaśniłam, wskazując klęczącego. – Nóż – wyjaśniłam, wskazując nóż. – Kruzo uciął język Piętaszka. – Wysunęłam własny i uczyniłam ruch naśladujący ucinanie. – Czy to prawda, Piętaszku? – nalegałam, zaglądając mu głęboko w oczy. – Pan Kruzo uciął ci język?

(Piętaszek, rozumowałam, nie zna może znaczenia słowa „prawda”; gdyby jednak obrazek mój obudził jakoweś wspomnienie prawdy, z pewnością Piętaszkowe spojrzenie stałoby się chmurne; bo czyż oczu słusznie nie nazywamy zwierciadłem duszy?)

Wszelako mówiąc tak, już jęłam powątpiewać. Jeśli by bowiem wzrok Piętaszka istotnie się zmącił, to czy nie dlatego, że oto wybiegłam z domu i nagle żądam, by oglą-

dał obrazki, czego nigdy przedtem nie robiłam? Czy sam obrazek nie mógł wprawić go w pomieszanie? (Albowiem studiując od nowa swój rysunek, zauważyłam z żalem, iż może on również przedstawiać Kruzo pod postacią dobroczynnego ojca, który wkłada kęs ryby do ust dziecka-Piętaszka). I jak zrozumiał mój gest, gdy pokazałam język? A jeżeli wśród afrykańskich kanibali wysunięcie języka oznacza to samo co u nas podanie ust? Czyby w takim razie mężczyzna nie zarumienił się ze wstydu, bo oto kobieta pokazuje język, a tu, z braku własnego, nie sposób się odzwajemnić?

Pokazałam drugi szkic. Ten również przedstawiał małego Piętaszka, z rękoma ściągniętymi za siebie, z szeroko otwartymi ustami; tu jednak mężczyzną z nożem był handlarz niewolnikami, wysoki i ciemnoskóry, w burnusie, nóż zaś miał kształt sierpa. Za plecami owego Maura kołysały się afrykańskie palmy.

– Handlarz niewolnikami – rzekłam, wskazując mężczyznę. – Człowiek, który łapie chłopców i sprzedaje ich w niewolę. Piętaszku, czy to handlarz niewolnikami uciął ci język? Handlarz czy pan Kruzo?

Aliści spojrzenie Piętaszka pozostało bezmyślne, aż jęło mnie ogarniać zniechęcenie. Skąd w końcu wiadomo, że nie postradał języka w wieku, gdy żydowskich chłopców poddaje się obrzezaniu; a skoro tak, jakże mógłby pamiętać okoliczności swego okaleczenia? Skąd wiadomo, iż w Afryce nie żyją całe plemiona, w których mężczyźni dotknięci są niemotą, mowa zaś to przywilej kobiet? Czemuż by nie? Świat jest bardziej różnorodny, niż oddajemy mu sprawiedliwość – taką między innymi naukę wyciągnęłam w Bahii. Czemu podobne plemiona nie miałyby istnieć, wydawać na świat potomstwa, rozkwitać i żyć w zadowoleniu?

A jeżeli istotnie był jakowyś handlarz niewolnikami, jakowyś Maur z zakrzywionym nożem, czy mój rysunek w ogóle go przypominał – czy przypominał Maura zapałanego przez Piętaszka? Czy wszyscy Maurowie są wysocy i przyodziani w białe burnusy? Może to zaufany niewolnik mauretański obcinał języki pojmanych, zasuszony czarny niewolnik w przepasce na biodrach? „Czy to wierny wizerunek człowieka, który uciął ci język?” – czyżby tak Piętaszek, na swój sposób, zrozumiał moje pytanie? Jeżeli tak właśnie, cóż mógł odpowiedzieć z wyjątkiem „nie”? A jeśli nawet to Maur uciął mu język, jego Maur był pewnie o cal wyższy aniżeli mój albo też o cal niższy, nosił się na czarno lub niebiesko, nie na biało; miał brodę, nie gładko wygoloną twarz; dzierżył prosty nóż, nie zakrzywiony; i tak dalej.

Stojąc tedy naprzeciw Piętaszka, z wolna podarłam swe obrazki. Zapadła długa cisza. Po raz pierwszy zauważyłam, jak długie są Piętaszkowe palce, zagięte na trzonku łopaty.

– Ach, Piętaszku – ozwałam się – katastrofa to rzecz wielce zrównująca, podobnie jak nędza, nam dwojgu jednak daleko jeszcze do równości. – Później, aczkolwiek nie dostałam nijakiej odpowiedzi, a też żadnej nie mogłam się spodziewać, mówiłam dalej, wypowiadając wszystko, co mi leżało na sercu: – Marnuj życie przez ciebie, Piętaszku, przez ciebie i twoją głupią historię. Nie chcę cię urazić, ale to prawda. Gdy już się zestarzeję, po latach spojrzę na to jak na wielką stratę czasu, jak na czas mego w czasie zatracenia. Co my tu robimy, ty i ja, pośród trzeźwych newingtońskich mieszczan, czekając na mężczyznę, który nigdy nie powróci?

Gdyby Piętaszek był kimkolwiek innym, pragnęłabym, żeby wziął mnie w ramiona i ukoił, albowiem rzadko ta-

ka się czułam nieszczęśliwa. Piętaszek atoli stał niby posąg. Nie wątpię, iż pomiędzy Afrykanami ludzkie uczucia przepływają równie żywo jak pośród nas. Wszelako nienormalne lata spędzone u boku Kruzo zmroziły Piętaszkowe serce, uczyniły go nieczułym, obojętnym, niczym zwierzę całkowicie zatopione jedynie we własnym jestestwie.

1 czerwca

W czas panoszących się komorników sąsiedzi, co zrozumiałe, omijali pański dom. Dziś jednak przyszedł z wizytą pewien dżentelmen nazwiskiem Summers, jak się przedstawił. Roztropnie podałam się za nową gospodynię, Piętaszka natomiast za ogrodnika. Ufam, iż słowa moje dostatecznie były wiarogodne, by przekonać pana Summersa, że nie ma do czynienia z Cyganami, którzy natknąwszy się na pusty dom, zamieszkali w nim. Sam dom, nie wyłączając biblioteki, czysty jest i schludny, Piętaszek pracował właśnie w ogrodzie, przeto kłamstwo nie wydawało się aż tak wielkie.

Niekiedy się zastanawiam, czy aby w jakowymś londyńskim mieszkaniu nie czeka pan niecierpliwie wieści, że rozbitkowie nareszcie się wynieśli, może pan więc swobodnie wrócić do siebie. Czy ma pan szpiegów, którzy zagląдают przez okna, sprawdzają, czy nadal tu pomieszkujemy? Czy we własnej osobie mijają pan codziennie dom, przychodząc w najszczelniejszym przebraniu? Czy w rzeczy samej kryjówka pańska nie znajduje się gdzieś w zaułkach Shoreditch albo Whitechapel, jak wszyscy przypuszczamy, lecz w tymże skąpanym w słońcu miasteczku? Czy ówże Summers należy do pańskich sprzymierzeńców? Czyżby pan zamieszkał na jego strychu i stamtąd baczenie śledził przez lunetę nasze życie? Jeżeli tak, uwierzy mi

pan, gdy powiem, iż życie nasze coraz to mniej się różni od życia, jakieśmy wiedli na wyspie Kruzo. Czasami, budząc się, nie wiem, gdzie jestem. Świat roi się od wysp – oświadczył kiedyś Kruzo. Słowa jego brzmią z każdym dniem prawdziwiej.

Piszę listy, zaklejam je, wrzucam do skrzynki na papierze. Pewnego dnia, gdy już stąd odejdziemy, pan je wysypie i pobieżnie przejrzy. „Lepiej gdyby byli jedynie Kruzo i Piętaszek – mruknij pan do siebie. – Lepiej bez kobiety”. Lecz jakże pan by sobie poradził bez kobiety? Czyby Kruzo przyszedł do pana z własnej woli? Czy zdołałby pan wymyślić Kruzo i Piętaszka, a także wyspę z jej pchłami, małpami i jaszczurkami? Nie sądzę. Wiele ma pan mocnych stron, wszelako pomysłowość do nich nie należy.

Dom obserwuje ktoś obcy, dziewczyna. Całymi godzinami wystaje po drugiej stronie ulicy, nawet nie próbując się ukryć. Przechodnie się zatrzymują i zagadują ją, lecz nie zwraca na nich uwagi. Pytam zatem: Czy jest kolejnym szpiegiem komorników, czy też to pan ją przysłał, by nas śledziła? Nosi szary płaszcz i pelerynę, pomimo letniego skwaru, ma też ze sobą koszyk.

Dzisiaj do niej podeszłam, w czwartym dniu jej czuwania.

– Oto list do twych pracodawców – rzekłam bez słowa wstępu i wrzuciłam list do koszyka. Spojrzała na mnie zdumiona. List do mnie wrócił – wsunięty pod drzwi, nie otwierany. Zaadresowałam go do komornika Wilkesa. Gdyby dziewczyna pracowała dla komorników, rozumowałam, musiałaby im go zanieść. Związałam tedy w jeden pakiet wszystkie listy, które do pana napisałam, i po raz drugi wysłałam z domu.

Było późne popołudnie. Stała przede mną, sztywna niby posąg, otulona płaszczem.

– Kiedy się zobaczysz z panem Foe, oddaj mu to – rzekłam i podałam listy. Potrząsnęła głową. – A zatem nie zobaczysz się z panem Foe? – Znowu potrząsnęła głową. – Kim jesteś? Dlaczego obserwujesz dom pana Foe? – Zastanawiałam się, czy aby nie mam do czynienia z jeszcze jedną niemową.

Uniosła głowę.

– Czyżbyś nie wiedziała, kim jestem? – Głos miała cichy, wargi jej drżały.

– Nigdy w życiu cię nie widziałam – odparłam.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Nieprawda – szepnęła, za czym odrzuciła kaptur perleryny i potrząsnęła włosami: były orzechowobrazowe.

– Powiedz, jak się nazywasz, to się upewnię.

– Nazywam się Susan Barton – wyszeptala; po tym poznałam, iż rozmawiam z obłąkaną.

– A czemu to cały dzień obserwujesz mój dom, Susan Barton? – spytałam beznamiętnie.

– Bo chcę z tobą porozmawiać.

– Jak ja się nazywam?

– Także Susan Barton.

– Kto cię przysłała, żebyś obserwowała mój dom? Czy to pan Foe? Czy pan Foe życzy sobie, żebyśmy sobie poszli?

– Nie znam żadnego pana Foe – rzekła. – Przysłałam tylko po to, żeby się zobaczyć z tobą.

– I cóż to za sprawę masz do mnie?

– Czyżbyś nie wiedziała – odparła głosem tak cichym, że ledwo ją słyszałam – czyżbyś nie wiedziała, czym jestem dzieckiem?

– Nigdy w życiu cię nie widziałam – oświadczyłam. – Czym jesteś dzieckiem?

Nic na to nie rzekła, spuściła jeno głowę i wybuchnęła łkaniem, stojąc niezgrabnie z rękoma przy bokach, z koszykiem u stóp.

Pomyślałam: To jakoweś nieszczęsne zagubione dziecko, które nie wie, kim jest – za czym otoczyłam ją ramieniem, pragnąc uspokoić. Aliści gdy jej dotknęłam, naraż padła na kolana i objęła mnie, płacząc tak, jakby serce miało jej pęknąć.

– Co się stało, dziecinko? – starałam się uwolnić z jej uścisku.

– Nie znasz mnie, nie znasz! – łkała.

– Prawda, ciebie nie znam, ale znam twoje imię, powiedziałeś, że się nazywasz Susan Barton, tak samo jak ja.

Na to zanosła się jeszcze gwałtowniejszym szlochem.

– Zapomniałaś o mnie! – wykrzyknęła.

– Nie zapomniałam, bo też nigdy cię nie znałam. Proszę, wstań już i otrzyj łzy.

Pozwoliła się podnieść, wzięła moją chusteczkę i wytarła oczy, wydmuchała nos. Pomyślałam: Ależ z niej bek-sa! Istna płaczka!

– A teraz – podjęłam – musisz mi powiedzieć, skąd znasz moje imię i nazwisko? – (Albowiem panu Summer-sowi przedstawiłam się tylko jako nowa gospodyni; nikomu w Newington nie mówiłam, jak się nazywam).

– Wszędzie za tobą szłam – rzekła dziewczyna.

– Wszędzie? – powtórzyłam z uśmiechem.

– Wszędzie.

– Znam takie jedno miejsce, dokąd za mną nie poszłaś – rzekłam ja.

– Wszędzie za tobą szłam.

– Czy również przez ocean?

– Wiem o wyspie.

Zupełnie jakby uderzyła mnie w twarz.

– Nic nie wiesz o wyspie – oburzyłam się.
– Wiem też o Bahii. Wiem, żeś schodziła Bahię wzdłuż i wszerz, szukając mnie.

Tymi słowy zdradziła, skąd ma owe informacje. Płonąc gniewem, rozsierzona zarówno na nią, jak i na pana, obróciłam się na pięcie i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Przez godzinę jeszcze trwała na swym posterunku, później, pod wieczór, odeszła.

Kimże ona jest i dlaczego pan ją do mnie przysyła? Czy pojawia się w charakterze znaku, że pan żyje? Nie jest moją córką. Czy pan sądzi, że kobiety rodzą dzieci i o nich zapominają, tak jak węże o złożonych jajach? Tylko w głowie mężczyzny mógł się zrodzić podobny pomysł. Jeżeli pan chce, abym opuściła ten dom, proszę wydać takie polecenie, a usłucham. Po cóż przysyłać dziecko w przyodziewku staruszki, dziecko o pucołowatej twarzy, usteczkach na kształt litery „o” i z historią o utraczonej matce? Bardziej jest pańską córką, aniżeli kiedykolwiek była moja.

Piowar. Twierdzi, że ojca miała piowara. Że urodziła się w Deptfordzie, w maju tysiąc siedemset drugiego. Że jestem jej matką. Siedzimy w pańskiej bawialni; tłumaczę dziewczynie, iż nigdy w życiu nie mieszkałam w Deptfordzie, nigdy nie znałam piowara, iż mam córkę, to prawda, lecz córka moja przepadła, ona tą córką nie jest. Łagodnie potrząsa głową i po raz drugi rozpoczyna opowieść o piowarze George’u Lewesie, moim mężu.

– Tedy nazywasz się Lewes, skoro takie nazwisko nosi twój ojciec – przerywam.

– Może to i moje nazwisko wedle prawa, lecz nie wedle prawdy – odpowiada.

– Gdybyśmy chciały podawać nazwiska wedle prawdy, moje nie brzmiałoby Barton.

– Nie o to mi idzie.

– O cóż więc?

– Ja mówię o naszych prawdziwych nazwiskach, o nazwiskach rzeczywistych – powiada.

Powraca do historii o piowarze. Piowar chadza do szulerni i przegrywa ostatni grosz. Pożycza pieniądze, ale te także przegrywa. Żeby ująć wierzycielom, ucieka z Anglii i zaciąga się jako grenadier w Niderlandach; później, jak wieść niesie, ginie. Mnie pozostawia w nędzy, z córką, o którą muszę się troszczyć. Mam służącą imieniem Amy bądź Emmy. Amy czy też Emmy pyta moją córkę, jakie życie pragnie wieść, gdy dorośnie (to najwcześniejsze wspomnienie dziewczyny). Ta dziecinnie odpowiada, że chce zostać damą. Amy czy Emmy wybucha śmiechem: Zapamiętaj moje słowa – rzecze Amy – jeszcze nadejdzie taki dzień, gdy wszystkie trzy będziemy razem służącymi.

– Nigdy w życiu nie miałam służącej, czy to Amy, czy Emmy, czy jakiegokolwiek innej – oświadczam. (Piętaszek był niewolnikiem nie moim, lecz Kruzo, a teraz jest wolnym człowiekiem. Nie sposób nawet go nazwać służącym, tak gnuśny wieździe żywot). – Mylisz mnie z kimś.

Znowu się uśmiecha i potrząsa głową.

– Spójrz, oto znak, po którym możemy rozpoznać swoją prawdziwą matkę. – Pochyla się w przód, kładzie dłoń przy mojej dłoni. – Widzisz, mamy takie same ręce. Takie same ręce i takie same oczy.

Wpatruję się w dłonie spoczywające tuż obok siebie. Moja jest długa, jej krótka. Jej palce to pulchne, bezkształtne palce dziecka. Jej oczy są szare, moje piwne.

Cóż z niej za stworzenie, tak pogodnie ślepe na świadectwo zmysłów?

– Czy przysłał cię tu mężczyzna? – pytam. – Dżentelmen średniego wzrostu, z myszką na brodzie, o, tutaj?

– Nie – odpowiada.

– Nie wierzę ci. Z pewnością ktoś cię tu przysłał... a teraz ja cię odsyłam. Proszę, abyś odeszła i nigdy więcej mnie nie niepokoiła.

Potrząsa głową, ściska poręcz fotela. Znika spokojny nastrój.

– Nie pozwolę się odesłać! – rzuca dziewczyna przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze więc, skoro chcesz zostać, zostań. – Następnie się wycofuję, zamykam drzwi na klucz i wkładam go do kieszeni.

W korytarzu spotykam Piętaszka, stoi zobojętniały w kącie (zawsze stoi w kącie, nigdy na widoku: nie ufa przestrzeni).

– To nic, Piętaszku – mówię mu. – To tylko dołączyła do nas biedna szalona dziewczyna. W domu pana Foe jest mieszkań wiele. Jak dotąd pomieszkują tu jedynie robotek, niemy niewolnik, a teraz i obłąkana. Znajdzie się jeszcze miejsce dla trędowatych, akrobatów, piratów i ladczyń, aby dołączyli do naszej menażerii. Lecz nie zważaj na mnie. Wracaj do łóżka, idź spać. – Po czym muskam go dłonią w przelocie.

Przemawiam do Piętaszka tak, jak staruszki mówią do kotów, popychane ku temu samotnością, aż wreszcie zostają okrzyknięte czarownicami, a ludzie unikają ich na ulicy.

Później wracam do bawialni. Dziewczyna siedzi w fotelu, ze swym koszykiem u stóp; robi na drutach.

– Popsujesz sobie wzrok, jak będziesz dziergać przy tym świetle – odzywam się. Odkłada robótkę. – Jednej okoliczności nie rozumiesz – ciągnę. – Na świecie mnóstwo jest historii o matkach, które poszukują oddanych niegdyś, dawno temu, synów i córek. Lecz nie ma historii o córkach, które poszukują matek. Nie ma podobnych historii, bo też takie poszukiwania się nie zdarzają. Nie są częścią życia.

– Mylisz się – odpowiada ona. – Jesteś moją matką, odnalazłam cię i teraz już cię nie opuszczę.

– Przyznaję, istotnie utraciłam córkę. Wszelako sama jej nie oddałam, tylko mi ją odebrano, a ty nią nie jesteś. Zostawiam drzwi otwarte. Odejdź, kiedy już będziesz gotowa.

Dziś rano, gdy schodzę na dół, dziewczyna nadal tam jest, wyciągnięta w fotelu, opatulona płaszczem, uśpiona. Pochyliwszy się, widzę, że jedno oko ma na wpół otwarte, wywrócone. Potrząsam nią.

– Czas na ciebie.

– Nie – protestuje. Pomimo to słyszę z kuchni, jak zamykają się za nią drzwi i szczeka zamek.

– Kto cię wychował po tym, jak ja cię porzuciłam? – zapytałam.

– Cyganie – odrzekła.

– Cyganie! – zadrwiłam. – Tylko w książkach Cyganie porywają dzieci! Musisz wymyślić lepszą historyjkę!

Teraz zaś, jak gdybym miała nie dość kłopotów, Piętaszka znowu opadły te jego smuteczki. „Smuteczki” – tak je nazywał Kruzo, gdy Piętaszek bez przyczyny odkładał narzędzia i znikał w jakowymś odosobnionym zakątku wyspy, po czym dzień później wracał i brał się do pracy, jakby nic się nie wydarzyło. Teraz smuci się w ko-

rytarzach albo wystaje u drzwi, pałając chęcią ucieczki, obawiając się wypuścić na zewnątrz; albo też poleguje w łóżku, głuchy na moje wołanie.

– Piętaszku, Piętaszku – sadowię się przy nim, potrząsam głową, wbrew woli zapuszczam się w jeszcze jedną z owych długich, jałowych rozmów, które z nim wiode – jakże mogłam przewidzieć, gdy fale wyniosły mnie na twą wyspę, gdy cię ujrzałam z włócznią w dłoni i słońcem świecącym niczym aureola za twoją głową... jakże mogłam przewidzieć, że droga nasza zaprowadzi ciebie i mnie do ponurego domu w Anglii i do pory próżnego oczekiwania? Czyżbym się omyliła, wybierając pana Foe? I kim jest to dziecko, które do nas przysyła, to szalone dziecko? Czy przysyła ją w charakterze znaku? Znaku czego?

Och, Piętaszku, jakże mam sprawić, abyś pojął tęsknoty odczuwane przez tych z nas, co żyją w świecie mowy, tęsknoty, by otrzymać odpowiedź na nasze pytania! To niby owo pragnienie, gdy kogoś całujemy, żeby poczuć wzajemność całowanych ust. Czyż inaczej nie zadowoliliby nas składanie pocałunków na posągach, zimnych posągach królów i królowych, bogów i bogiń? Jak myślisz, dlaczego nie całujemy posągów, dlaczego nie śpimy z posągami, mężczyźni z posągami kobiet, a kobiety z posągami mężczyzn, posągami rzeźbionymi w kształty pożądania? Czy sądzisz, że jeno dlatego, iż marmur jest zimny? Poleż dostatecznie długo obok posągu, pod ciepłym przykryciem otulającym was oboje, a marmur się rozgrzeje. Nie, to nie dlatego że posąg jest zimny, lecz dlatego że jest martwy, czy raczej dlatego że nigdy nie żył i nigdy nie ożyje.

Zapewniam cię, Piętaszku, iż moje tu przesiadywanie przy tobie, moje wywody o pragnieniach i pocałunkach nie mają zgoła nic wspólnego z zalotami. To bynajmniej

nie gra, w której każde słowo kryje drugie znaczenie, w której słowa mówią „Posągi są zimne”, a znaczą „Ciała są ciepłe”, albo też mówią „Łaknę odpowiedzi”, znaczą zaś „Łaknę uścisku”. Podobnie zaprzeczenie, jakie teraz składam, nie jest zaprzeczeniem fałszywym, z gatunku tych wymaganych, przynajmniej w Anglii (nie znam obyczajów twego kraju), gwoli skromności. Gdybym o ciebie zabiegała, uczyniłabym to wprost, możesz być pewien. Nie zabiegam jednak. Próbuję ci uświadomić, tobie, który nigdy w życiu, o ile wiem, nie wypowiedziałeś ni słowa i z pewnością nigdy nie wypowiesz, zatem próbuję ci uświadomić, co to znaczy przemawiać w próżnię, dzień po dniu, bez odpowiedzi. Używam tu porównania: mówię, że pragnienie słów odpowiedzi przypomina pragnienie uścisku, odwzajemnionego uścisku drugiej osoby. Czy wyrażam się jasno? Najprawdopodobniej wciąż jesteś prawiczkim, Piętaszku. Może nawet nic jeszcze nie wiesz o owych miejscach intymnych. Aliści na pewno wyczuwasz w sobie, jakkolwiek niejasno, coś, co cię pociąga ku kobiecie twego własnego gatunku, a nie ku małpie ani rybie. To zaś, co pragniesz osiągnąć z ową kobietą, choć gdyby ci nie pomogła, wiecznie byś łamał sobie głowę nad środkami prowadzącymi do celu, to coś zatem ja także pragnę osiągnąć, a przyrównuję do odwzajemnionego pocałunku.

Cóż to za ponury los: przejść przez życie, nie zaznawszy pocałunków! Wszelako jeśli pozostaniesz w Anglii, Piętaszku, czyż się nie stanie twoim losem? Gdzież spotkasz odpowiednią kobietę? W narodzie naszym niewielu jest niewolników. Przychodzi mi na myśl pies podwórkowy, chowany w dobroci, lecz od urodzenia za zamkniętą furtką. Skoro nareszcie pies taki ucieka, bo, powiedzmy, ktoś zostawił furtkę otwartą, świat jawi mu się tak

ogromnym, tak dziwnym, tak pełnym niepokojących widoków i zapachów, że psina warczy na pierwsze napotkane stworzenie i skacze mu do gardła, po czym, zyskawszy sobie opinię złego psa, resztę swych dni spędza na łańcuchu przywiązany do słupa. Nie twierdzę, że jesteś zły, Piętaszku, nie twierdzę, że skończysz w łańcuchach, nie taką wymowę ma moja historyjka. Pragnę raczej dowieść, jak nienaturalny los spotyka psa czy każde inne stworzenie trzymane z dala od swego gatunku; pragnę też wskazać, jak ów impuls miłosny, który nas popycha ku istotom z naszego rodzaju, zanika w niewoli albo też błędzi. Niestety, historie moje zawsze zdają się mieć więcej zastosowań, niż jest to moim zamiarem, przeto muszę się cofać i mozolnie wysupływać to jedno odpowiednie zastosowanie, zarazem przepraszając za owe niewłaściwe i je wymazując. Niektórzy ludzie rodzą się z darem opowiadania; ja widocznie do nich nie należę.

Skąd też pewnoś, że pan Foe, do którego należy ten dom, którego ty sam nie poznałeś, któremu powierzyłam historię wyspy, wiele tygodni temu nie umarł w jakowejś kryjówce gdzieś w Shoreditch? Jeżeli tak się sprawy mają, na zawsze pozostaniemy nieznanymi. Dom jego na naszych oczach pójdzie na sprzedaż, żeby wierzyciele dostali swą zapłatę. Nie będzie już ogrodu. Nigdy nie ujrzysz Afryki. Powrócą zimowe chłody, a wówczas nie obejdiesz się bez butów. Gdzież w Anglii znajdziemy kopyto szewskie dostatecznie szerokie na twoje stopy?

Może to ja muszę podjąć brzemię naszej historii. Cóż jednak napiszę? Sam wiesz, jak w gruncie rzeczy nudne wiedliśmy życie. Nie stawiliśmy czoła niebezpieczeństwom, żarłocznemu zwierzowi, nawet wężom. Pożywienia nam nie brakło, słońce świeciło łagodnie. Do brzegów naszych nie przybili piraci ni korsarze, ani też kanibale...

prócz ciebie, jeżeli można cię nazwać kanibalem. Zastanawiam się, czy Kruzo istotnie wierzył, że niegdyś byłeś kanibalskim dzieckiem? Czy w głębi duszy się obawiał, że na powrót zatęsknisz za ludzkim mięsem, że pewnej nocy poderżniesz mu gardło, upieczesz jego wątrobę i zjesz? Czyżby opowieści o kanibalach, pomykających czołnami z wyspy na wyspę w poszukiwaniu mięsa, służyły za przestrożę, zamaskowaną przestrożę przed tobą i twymi ciągotami? Gdy odsłaniałeś swe wspaniałe białe zęby, czy Kruzo zamierało serce? Jakże żałuję, że nie potrafisz odpowiedzieć!

Wszelako, ogólnie rzecz biorąc, odpowiedź musi chyba brzmieć „nie”. Kruzo bez wątpienia odczuwał nudę życia na wyspie tak dotkliwie na swój własny sposób, jak ja odczuwałam na mój, a może też ty na swój, przeto wymyślił grasujących kanibali, ażeby rozbudzić w sobie czujność. Albowiem groźbę czającą się na wyspie, groźbę, o której Kruzo nie wspomniał ni słowem, nazwałabym groźbą ciągłego snu. Z jakąż łatwością mogliśmy byli przedłużać nasze drzemki na coraz to późniejsze godziny dnia, aż wreszcie, spoczywając w mocnym uścisku snu, pomarliśmy z głodu (mówię o Kruzo i o sobie, aliści czy senna choroba nie należy również do plag afrykańskich?)! Czy to nie wymowne świadectwo, iż jako pierwszy i jedyny sprzęt pan twój wykonał łóżko? Rzecz miałaby się zgoła inaczej, gdyby zbił stół i taboret, gdyby rozszerzył swą pomysłowość na sporządzenie atramentu oraz stosownych tabliczek, po czym zasiadł do spisywania autentycznego, prowadzonego dzień po dniu dziennika ze swego wygnania, który to dziennik mogliśmy byli przywieźć ze sobą do Anglii, sprzedać jakowemuś księgarzowi i tym sposobem oszczędzić sobie perturbacji z panem Foe!

Niestety, Piętaszku, nigdy nie zbijemy majątku, pozostając tym, czym jesteśmy albo czym byliśmy. Pomyśl, co z nas niby za widowisko: pan twój wraz z tobą na terasach, ja na urwisku wypatruję żagla. Któż by zechciał czytać o tym, że niegdyś na skale pośród morza żyło dwóch głupców, co zapelniali sobie czas wykopywaniem kamieni? Co zaś się tyczy mnie i mej żądzy ratunku, to człowiekowi żądza przejada się równie prędko jak słodczyce. Zaczynam pojmować, dlaczego pan Foe nadstawił uszu na dźwięk słowa „kanibal”, dlaczego chciał, aby Kruzo miał muszkiet i narzędzia stolarskie. Bez wątpienia także wołałby młodszego Kruzo, pałającego do mnie bardziej żarliwym uczuciem.

Pora atoli późna i wiele jeszcze trzeba zrobić przed zmrokiem. Zastanawiam się, czy jako jedyni w całej Anglii nie mamy ni lampy, ni świecy? Niewątpliwie osobliwy wiemy żywot! Albowiem zapewniam cię, Piętaszku, że Anglicy nie tak żyją. Nie jadają marchwi rano, w południe i wieczorem, nie mieszkają wciąż w czterech ścianach niczym krety, nie kładą się na spoczynek o zachodzie słońca. Niech tylko się wzbogacimy, a pokażę ci, jak bardzo może się różnić życie w Anglii od życia na skale pośrodku oceanu. Jutro, Piętaszku, jutro zasiąść muszę do pisania, nim powrócą komornicy, by nas stąd przegnać, wówczas bowiem nie będziemy mieli ni marchwi do jedzenia, ni łóżek do spania.

Lecz pomimo mych słów na historię wyspy nie składały się jeno nuda i oczekiwania. Pojawiały się również tajemnice, nieprawda?

Po pierwsze, terasy. Ile kamieni dźwignęliście wraz z twym panem? Dziesięć tysięcy? Sto tysięcy? Czyby na tej wyspie pozbawionej ziarna nie dostarczyło wam równie owocnego zajęcia podlewanie kamieni, tam gdzie le-

żały, i oczekiwanie, aż zakiełkują? Jeśliby pan twój istotnie pragnął zostać kolonistą i pozostawić po sobie kolonię, czyż nie postąpiłby roztropniej (ośmielę się to powiedzieć?), składając swe nasienie w jedynym dostępnym łonie? Im dalej odchodzę od jego teras, tym mniej mi przypominają pola czekające ziarna, a tym bardziej grobowce: owe grobowce, które władcy Egiptu wzniesli dla siebie na pustyni, przy których budowie tak wielu niewolników postradało życie. Czy kiedykolwiek, Piętaszku, przyszło ci na myśl owo podobieństwo, czy może wieści o egipskich władcach nie dotarły do twej części Afryki?

Po drugie (wymieniam dalsze tajemnice): w jaki sposób utraciłeś język? Pan twój powiadał, iż ucieli go handlarze żywym towarem; aliści nigdy nie słyszałam o podobnych praktykach, nigdy też w Brazylii nie spotkałam niewolnika-niemowy. Jest-li prawdą, że to twój pan sam obciął ci język, a winą obarczył handlarzy? Jeśli tak, zbrodnia to w samej rzeczy niesłychana; zupełnie jakby człowiek natknął się na nieznanomego i go zamordował, tylko po to, żeby ów nie wyjawiał światu, kto popełnił zabicstwo. I jak pan twój to uczynił? Z pewnością żaden niewolnik nie jest naturą aż tak niewolniczą, by podsuwać części swego ciała pod nóż. Czy Kruzo cię skrepował, wetknął ci między zęby kawał drewna, a następnie odrąbał język? Czy tak to się dokonało? Nóż, pamiętajmy, był jedynym narzędziem, które Kruzo uratował z katastrofy. Gdzie wszakże znalazł linę, żeby cię związać? Czy popełnił zbrodnię, podczas gdy spałeś, czy wepchnął ci pięść do ust i obciął język, gdyś jeszcze leżał zamroczony? Czy może na wyspie rosły jakoweś jagody, których sok, przemycony do twej strawy, zesłał sen głęboki niby śmierć? Czy Kruzo uciął ci język, kiedy odeszła ci przy-

tomność? Lecz jak opatrzył krwawy kikut? Czemu się nie zadławiłeś własną krwią?

Chyba że język nie został odcięty, jedynie rozszczępiony, gładkim cięciem godnym chirurga, które utoczyło niewiele krwi, na zawsze jednak odebrało ci dar mowy. Albo, powiedzmy, to nie sam język ucięto, lecz poruszające nim ścięgna, te u podstawy języka. Zgaduję jeno, nie zagładałam ci do ust. Gdy pan twój mi to zaproponował, odmówiłam. Ogarnął mnie wstręt, który odczuwamy do wszystkich okaleczonych. Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje? Ponieważ przypominają nam o tym, o czym wolelibyśmy zapomnieć: z jaką łatwością, za jednym ciosem miecza lub noża, pełnia i piękno obracają się wniwecz. Zapewne. Aliści dla ciebie żywiłam głębszą odrazę. Nie potrafiłam zapomnieć miękkości języka, jego miękkości i wilgoci, a też i tego, że żyje z dala od światła; również tego, jak jest bezbronny wobec noża, gdy tylko pokona się barierę zębów. Język pod tym względem przypomina serce, nieprawda? Tyle że nie umieramy, kiedy przebija go nóż. W takim stopniu możemy więc stwierdzić, iż język należy do świata płochości, serce natomiast do świata powagi.

Wszelako to nie serce, lecz płochy członek wywyższają nas ponad zwierzę: palce, którymi dotykamy klawikordu bądź fletu, język, którym żartujemy, kłamiemy i uwodzimy. Z braku członków służących płochości, cóż innego pozostaje znudzonym zwierzętom, jeśli nie sen?

I jeszcze tajemnica twej uległości. Czemu przez wszystkie te lata spędzone sam na sam z Kruzo poddawałeś się jego władzy, skoro z łatwością mogłeś go zabić albo też oślepić i uczynić swoim z kolei niewolnikiem? Czyżby w stanie niewolniczym tkwiło coś, co się wdziera do serca i sprawia, że niewolnik zostaje niewolnikiem na ca-

łe życie, podobnie jak do bakalarza na zawsze przywiera woń atramentu?

Dalej, jeżeli wolno mi pytać wprost (a czemuż by nie, wszak mówiąc do ciebie, mówię jak do ściany), dlaczego mnie nie pożądałeś, ani ty, ani twój pan? Na waszą wyspę fale wyrzucają kobietę, wysoką kobietę o kruczych włosach i ciemnych oczach, ledwie parę godzin wcześniej towarzyszkę żeglarza, kapitana zakochanego w niej bez pamięci. Niewątpliwie musiały w tobie zapłonąć żądze tłumione przez wiele lat. Dlaczego cię nie przyłapałam na ukradkowych spojrzeńkach rzucanych spoza skały, gdy się kąpałam? Czyżby przerażały cię wysokie kobiety wynurzające się z morza? Czyżby przypominały wygnane królowe, co przybywają upomnieć się o wyspy skradzione przez mężczyzn? Może atoli jestem niesprawiedliwa, może pytanie to dotyczy wyłącznie Kruzo; albowiem cóż ty ukradłeś w życiu, ty, któryś sam padł ofiarą kradzieży? Lecz mimo to... Czy Kruzo na swój sposób, a ty na swój wierzyliście, że przybyłam, aby sięgnąć po władzę, tedy woleliście się mnie wystrzeżać?

Zadaję owe pytania, takie same bowiem zada każdy czytelnik, zapoznając się z naszą historią. Nie sądziłam, gdy morze wyrzuciło mnie na brzeg, iż zostanę żoną robotnika. Wszelako czytelnik pewno zapyta, czemu przez tyle nocy, dzieląc chatę z twym panem, nie zbliżyłam się z nim więcej niż raz, jako czynią mężczyzna i kobieta. Czy odpowiedź brzmi: wyspa nasza nie była wszak ogrójcem pożądania, jak ów, kędy pierwsi nasi rodzice chadzali nadzy i parzyli się równie niewinnie jak zwierzęta? Wierzę, że pan twój pragnąłby tam stworzyć ogrójec znoju; aliści pozbawiony godnego obiektu dla swego mozołu, zniżył się do noszenia kamieni, podobnie jak mrówki, z braku lepszego zajęcia, noszą tam i z powrotem ziarenka piasku.

I wreszcie ostatnia tajemnica: co zamyślałaś, wypływając na kłodzie w morze i rozrzucając płatki na falach? Powiem ci, com wywnioskowała: rozrzuciłaś płatki w miejscu, gdzie zatonął twój okręt, a rozrzuciłaś je ku pamięci kogoś, kto zginął w czas katastrofy, być może ku pamięci ojca albo matki, siostry albo brata lub też całej rodziny czy drogiego przyjaciela. Na smutkach Piętaszka – jak zamierzałam powiedzieć panu Foe, lecz nie powiedziałam – można by zbudować całą osobną historię; gdy tymczasem niewiele da się wycisnąć z obojętności Kruzo.

Muszę już iść, Piętaszku. Mniemałaś, iż dźwiganie kamieni to najcięższa z prac. Wszelako widząc mnie przy biurku pana Foe, jak stawiam znaczki piórem, uważaj każdy z owych znaczków za kamień, papier zaś za wyspę, wyobraź też sobie, że muszę rozsiać kamienie po powierzchni wyspy, a skoro to już się dokona i nadzorca mój nie będzie zadowolony (czy twój trud kiedykolwiek zadowolili Kruzo?), muszę od nowa pozbierać kamienie (co w obrazie tym oznacza przekreślanie mych znaczków) i rozrzucić je zgodnie z innym konceptem, i tak dalej, dzień po dniu; a wszystko to dlatego, że pan Foe umknął przed swymi wierzycielami. Niekiedy wierzę, że to ja stałam się niewolnicą. Bez wątpienia byś się uśmiechnął, gdybyś potrafił zrozumieć.

Dni mijają. Nic się nie zmienia. Od pana nie mamy ni słowa; mieszkańcy miasteczka nie poświęcają nam więcej uwagi aniżeli niewidzialnej parze duchów. Wybrałam się raz na targowisko w Dalston, zabierając obrus i kasetkę z łyżkami, które sprzedawałam, żeby nabyć niezbędne produkty. Poza tym żywimy się owocami pańskiego ogrodu.

Dziewczyna powróciła na swój posterunek przy furtce. Usiłuję ją ignorować.

Pisanie okazuje się powolnym zajęciem. Po całym tym zamieszaniu z buntem tudzież śmiercią portugalskiego kapitana, po tym, jak spotkałam Kruzo i nieco poznałam jego wyspiarskie życie, cóż tu jeszcze opowiedzieć? W Kruzo i w Piętaszku nazbyt słaba mieszkała żądza: nazbyt słaba żądza ucieczki, nazbyt słabe pożądanie nowego życia. Jak stworzyć historię bez żądy? Pomimo teras była to wyspa gnuśności. Pytam siebie, co uczynili dawni historycy, opisując kondycję rozbitka – czy ogarnięci rozpaczą, nie poczuli aby wymyślać kłamstw.

Aliści nie ustaję w mych wysiłkach. Malarz najęty do zobrazowania nudnej sceny – powiedzmy, dwóch mężczyzn kopiących na polu – ma do dyspozycji środki, dzięki którym przydać może powabu swemu tematowi. Może przeciwstawić złocisty odcień skóry pierwszego mężczyzny czarnej jak sadza skórze drugiego, wywołując grę światłocienia. Zręcznie odwzorowując pozy obydwóch, może wskazać, który z nich jest panem, który niewolnikiem. Ażeby zaś ożywić kompozycję, wolno mu wprowadzić do niej coś, czego nie widać akurat w dniu malowania, pojawia się atoli kiedy indziej – na przykład kołującą w górze parę mew (dziób jednego ptaka rozwarty do krzyku), a w rogu, na odległej turni, stado mała.

Widzimy tedy, że malarz dobiera, komponuje i interpretuje szczegóły, aby przedstawić scenę w miłej dla oka pełni. Narrator przeciwnie (proszę o wybaczenie, nie pouczalabym pana, jak prowadzić narrację, gdyby pan był tutaj we własnej osobie!): ów musi wyprorokować, które epizody kryją obietnicę pełni, wycesać z nich ukryte znaczenia, po czym spleść je razem, jako się spleta linę.

Wyczesywania i splatania można się nauczyć, tak jak każdego innego rzemiosła. Lecz jeśli idzie o ustalanie, które epizody kryją obietnicę (niby małże kryjące perły), nie bez słusności sztukę ową nazywa się prorokowaniem. Tutaj pisarz sam z siebie nie potrafi dokonać niczego: musi czekać na łaskę oświecenia. Gdybym tam na wyspie wiedziała, iż pewnego dnia przyjdzie mi opowiedzieć naszą historię, wypytywałabym Kruzo o wiele gorliwiej. „Wróć myślami do przeszłości, Kruzo – byłabym rzekła, spoczywając obok niego w mroku. – Czyżbyś nie pamiętał ani jednej chwili, gdy nagle objawił się cel naszego życia tutaj? Czy kiedyś wędrował po zboczach albo się wspinał na urwiska w poszukiwaniu jaj, nigdy nie uderzyła cię zniecka jakowaś żywość, żywy oddech tej wyspy, jak gdyby wyspa nasza była ogromnym zwierzem sprzed potopu, zwierzem, co przespał całe stulecia nieświadom robaczków pomykających mu po grzbiecie, mozolnie wiodących tu marny żywot? Czy w szerszym pojęciu, Kruzo, jesteśmy robaczkami? Czymś nie lepszym aniżeli mrówki?” Albo też, kiedy umierał na „Hobarcie”, mogłam powiedzieć: „Kruzo, porzucasz nas, idziesz tam, dokąd nie zdołamy pójść twoim śladem. Czybyś nie chciał rzec ostatniego słowa, z punktu widzenia tego, kto odchodzi? Czy nie pragniesz czegoś wyznać?”.

Brniemy poprzez las, dziewczyna i ja. Jest jesień, przyjechałyśmy dylizansem do Epping, teraz wędrujemy do Cheshunt – aczkolwiek liście tak gęsto zalegają pod stopą, liście złote, brązowe i czerwone, iż nie mam pewności, czyśmy nie zmyliły drogi.

Dziewczyna idzie za mną.

– Dokąd mnie prowadzisz? – pyta po raz setny.

– Prowadzę cię na spotkanie z twoją prawdziwą matką – odpowiadam.

– Ja znam swoją prawdziwą matkę – mówi ona. – Ty nią jesteś.

– Poznasz rodzoną matkę, gdy ją zobaczysz. Chodź prędej, musimy wrócić przed zmrokiem.

Biegnie truchtem, by mi dotrzymać kroku.

Zagłębiamy się coraz dalej w las, całe mile od ludzkich siedzib.

– Odpocznijmy – mówię. Sadowimy się tuż obok siebie, opieramy o pień wielkiego dębu. Ona wyjmuje z koszyka chleb, ser, flaszkę wody. Jemy i popijamy.

Wędrujemy dalej. Czy się zgubiłyśmy? Ona wciąż zostaje w tyle.

– Żadną miarą nie wrócimy przed zmrokiem – narzeka.

– Musisz mi zaufać.

W najmroczniejszym sercu lasu przystaję.

– Odpocznijmy jeszcze.

Biorę jej płaszcz i rozpościeram na liściach. Siadamy.

– Chodź tu do mnie. – Otaczam ją ramieniem.

Jej ciałem wstrząsa lekki dreszcz. Po raz drugi pozwoliłam, by mnie dotknęła.

– Zamknij oczy – nakazuję.

Jest tak cicho, że słyszymy, jak nasze ubrania trą o siebie, szara materia jej sukni o moją czarną. Głowa dziewczyny spoczywa na mym ramieniu. Siedzimy pośród morsa opadłych liści, ona i ja, dwie istoty z krwi i kości.

– Przyprowadziłam cię tutaj, by ci opowiedzieć o twym pochodzeniu – rozpoczynam. – Nie wiem, kto ci rzekł, że ojciec twój był deptfordzkim piwowarem, który uszedł

do Niderlandów... w każdym razie to zmyślona historia. Ojcem twoim jest człowiek nazwiskiem Daniel Foe. To ten, który ci przykazał obserwować dom w Newington. Skoro powiedział, że jestem twoją matką, ręczę i za to, że sam wymyślił historię piwowara. Wszak utrzymuje całe regimenty we Flandrii.

Dziewczyna już otwiera usta, lecz ją uciszam.

– Powiesz, że to nieprawda, wiem. Powiesz, żeś nigdy nie spotkała owego pana Daniela Foe. Spytaj atoli samą siebie: za jakim to pośrednictwem dotarły do ciebie wieści, iż twoją prawdziwą matką jest niejaka Susan Barton, która mieszka w takim to a takim domu w Stoke Newington?

– Ja sama się nazywam Susan Barton – szepcze ona.

– Marny to dowód. W tym tutaj królestwie znajdziesz wiele pań nazwiskiem Susan Barton, jeżeli tylko zechcesz je wytropić. Powtarzam: to, co wiesz o swym pochodzeniu, poznałaś w formie historii, a historie biorą się z jednego tylko źródła.

– Któż zatem jest moją prawdziwą matką?

– Zrodzonaś z ojca. Matki nie masz. Ból, który odczuwasz, to ból braku, nie ból utraty. Tego, co pragniesz odzyskać w mojej osobie, w istocie nigdy nie miałaś.

– Zrodzona z ojca – powtarza. – Pierwszy raz słyszę takie słowa. – Potrzęsa głową.

Co przez to rozumiem: zrodzona z ojca? Budzę się w szarości londyńskiego świtu, echo owych słów porbrzmiewa mi w uszach. Ulica, jak dostrzegam z okna, jest pusta. Czy dziewczyna odeszła na zawsze? Czyżbym ją wygnała, wypędziła, nareszcie zgubiła w lesie? Czy będzie siedziała pod dębem, aż ją i koszyk przykryją opadające liście, aż nie zostanie po niej nic, jeno pole brązów i złota?

Szanowny panie Foe!

Parę dni temu Piętaszek znalazł pańską togę (mam na myśli tę w szafie) oraz perukę. Czy to toga mistrza cechu? Nie wiedziałam, że istnieje cech autorów.

Toga sprawiła, iż ruszył w tany, czego w mojej przytomności nigdy dotąd nie robił. Rano tańczy w kuchni – okna wychodzą tam na wschód. Jeżeli świeci słońce, Piętaszek tańczy w słonecznej plamie, wyciągając ręce i obracając się wkoło, z zamkniętymi oczyma, godzina za godziną, bez śladu znużenia ani zawrotów głowy. Po południu usuwa się do bawialni, gdzie okna wychodzą na zachód, i tam płąsa.

Porwany tańcem, przestaje być sobą. Jest poza ludzkim zasięgiem. Wołam go po imieniu, a on nie zwraca uwagi, wyciągam rękę, on mnie odsuwa. Przez cały czas, gdy tańczy, z gardła dobywa mu się jakowyś pomruk, niższy aniżeli jego zwykły głos; niekiedy odnoszę wrażenie, że Piętaszek śpiewa.

Jeśli o mnie idzie, niechaj sobie śpiewa i tańczy do woli, nie dbam o to – byleby tylko wypełniał swe nieliczne obowiązki. Albowiem nie zamierzam kopać w ziemi, podczas gdy on kręci piruety. Zeszłej nocy postanowiłam odebrać mu togę, by się opamiętał. Aliści gdy się wśliznęłam do jego pokoju, nie spał, ścisnął już togę rozpostartą na łóżku, jakby czytał w moich myślach. A zatem się wycofałam.

Piętaszek i jego taniec: owszem, doskwiera mi nuda życia w pańskim domu, lecz nigdy tu nie brak tematów do pisania. Jak gdyby drobnoustroje słów trwały rozpuszczone w kałamarzu, gotowe się wydostać, spłynąć z pióra i przybrać kształt na papierze. Z parteru na piętro, z domu na wyspę, od dziewczyny do Piętaszka: trzeba, zda się,

jeno wyznaczyć bieguny, „tu” i „tam”, „teraz” i „wtedy” – za czym słowa same z siebie odbywają podróż. Przez myśl mi nie przeszło, że tak łatwo być pisarzem.

Po powrocie zastanie pan dom wielce ogołocoony. Wpierw splądrowali go komornicy (nie potrafię znaleźć łagodniejszego określenia), teraz ja także wynoszę to i owo (prowadzę inwentarz, wystarczy, że pan poprosi, a go prześlę). Na nieszczęście zmuszona jestem sprzedawać tam, gdzie sprzedają złodzieje, oraz przystawać na ceny im dyktowane. Podczas owych wypraw przywdziwam czarną suknię i czepek, które znalazłam na piętze w kufrze opatrzonym na wieku inicjałami M. J. (Kim jest M. J.?). Strój ten przydaje mi lat: wyglądam, jak sobie wyobrażam, na czterdziestoletnią wdowę w tarapatach pieniężnych. Aliści pomimo owych środków ostrożności leżę nocami bezsennie, oczami duszy widząc, jak chwytam mnie zachłanny sklepikarz i zamyśla uwięzić do przybycia konstabli, aż muszę się wyzbyć pańskich świeczników, by go przekupić i odzyskać wolność.

W zeszłym tygodniu sprzedałam ostatnie lustro oszczędzone przez komorników, to małe w pozłacanych ramach, które stało na sekretarzyku. Czy ośmielę się wyznać, iż raduje mnie fakt jego zniknięcia? Jakże się postarzałam! W Bahii ziemistolicy Portugalki nie chciały wierzyć, że mam dorosłą córkę. Atoli życie u boku Kruzo zbrzydziło mi czoło, a dom Foe owe bruzdy pogłębił. Czy dom twój to dom śpiących, na podobieństwo jaskini, kędy mężczyźni zamykają oczy pod rządami jednego władcy, budzą się zaś już za panowania drugiego, z długimi siwymi brodami? Brazylia zdaje się równie odległa jak czasy króla Artura. Czy to możliwe, że mam tam córkę, oddalającą się ode mnie coraz to bardziej z każdym dniem, tak jak ja się oddalam od niej? Czy brazylijskie ze-

gary z tą samą chodzą prędkością co nasze? Podczas gdy ja się starzeję, czy córka moja pozostaje wiecznie młoda? I jakim cudem doszło do tego, że w czasach powszechnych zdobyczy cywilizacji – weźmy choćby angielską pocztę – dzielę dom z człowiekiem przybyłym z najmroczniejszych wieków barbarzyństwa? Tak wiele pytań!

Szanowny panie Foe!

Z wolna poczynam rozumieć, czemu pan sobie życzył, aby Kruzo miał muszkiet i aby go nękali kanibale. Wzięłam to wówczas za oznakę, iż brak panu poszanowania dla prawdy. Zapomniałam atoli, że jest pan pisarzem, który nade wszystko wie, jak wiele słów da się wycisnąć z kanibalskiej uczy, jak mało z kobiety skulonej na wietrze. To wszystko kwestia słów i liczby słów, nieprawda?

Piętaszek siedzi przy stole, przyodziany w perukę i toge; pałaszuje leguminę z grochu. Pytam siebie: czy niegdyś usta te pochłaniały ludzkie mięso? W rzeczy samej, potworni są kanibale; wszelako największa potworność to myśl o maluśkich kanibalskich dzieciach, o ich oczach przymkniętych z rozkoszy, gdy dziecię żuje pyszny tłuszcz bliźniego. Wstrząsa mną dreszcz. Albowiem spożywanie ludzkiego mięsa przypomina upadek w otchłań grzechu: skoroś raz zgrzeszył, odkrywasz w sobie pociąg ku temu i odtąd upadasz tym bardziej ochoczo. Drzę, obserwując, jak Piętaszek płąsa w kuchni, w rozwianej todze wirującej wokół ciała, w peruce trzepoczącej na głowie, z oczyma zamkniętymi i myślą błędzącą gdzieś daleko, nie na wyspie, to rzecz pewna, nie przy rozkoszach kopania i dźwigania, lecz w dniach wcześniejszych, gdy żył jako dzikus pomiędzy dzikimi. Nie jest-li tylko kwestią czasu,

by nowy, stworzony przez Kruzo Piętaszek przypadł ni-
czym węzowa wylinka, powrócił zaś dawny, rodem z kani-
balskich puszczy? Czyżbym przez cały ten czas źle oceniała
Kruzo – czy uciał Piętaszkowi język, aby ukarać chłopca
za grzechy? A należało raczej go pozbawić zębów!

Przepatrując kilka dni temu komodę w poszukiwaniu
czegoś do sprzedania, natrafiłam na kasetę z fletami – za-
pewne kiedyś pan na nich grał: może na wielkim flecie
basowym, podczas gdy pańscy synowie i córki przygry-
wali na mniejszych. (Co się stało z owymi synami i cór-
kami? Czy nie można im zaufać, czyż nie ochronią pana
przed prawem?) Wyjęłam najmniejszy z fletów, soprano-
wy, położyłam w widocznym miejscu, z myślą o Piętasz-
ku. Następnego ranka usłyszałam, jak Piętaszek wypró-
bowuje instrument: niebawem wprawił się na tyle, aby
zagrać ową melodię z sześciu tonów, która zawsze koja-
rzyć mi się będzie z wyspą i z pierwszą chorobą Kruzo.
Melodię tę wygrywał bez ustanku przez cały ranek. Kiedy
przyszłam go napomnieć, ujrzałam, że obraca się powoli
wkoło, z fletem przy ustach i z zamkniętymi oczyma; nie
zwrócił na mnie uwagi, być może wcale nie słyszał mych
słów. Jakież to typowe dla dzikusa: opanować grę na nie-
znanym instrumencie – o tyle, o ile to możliwe bez języka
– po czym się zadowolić wygrywaniem bez końca jednej
melodii! To swoista postać obojętności, nieprawdaż, swo-
ista postać lenistwa. Atoli odbiegam od tematu.

Gdy tak polerowałam flet basowy, gdy od niechcenia
dobyłam zeń parę tonów, oto przyszło mi na myśl, że jeśli
istnieje jakowyś język dostępny Piętaszkowi, musi to być
język muzyki. Zamknęłam przeto drzwi i jęłam ćwiczyć

dmuchanie tudzież przebieranie palcami – widziałam kie-
dyś, że tak to się robi – aż wreszcie potrafiłam wcale do-
brze odtworzyć Piętaszkową melodyjkę, a także kilka in-
nych, na moje ucho bardziej harmonijnych. Podczas gdy
grałam – a grałam w ciemności, żeby oszczędzać świecę –
Piętaszek leżał bezsennie na dole, w swym własnym mro-
ku, słuchając niższych tonów mego fletu: niepodobna, by
przedtem słyszał takowe.

Skoro tego ranka rozpoczął swe płasy i muzykowa-
nie, byłam gotowa: siedząc po turecku w łóżku, zagra-
łam Piętaszkową melodię, zrazu unisono z nim, później
w przerwach, gdy Piętaszek grać przestawał; muzykowa-
łam tak długo jak on, aż rozboleły mnie ręce i zakręciło
mi się w głowie. Muzyka owa nie brzmiała przyjemnie:
przez cały czas dał się słyszeć subtelny dysonans, aczkol-
wiek, jak się zdawało, braliśmy te same nuty. Wszak in-
strumenty nasze przeznaczono do wspólnej gry, bo ina-
czej czemu by spoczywały w jednej kasecie?

Kiedy Piętaszkowy flet umilkł na chwilę, zesłam do
kuchni.

– A zatem, Piętaszku – rzekłam z uśmiechem – teraz
jesteśmy oboje muzykantami. – Za czym uniosłam flet
i znowu świstałam jego melodię, póki nie spłynęło na
mnie niejaki zadowolenie. Pomyślałam: Nie rozmawiam
z Piętaszkiem, to prawda, wszelako czy to nie równie do-
bre? Nie jest-li rozmowa jeno odmianą muzyki, w której
najpierw jedna osoba podejmuje refren, potem zaś druga?
Czy większe ma znaczenie refren naszej rozmowy aniże-
li melodia, którą wygrywamy? I dalej pytałam: Czyż mu-
zyka i rozmowa nie przypominają miłości? Kto się po-
waży twierdzić, iż między kochankami dochodzi do jako-
wejsz namacalnej wymiany (myślę tu o miłości cielesnej,
nie o rozmowie), ale czy w istocie czegoś nie wymienia-

ją, nie ofiarowują sobie wzajem, po czym odchodzą odświeżeni, na chwilę uleczeni z samotności? Dopóki łączy mnie z Piętaszkiem muzyka, dopóty nie będzie nam może potrzebny żaden język. Gdyby muzyka rozbrzmiewała na naszej wyspie, gdybyśmy we dwoje z Piętaszkiem wypełniali wieczory melodią, być może – kto wie? – Kruzo nareszcie by się ugiął i podjął trzecią fujarkę, i nauczył się przebierać po niej palcami, jeśli do tego czasu palce nazbyt by mu nie zesztyniały, za czym wszyscy troje stworzylibyśmy kapelę (możesz tedy wywnioskować, panie Foe, że z rozbitego okrętu nie potrzebowaliśmy narzędzi stolarskich, lecz kasety z fletami).

Przez ową godzinę w pańskiej kuchni nie czułam się już, ufam, skrępowana życiem, jakie mi przypadło w udziale.

Lecz niestety, tak jak nie sposób wiecznie wymieniać tych samych słów – „Witaj, panie”, „Witaj” – wierząc przy tym, że rozmawiamy, tak jak nie można wiecznie powtarzać jednego ruchu i nazywać go aktem miłosnym, identycznie rzecz się ma z muzyką: nie możemy wiecznie grać tej samej melodii z zadowoleniem. Przynajmniej tak się dzieje u ludzi cywilizowanych. Tedy nie potrafiłam się w końcu powstrzymać od urozmaicenia melodii, zrazu rozbijając jedną nutę na półnuty, później zupełnie zmieniając dwie inne, aż powstała nowa melodia, nowa i ładna, brzmiąca tak świeżo dla ucha, iż nie wątpiłam, że Piętaszek pójdzie w moje ślady. Lecz nie, uparcie wygrywał tamtą starą, a obie melodie grane równocześnie bynajmniej nie tworzyły przyjemnego kontrapunktu – przeciwnie, kłóciły się i zgrzytały. Czy Piętaszek w ogóle mnie słyszy? – jęłam się zastanawiać. Przerwałam granie: oczy jego (zawsze zamknięte, gdy przy wtórze fletu kręcił swe piruety) nie otworzyły się; dmuchnęłam przeciągle w in-

strument, ale Piętaszkowi nawet nie drgnęły powieki. Przeto pojęłam, że gdy tak przygrywałam mu do tańca, mniemając, iż tworzymy kapelę, Piętaszek pozostał obojętny, nieświadom mej obecności. I w samej rzeczy, skoro z jakimś rozgoryczeniem postąpiłam krok naprzód i go chwyciłam, by przerwać owo piekielne wirowanie, odczuł moje dotknięcie nie bardziej, niż gdyby go musnęła mucha; tedy poznałam, że poruszał się w jakowymś transie, niby opętany, a dusza jego bujała raczej w Afryce aniżeli w Newington. Wstyd powiedzieć – lzy napłynęły mi do oczu. Zgasło całe uniesienie wywołane odkryciem, że za pośrednictwem muzyki mogę z Piętaszkiem rozmawiać, i z goryczą jęłam pojmować, iż to nie przez ociężałość umysłu zamykał się w sobie, nie przez ów wypadek, w którym postradał język, nawet nie przez niemożność odróżnienia mowy od bełkotu – zamykał się w sobie, albowiem pogardzał obcowaniem ze mną. Przyglądając się, jak wiruje w tańcu, musiałam powściągnąć chęć, aby go uderzyć, zedrzeć zeń togę i perukę, owym grubiańskim sposobem nauczyć, że nie jest sam na tym świecie.

Pytam siebie teraz: Jeślibym uderzyła Piętaszka, czy przyjąłby cios potulnie? Kruzo nigdy w mojej przytomności go nie karał. Czy ucięcie języka na wieczne czasy nauczyło Piętaszka posłuszeństwa, a przynajmniej zewnętrznego pozoru uległości, tak jak wytrzebiecie odbiera cały ogień ogierowi?

Szanowny panie Foe!

Sporządziłam akt darowujący Piętaszkowi wolność i podpisałam nazwiskiem Kruzo. Akt ów zaszyłam w małej sakiewce, którą zawiesiłam na sznurku Piętaszkowi u szyi.

Jeżeli Piętaszek nie do mnie należy i nie mnie go uwalniać, to komu? Żaden człowiek nie może żyć zniewolony przez martwą dłoń. Jeśli Kruzo pozostawił wdowę, ja nią jestem; jeżeli dwie wdowy, jam jest tą pierwszą. Jakiż żywot wiodę, jeśli nie wdowi? Fale rzuciły mnie na wyspę Kruzo: to dało początek wszystkiemu. Jam jest tą kobietą wyrzuconą na brzeg.

Piszę z drogi. Wędrujemy do Bristolu. Świeci słońce. Ja idę przodem, Piętaszek za mną, niosąc tobolek, który mieści nasz prowiant oraz kilka przedmiotów zabranych z pańskiego domu, a także perukę, gdyż Piętaszek nie myśli z nią się rozstać. Miał płaszcz przyoblekł togę.

Bez wątpienia osobiłwy przedstawiamy sobą widok – bosa niewiasta w pumpach i jej czarnoskóry niewolnik (trzewiki mnie uwierają, a stare sandały z małpiej skóry całkiem się rozpadły). Gdy zaczepiają nas przechodnie, odpowiadam, że zdążam do Slough, do mego brata, i że napadli nas – to jest mnie oraz mego lokaja – rozbójnicy, ograbili z koni, przyodziewku tudzież kosztowności. Historyjka owa budzi zdziwienie. Czemu? Czyżby po drogach nie grasowali już rozbójnicy? Czy wszystkich powieszono, kiedym była w Bahii? Czy nie wyglądam na właścicielkę kosztowności i koni? Czy też ludzie znajdują mnie nazbyt radosną, co zgoła nie licuje z postawą kogoś, kto ledwie parę godzin wcześniej odarty został ze wszystkiego?

W Ealing przechodziliśmy mimo warsztatu kamaszniczego. Dobyłam z tobołka jedną z książek, tom kazań pięknie oprawny w cielęcą skórę, i zaproponowałam wymianę książki za parę butów. Kamasznik wskazał pańskie nazwisko na pierwszej kartce.

– Pan Foe ze Stoke Newington – rzekłam – niedawno zmarły.

– Nie macie innych książek? – zapytał. Wręczyłam mu Purchasowe *Pielgrzymki*, tom pierwszy, za który to wolumin otrzymałam parę trzewików, solidnych i świetnie dopasowanych. Zgłosi pan zapewne pretensje, iż kamasznik zyskał na wymianie. Wszelako przychodzi taki czas, gdy są rzeczy ważniejsze niż książki.

– Kim jest to czarnoskóre indywiduum? – spytał kamasznik.

– To wyzwolony niewolnik. Prowadzę go do Bristolu, by go jakimś sposobem wyprawić do pobratymców.

– Do Bristolu daleka droga – rzekł. – Czy on zna angielską mowę?

– To i owo rozumie, ale nie mówi – odparłam. Sto mil i więcej do Bristolu: iluz jeszcze pytających, ile jeszcze pytań? Cóż by to było za dobrodziejstwo także stracić mowę!

Tobie, panie Foe, podróż do Bristolu przywoływać może na pamięć sute posiłki w przydrożnych gospodach i ucieszne spotkania z nieznanymi ludźmi wszelkich profesji. Pamiętaj atoli, że samotna kobieta wędrować musi niczym ten zając, stale łowiąc uchem głosy ogarów. Jeżeli się zdarzy, że napadną nas rozbójnicy, jaką Piętaszek da mi ochronę? Nigdy nie przyszło mu bronić Kruzo; w rzeczy samej, wychowanie, jakie odebrał, nauczyło go nawet nie podnosić ręki w samoobronie. Czemu napaść na mnie miałby uważać za swoją sprawę? Wszak nie rozumie, iż wiodę go ku wolności. Nie wie, co to wolność. Wolność to słowo, mniej nawet niż słowo, to dźwięk, jeden z rozlicznych dźwięków, które wydaję, otworzywszy usta. Pan jego nie żyje, ma teraz panią – jeno tyle wie. Skoro nigdy pana nie pragnał, czemuż miałby strzec pa-

ni? Jak może zgadnąć, że istnieje jakowyś cel naszej wędrówki, że beze mnie zginie?

– Bristol to wielki port – mówię mu. – Właśnie w Bristolu zesłiliśmy na ląd, tam przybił ów statek, co przywiózł nas z wyspy. W Bristolu ujrzałeś ogromny komin plujący dymem, który tak cię zadziwił. Z Bristolu okręty żeglują do wszystkich zakątków globu, zwłaszcza do obu Ameryk, lecz także do Afryki, niegdyś twej ojczyzny. W Bristolu poszukamy statku, który cię powiezie do rodzinnego kraju albo też do Brazylii, abyś tam wiódł życie człowieka wolnego.

Wczoraj wydarzyło się to najgorsze. Na trakcie windsorskim zaczepiło nas dwóch pijanych żołnierzy: nie kryli zgola swych zamiarów wobec mojej osoby. Wyrwałam się, popędziłam w pola i umknęłam, z Piętaszkiem depczącym mi po piętach, przez cały czas śmiertelnie przerażona, iż żołnierze zaczną do nas strzelać. Teraz upinam włosy pod kapeluszem i stałe noszę płaszcz w nadziei, że ujdę za męczyznę.

Po południu spadł deszcz. Schroniliśmy się pod żywoplotem, ufając, że to tylko przelotny deszczyk. Wszelako rozpadało się na dobre. W końcu tedy ruszyliśmy dalej, przemoczeni do suchej nitki, aż wreszcie trafiliśmy do oberży. Żywiąc niejaki obawy, pchnęłam drzwi i wprowadziłam Piętaszka do wnętrza, poszliśmy ku stołowi stojącemu w najciemniejszym kącie.

Nie wiem, czy tamtejsi goście nigdy dotąd nie widzieli czarnoskórego, czy też nigdy nie widzieli kobiety w pumphach, czy po prostu nigdy nie widzieli równie zmokniętej pary, lecz gdyśmy weszli, ustały wszelkie rozmowy;

przemierzyliśmy izbę w ciszy tak głębokiej, że wyraźnie słyszałam chlupot wody ściekającej z okapu. Pomyślałam sobie: Wielki błąd – lepiej było poszukać stogu siana i tam się schronić, choćby i o głodzie. Aliści z odważną miną przysunęłam krzesło dla Piętaszka i pokazałam, aby usiadł. Spod przemoczonej togi doleciała mnie ta sama woń, którą poczułam wówczas, gdy marynarze sprowadzili Piętaszka na statek: woń strachu.

Do stołu naszego podszedł sam oberżysta. Poprosiłam grzecznie o dwie małe miarki piwa oraz talerz chleba z serem. Nic nie rzekł, spojrzał jeno wymownie na Piętaszka, potem zaś na mnie.

– To mój sługa – oświadczyłam. – Czysty jako i my.

– Czysty czy brudny, tutaj ma chodzić w butach.

Oblałam się rumieńcem.

– Jeśli się zajmiesz obsłużeniem nas, ja się zajmę strojem mego służącego – rzekłam.

– To czysty dom, my tu nie obsługujemy włóczęgów ani innych Cyganów – powiedział oberżysta i obrócił się do nas plecami. Gdyśmy szli ku drzwiom, jakowyś gbur wystawił nogę: Piętaszek się potknął, za czym rozbrzmiał gromki rechot.

Póki nie zapadł zmrok, kryliśmy się pod żywoplotami, a potem wśliznęli do stodoły. Dygotałam już w mokrym przyodziewku. Macając na oślep w ciemności, natrafiłam na złób pełen siana. Rozdziałam się, niczym kret zagrzebałam w sianie, lecz i tam nie znalazłam ciepła. Przeto na powrót wygramoliłam się ze złoju, oblekłam przemoczone ubranie i stałam zgnębiona pośród mroku, dzwoniąc zębami. Piętaszek gdzieś przepadł. Nie słyszałam nawet jego oddechu. Urodzony w puszczy tropikalnej, powinien odczuwać chłód dotkliwiej aniżeli ja; a przecież chadzał boso w środku zimy i ni trochę się nie skarżył.

– Piętaszku – zaszeptałam. Nie było odpowiedzi.

Bliska rozpaczy, nie wiedząc, co by tu jeszcze uczynić, rozpostarłam ręce i odrzuciłam głowę w tył, jęłam się obracać w Piętaszkowym tańcu. Tym sposobem suszę ubranie – rzekłam sobie: suszę je, wywołując przewiew. Tym sposobem się rozgrzewam. Inaczej bowiem umrę z zimna. Czułam, jak rozluźniają mi się szczęki, jak ciepło, a może złudzenie ciepła wypełnia członki. Tańczyłam tak długo, aż sama słoma pod stopami zdała mi się gorąca. Odkryłam, czemu to Piętaszek tańczy w Anglii – pomyślałam, uśmiechając się do siebie; gdybyśmy pozostali w domu pana Foe, nigdy bym nie poznała Piętaszkowego sekretu. Nigdy też nie dokonałabym owego odkrycia, jeśli bym nie przemokła do suchej nitki i nie znalazła się w pustej, mrocznej stodole. Stąd możemy wywnioskować, iż pomimo wszystko życie nasze układa się w pewien wzór, a skoro poczekamy dostatecznie długo, dane nam będzie ujrzeć, jak wzór ów się ujawnia; tak też obserwując tkacza dywanów, na pierwszy rzut oka dostrzegamy jeno płataninę nitek, lecz jeśli okażemy cierpliwość, pod naszym spojrzeniem wyłonią się kwiaty, rozbrykane jednorozce i zamkowe wieżyczki.

Snując owe myśli, obracając się wkoło z zamkniętymi oczyma, z uśmiechem na ustach, wpadłam, wierząc, w jakowyś trans; albowiem gdy się ocknęłam, stałam już bez ruchu, oddychając ciężko, a gdzieś tam, jakoby na skraju pamięci, trwało wrażenie, że byłam daleko stąd, że oglądałam wspaniałe widoki. Gdzie jestem? – zadałam sobie pytanie i przykucnęłam, pogładziłam podłogę; a kiedy sobie przypominałam, że w Berkshire, srogi ból przeszył mi serce: gdyż to, com ujrzała w transie, cokolwiek to było – nie umiałam przywołać niczego określonego, wyczuwałam jedynie jakąś poświatę, co pozostała w miejsce

wspomnienia, jeśli potrafi pan to zrozumieć – owo coś zatem jawiło mi się przesłaniem (od kogo wszakże?), iż stoją przede mną otworem życia inne aniżeli to, w którym mozolnie przemierzałam z Piętaszkiem angielską wieś i którego miałam już serdecznie dosyć. I w tejże chwili pojęłam, dlaczego Piętaszek całymi dniami tańczył w pańskim domu: ażeby usunąć się albo też usunąć swego ducha z Newington i z Anglii, a także uciec ode mnie. Cóż w tym bowiem dziwnego, że znajdował życie ze mną równie uciążliwym, jak ja znajdowałam życie z nim? Dopóki nam dwojgu trzeba ze sobą przestawać – pomyślałam – może najlepiej učinimy, tańcząc, kręcąc piruety i przenosząc się w inne rejony.

– Tańcz, Piętaszku, teraz twoja kolej! – zawołałam w mrok, wspięłam się do żłobu, przykryłam szczelnie sianem i zapadłam w sen.

Zbudziłam się z pierwszą zorzą, rozgrzana, spokojna i odświeżona. Znalazłam Piętaszka uspiętego w sianach za wrotami i potrząsnęłam nim, zaskoczona jego ospałością, albowiem sądziłam, iż dzicy sypiają z jednym okiem otwartym. Wszelako Piętaszek najpewniej wyzbył się swych barbarzyńskich przyzwyczajęń na wyspie, gdzie ani on, ani Kruzo nie mieli nijakich wrogów.

Nie jest moim zamiarem przedstawiać podróży naszej do Bristolu jako bardziej obfitującej w przygody, aniżeli była w istocie. Aliści muszę panu opowiedzieć o martwym dzieciątku.

Parę mil przed Marlborough, gdyśmy wcale żwawo wędrowali gościńcem, wzrok mój padł na paczkę leżącą w rowie. Posłałam po nią Piętaszka, myśląc sobie Bóg wie

co, może że to zawiniątko z jakowymś przyodziewkiem wypadło z powozu; może też kierowała mną zwykła ciekawość. Lecz kiedym ją odwijać materię, spostrzegłam, iż jest zakrwawiona, i bałam się rozwijać dalej. Wszelako tam gdzie krew, tam i fascynacja. Przeto nie ustawałam, aż wreszcie odstoniłam ciało dziewczynki, martwo urodzonej albo i zaduszonej, umazanej krwawymi resztkami porodowymi, dziewczynki doskonale kształtnej, z rączkami zaciśniętymi przy uszach, ze spokojną twarzyczką: na tym świecie gościć musiała ledwie godzinę czy dwie. Czyim była dzieckiem? Pola wokół nas były puste. O pół mili dalej stało kilka chat; jakież by nas wszakże czekało przyjęcie, gdybyśmy niby oskarżyciele odnieśli na próg to, co mieszkańcy wyrzucili? A jeśliby wzięli dziecko za moje, pojmali mnie i zawlekli przed trybunał? Tedy na powrót owinęłam dziecię w krwawy całun, złożyłam na dnie rowu i pełna pomieszania odwiodłam Piętaszka z owego miejsca. Choć się starałam z całej mocy, nie potrafiłam odwrócić myśli od uśpionego maleństwa, co nigdy się nie zbudzi, od tych zamkniętych ocząt, co nigdy nie otworzą. Kimże było to dziecko, jeśli nie mną, w innym życiu? Tej nocy spaliśmy z Piętaszkiem w zagajniku (wówczas to próbowałam jeść zołędzie, tak byłam głodna). Ledwie minutę spałam – zbudziłam się nagle z myślą, że muszę wrócić tam, gdzie schowano dziecko, nim się doborą do niego wrony a też i szczury; i zanim się opamiętałam, poderwałam się nawet na nogi. Ległam znowu, naciągnąwszy płaszcz na głowę, po policzkach ciekły mi łzy. Myśli moje pobiegły ku Piętaszkowi, nie umiałam temu zaradzić: sprawił to głód. Czyż nie było moją powinnością powstrzymać Piętaszka, czy – zgłodniały – zjadłby dzieciątko? Rzekłam sobie, że wyrządzą mu krzywdę,

uważając go za kanibala albo i za kogoś jeszcze gorszego – za pożeracza zmarłych. Aliści Kruzo posiał mi owo ziarenko w głowie i teraz, spoglądając na Piętaszkowe wargi, nie potrafiłam zapomnieć, jakiego to mięsa musiały niegdyś kosztować.

Bezwzględnie przyznaję, iż w takowym myśleniu tkwi posiew szaleństwa. Nie wolno nam wzdragać się z odrazą przed dotknięciem bliźniego dlatego tylko, że jego ręce, czyste teraz, kiedyś były zbrukane. Musimy, my wszyscy, kultywować swego rodzaju nieświadomość, swego rodzaju ślepotę, albowiem w przeciwnym razie społeczeństwo stanie się nie do zniesienia. Jeżeli Piętaszek w ciągu piętnastu lat na wyspie wyrzekł się ludzkiego mięsa, dlaczego nie miałabym uwierzyć, że wyrzekł się go na zawsze? A jeśli w najtajniejszym zakamarku duszy pozostał kanibalem, czyby ciepła, żywa kobieta nie stanowiła lepszego posiłku aniżeli zimny, sztywny trup dziecka? Krew łomotała mi w skroniach; słysząc trzask gałęzi czy też widząc chmurę przeciągającą po tarczy księżyca, myślałam, że oto Piętaszek podnosi na mnie rękę; choć jakaś część mnie wiedziała, że mój towarzysz jest wciąż tym samym czarnoskórym głuptasem, to jednak inna część, nad którą nie miałam władzy, z uporem węszyła w nim żądzę krwi. Przeto nawet nie zmrużyłam oka, póki światło nie pojaśniało, a wówczas ujrzałam Piętaszka śpiącego kamiennym snem o parę kroków dalej, ze zrogowaciałymi stopami, co chyba nigdy nie odczuwały chłodu, sterczącymi spod togi.

Jakkolwiek wędrujemy w milczeniu, w głowie bez ustanku brzęczą mi słowa, a wszystkie skierowane do panna. Za mrocznych dni newingtońskich wierzyłam, że pan

nie żyje: zagłodził się na śmierć i otrzymał pochówek nędzarza; został wytropiony i osadzony w więzieniu Fleet, aby tam szczeznąć w niedoli i zapomnieniu. Teraz atoli żywię silniejszą pewność, której wyjaśnić niepodobna. Żyje pan i ma się dobrze, i gdy tak maszerujemy bristoliskim traktem, mówię do pana, jakbyś był tuż obok – znajomy mój duch, mój towarzysz. Kruzo także. Niekiedy powraca do mnie Kruzo, równie posępny jak w owych minionych dniach (co zdolna jestem znieść).

Po przybyciu do Marlborough odszukałam skład materiałów piśmiennych i za pół gwiney sprzedawałam *Podróże w Abisynii* Pakenhama, *in quarto*, z pańskiej biblioteki. Choć rada byłam, pozbywszy się tak ciężkiego tomu, zarazem się zmartwiłam, albowiem nie miałam czasu książki przeczytać i dowiedzieć się nieco więcej o Afryce, i przez to większą służyć Piętaszkowi pomocą w powrocie do ojczyzny. Piętaszek z Abisynii nie pochodzi, wiem. Wszelako po drodze do Abisynii podróżnik przemierzyć musi wiele królestw: czemu jednym z nich nie miałyby być królestwo Piętaszka?

Pogoda nadal piękna, spiamy więc pod żywopłotami. Z ostrożności tak się czaimy, gdyż niedobraną tworzymy parę.

– Jesteś jego kochanicą? – zapytał jakiś starzec, gdyśmy wczoraj siedzieli na stopniach przed kościołem, posilając się. Czy była to prosta zuchwałość? Stary chyba nie kpił.

– To niewolnik, pan jego na łożu śmierci zwrócił mu wolność – odrzekłam. – Odprowadzam go do Bristolu, skąd popłynie statkiem do Afryki, do swej ziemi rodzinnej.

– Wracasz tedy do Afryki – starzec obrócił się ku Piętaszkowi.

– Nie włada on mową – wtrąciłam się. – Dzieckiem będąc, postradał język, teraz się porozumiewa jeno gestami. Gestami i czynami.

– Wiele historii będziesz mógł opowiedzieć swym ziomkom w Afryce, nieprawda? – zagadnął starzec donośniejszym głosem, tak jak przemawiamy do głuchych. Piętaszek spoglądał nań bezrozumnie, wszelako nieznanomy nie dawał za wygraną. – Wieleś podziwiał widoków, to rzecz pewna, wielkich miast, okrętów ogromnych niby zamki. Gdy o tym wszystkim opowiesz, nikt nie da ci wiary.

– Ten człowiek postradał język, nie zna żadnej mowy, nawet swej własnej. – Żywiłam nadzieję, iż jegomość ów się oddali. Lecz może on też był głuchy.

– Jesteście więc Cyganami? Jesteście Cyganami, wy oboje?

Przez chwilę zabrakło mi słów.

– Ten człowiek był niewolnikiem, a teraz wraca do Afryki – powtórzyłam.

– Nie przeczę – rzekł stary – ale my takich zwiemy Cyganami, gdy się wałęsają z powalonym obliczem, męczczyżni i niewiasty, wszyscy do kupy, pomieszani jako groch z kapustą, i tylko patrzą, gdzie by tu napytać biedy. – Za czym się podniósł i stanął przede mną, wsparty na kij, jak gdyby rzucał mi wyzwanie, abym zaprzeczyła.

– Chodź, Piętaszku – wymamrotałam i uszliśmy z placu.

Teraz śmiech mnie bierze na myśl o owej utarczce, wówczas atoli mocno mną wstrząsnęła. Jako że mieszkałam w pańskim domu na podobieństwo kreta, całkiem zniknęła orzechowa brązowość mej skóry nabyta na wyspie; prawda jednak, iż w drodze nader rzadko się my-

łam, co zresztą niezbyt mi wadziło. Przypominam sobie pewien statek pełen Cyganów, ciemnoskórych i nieufnych, wygnanych z hiszpańskiej Galicji, co w Bahii zesłi na ląd, wstępując na niezajomy kontynent. Dwakroć nazwano mnie i Piętaszka Cyganami. Któż to taki: Cygan? Któż to: rozbójnik? Tutaj, w zachodnim kraju, słowa zdają się nabierać nowych znaczeń. Czyżbym, sama o tym nie wiedząc, stała się Cyganką?

Wczoraj przybyliśmy do Bristolu i udali się prosto do portu, który Piętaszek najwyraźniej rozpoznał. Ówdzie zatrzymywałam każdego napotkanego marynarza, zapytując, czy nie wie o jakimś statku, co by zdążył do Afryki albo też na Wschód. Nareszcie skierowano nas ku okrętowi zeglującemu stale do Indii: stał na redzie, gotów do rejsu w stronę Trincomalee i wysp korzennych. Szczęśliwym zrządzeniem losu w tej chwili przycumował galar transportujący nań towary i z pokładu zszedł pierwszy oficer. Poprosiwszy żeglarza, by nam wybaczył nasz wygląd, albowiem jeszcześmy się nie obmyli z pyłu gościńca, upewniwszy go także, że nie jesteśmy Cyganami, przedstawiłam Piętaszka jako dawnego niewolnika z Ameryki, teraz już szczęśliwie wyzwolonego, który pragnie powrócić na rodzinną afrykańską ziemię. Niestety – ciągnęłam – Piętaszek nie włada ani angielszczyzną, ni żadną inną mową, ponieważ za sprawą łowców niewolników utracił język. Aliści pilny jest i posłuszny, nie prosi też o nic więcej, jak tylko o to, by sobie zapracować na rejs do Afryki, służąc jako majtek.

Na te słowa oficer się uśmiechnął.

– Afryka to wielki ląd, pani, większy, niżbym ci zdołał opisać – rzekł. – Czy człek ów wie, gdzie dokładnie prag-

nie dotrzeć? Albowiem może się znaleźć w Afryce, a mimo to wciąż mieć dalej do domu aniżeli stąd do Rosji.

Pytanie to zbyłam wzruszeniem ramion.

– Skoro przyjdzie czas, na pewno będzie wiedział – oświadczyłam. – Serce zawsze nam powie, gdzie leży nasz dom. Cóż tedy, zabierzecie go czy nie?

– A pływał już kiedy na okręcie? – zapytał oficer.

– Pływał, a nawet przeżył katastrofę. Zaprawiony z niego żeglarz.

Oficer zgodził się przeto zaprowadzić nas do kapita-
na rzezonego statku. Udaliśmy się do tawerny, tam kapitan siedział w towarzystwie dwóch kupców, nisko ku nim pochylony. Po długim oczekiwaniu stanęliśmy przed jego obliczem. Ponownie opowiedziałam dzieje Piętaszka, wyjawiając też jego pragnienie powrotu do Afryki.

– A ty, pani, byłaś w Afryce? – spytał kapitan.

– Nie, panie, nie byłam – odrzekłam – lecz to nie ma nic do rzeczy.

– I nie myślisz towarzyszyć swemu słudze?

– Nie.

– A zatem wysłuchaj mnie, pani. Afryka to w połowie pustynia, reszta zaś to cuchnąca malaryczna puszcza. Temu czarnemu nieborakowi lepiej byłoby w Anglii. Lecz skoro już tak się uparł, to go zabiorę.

Serce mi zabiło mocniej.

– Masz, pani, dokument potwierdzający wyzwolenie?

Gestem pokazałam Piętaszkowi (który podczas owej rozmowy stał niby kolek, niczego nie pojmując), iż chcę otworzyć sakiewkę wiszącą mu na szyi, po czym wręczyłam kapitanowi dokument podpisany nazwiskiem Kruzo, co najwidoczniej go zadowoliło.

– Doskonale – rzekł, wsuwając papier do kieszeni. – Wysadzimy pani podopiecznego na afrykańskim brzegu,

tam gdzie nam wskaże. Lecz teraz musicie się pożegnać: odpływamy o świcie.

Nie umiem rzec, czy sprawiło to obejście kapitana, czy też spojrzenie, jakie ukradkiem wymienili z pierwszym oficerem, lecz nagle sobie uprzytomniłam, iż rzecz ma się zgoła inaczej, niżby na to wyglądało.

– Dokument należy do Piętaszka – oznajmiłam. Wyciągnęłam po niego rękę. – To jedyny dowód, że jest wolnym człowiekiem. – A gdy kapitan zwrócił mi papier, dodałam: – Piętaszek nie może teraz wejść na pokład. Musi jeszcze zabrać swój dobytek z naszej kwatery w mieście.

Po tym odgadli, że przejrzałam ich plan (a zamyślali po raz drugi zaprzedać Piętaszka w niewolę): kapitan wzruszył ramionami i pokazał mi plecy, i tak to się skończyło.

Przeto ów zamek, który wzniosłam na lodzie – mianowicie że Piętaszek pożegluje do Afryki, ja zaś powrócę do Londynu, nareszcie pani siebie – zawałił mi się na głowę. Jak się przekonałam, na tych statkach, gdzie kapitan był uczciwy, nie przyjmowano tak lichego majtka jak Piętaszek. Tylko ci bardziej niegodziwi – a w następnych dniach napotkałam ich całą czeredę – udawali gościnne przyjęcie, uważając mnie bez wątpienia za łatwego dudka, Piętaszka natomiast za zdobycz, co im spada wprost z nieba. Jeden z owych niegodziwców twierdził, że udaje się do Kalkuty, a po drodze zawinie na Przylądek Dobrej Nadziei, gdzie też obiecał wysadzić Piętaszka; tymczasem, jak się dowiedziałam od zarządcy nabrzeża, prawdziwym jego portem docelowym była Jamajka.

Czyżbym okazywała zbyt dużą podejrzliwość? Wiem tylko jedno: dzisiejszej nocy nie spałabym spokojnie, gdy-

by Piętaszek żeglował po otwartych morzach, po raz drugi skazany, całkiem tego nieświadom, na plantacje. Kobieta urodzić może dziecko, którego nie pragnie, może je wychować bez miłości, wszelako gotowa go bronić aż do ostatniego tchu. Tak też poniekąd się stało z Piętaszkiem i ze mną. Nie Kocham go, lecz jest mój. Oto dlaczego pozostał w Anglii. Oto dlaczego jest tutaj.

III

Schody ciemne były i odrapane. Pukanie rozbrzmiało jakoby w pustce. Zapukałam powtórnie i usłyszałam szuranie nóg, a spoza drzwi głos, jego głos, stłumiony i ostrożny.

– To ja, Susan Barton – oznajmiłam. – Jestem sama, z Piętaszkiem.

Za czym drzwi się otwarły i on stanął przede mną, ówże Foe, którego po raz pierwszy ujrzałam w Kensington Row, lecz szczuplejszy i bardziej żwawy, jak gdyby służyła mu czujność oraz skromny wikt.

– Czy możemy wejść? – spytałam.

Odstąpił w bok; wkroczyliśmy do jego kryjówki. Pokój oświetlało jedno tylko okno, przez które się wlewał blask popołudniowego słońca. Widok rozciągał się na północ, ponad dachami Whitechapel. Umeblowanie tworzyły stół, krzesło tudzież łóżko, niechlujnie zasłane; jeden kąt pokoju oddzielony był zasłoną.

– Nie tak to sobie wyobrażałam – rzekłam. – Spodziewałam się mnóstwa kurzu na podłodze, a też półmroku. Wszelako życie nigdy nie spełnia naszych oczekiwań... To mi przypomina pewnego autora, który zauważył, że po śmierci możemy się znaleźć bynajmniej nie pośród chórów anielskich, lecz w miejscu całkiem zwyczajnym, na przy-

kład w kabinie kąpielowej, w upalne popołudnie, wśród pajaków drzemących po kątach. Zda nam się wówczas, że to zwykła niedziela na lotnisku; później dopiero zrozumiemy, że przebywamy w wieczności.

– Tego autora nie czytałem.

– A ja koncept ów przechowałam z dzieciństwa. Lecz przyszłam zapytać o inną zgoła historię. O naszą historię i historię wyspy... jak się posuwa? Czy już napisana?

– Posuwa się, lecz posuwa się z wolna, Susan. Powolna to historia, powolna historyczna opowieść. Jakim sposobem mnie odszukałaś?

– Wyłącznie szczęśliwym trafem. Spotkałam w Covent Garden dawną pańską gospodynię, panią Thrush, po tym, jak wróciliśmy z Piętaszkim z Bristolu... w drodze pisałam do pana listy, przyniosłam wszystkie, proszę, oto one. Pani Thrush skierowała nas do chłopca, który dla pana biega na posyłki, dała mu też znać, że można nam zaufać. Chłopiec ów przywiódł nas do tego domu.

– Rad jestem bardzo, żeście się zjawili, bo muszę się dowiedzieć czegoś więcej o Bahii, a o tym ty jedna możesz mi opowiedzieć.

– Bahía nie należy do mojej historii – odrzekłam – ale dobrze, opowiem, ile tylko potrafię. Owóż Bahía to miasto zbudowane na wzgórzach, by zatem transportować ładunki z portu do swych składów, kupcy rozpięli potężną linę z blokami oraz kołowrotami. Z ulic widać bele towaru sunące górą, bez ustanku, jak dzień długi. Ulice bahijskie rojne są i gwarne, pełno tam ludzi biegających za swymi sprawami, niewolników i ludzi wolnych, Portugalczyków, Murzynów, Indian i wszelakich mieszaińców. Portugalskie niewiasty rzadko widuje się poza domem, albowiem Portugalczycy to wielce zazdrosna nacja. Takie tam mają powiedzenie: W życiu kobiety trzy jeno są stosow-

ne pory, by opuścić domostwo: dzień chrztu, dzień zamęścia i dzień pochówku. Niewiastę, co po mieście bez nijakiego chadza skrępowania, poczytują za nierządnicę. Mnie za takową uważano. Aliści tak wiele jest w Bahii owych nierządnic, albo też, jak ja je wolę nazywać, kobiet wolnych, że wcale się nie zrażałam. W chłodne wieczory wolne kobiety bahijskie przywdziewają najpiękniejsze stroje, na szyjach wieszają złote łańcuchy, złote bransolety wkładają na ręce i złote ozdoby we włosy, i tak spacerują ulicami; albowiem złoto tam tanie. Najbardziej są nadobne kobiety kolorowe, czyli w ichniej mowie *mulatas*. Nie udało się Koronie zdławić prywatnego handlu złotem, który to kruszec wydobywa się w interiorze i który górnicy sprzedają złotnikom. Niestety, nie mogę panu pokazać żadnego dzieła owej cudnej sztuki złotniczej, choćby i szpilki. Wszystko, com posiadała, odebrali mi buntownicy. Na wyspę dotarłam w samym ubraniu, czerwona jak burak od słońca, z rękoma obtartymi i całymi w pęcherzach. Nic dziwnego, że nie zdołała oczarować Kruzo.

– A Piętaszka?

– Piętaszka?

– Czy Piętaszek ni trochę cię nie pokochał?

– Jakże nam poznać, co się dzieje w Piętaszkowym sercu? Ale myślę, że nie. – Obróciłam się do Piętaszki, który przez cały ten czas siedział w kucki przy drzwiach, z głową wspartą na kolanach. – Kochasz mnie, Piętaszku? – zawołałam z cicha. Nawet nie podniósł głowy. – Żyliśmy nazbyt blisko na miłość, panie Foe. Piętaszek stał się moim cieniem. Czy nasze cienie nas kochają, chociaż nigdy się z nimi nie rozstajemy?

Foe się uśmiechnął.

– Opowiedz mi jeszcze o Bahii.

– O Bahii wiele można opowiadać. Bahia to osobny świat. Ale po co? Bahia to nie wyspa. Bahia była ledwie odskocznią w mej wędrówce.

– A może nie? – odrzekł Foe ostrożnie. – Raz jeszcze powtórz sobie wszystko, a sama się przekonasz. Cała historia rozpoczyna się w Londynie. Córka twoja zostaje wprowadzona albo też ucieka wraz z ukochanym... nie wiem, czy jedno, czy drugie, to bez znaczenia. Wyruszasz na poszukiwania; płyniesz do Bahii, albowiem masz jakoweś informacje, że córka tam właśnie przebywa. W Bahii spędzasz aż dwa lata, dwa bezowocne lata. Jak podówczas żyjesz? Jak się ubierasz? Gdzie sypiasz? W jaki sposób wypełniasz dni? Kim są twoi przyjaciele? Takie oto padają pytania, a my musimy odpowiedzieć. I jeszcze: jaki los spotkał twą córkę? Nawet na wielkich połaciach Brazylii córki nie znikają niby dym. Czy jest możliwe, że podczas gdy jej szukasz, ona szuka ciebie? Lecz dość pytań. Nareszcie popadasz w rozpacz. Zarzucasz poszukiwania i odpływasz. Wkrótce potem córka twoja przybywa do Bahii, przybywa tam z głębi kraju, szukając ciebie. Dochodzą ją wieści o wysokiej Angielce, która odpłynęła statkiem udającym się do Lizbony, rusza przeto twoim śladem. Nawiedza porty w Lizbonie i Oporto. Grubiańscy marynarze biorą ją za jedną z owych błogosławionych prostych duszyczek, traktują więc z życzliwością. Aliści nikt nie słyszał o wysokiej Angielce przybyłej z Bahii. Jesteś na Azorach, spoglądając w morze, lamentując, niczym druga Ariadna? Nie wiemy. Czas mija. Córka twoja rozpacza. Aż wreszcie przypadkiem słyszy opowieść o kobiecie wyratowanej z wyspy, gdzie przebywała wraz z jakowymś starcem i jego czarnoskórym niewolnikiem. Czy kobieta owa może być jej matką? Dziewczyna podąża śladem pogłoski z Bristolu do Londynu, do domu, w którym ko-

bieta ta krótki czas służyła (to dom w Kensington Row). Tam też się dowiaduje, jak nazywa się nieznajoma. Nosi to samo imię, to samo nazwisko co ona.

Przeto mamy wszystkiego pięć części: utrata córki; poszukiwanie jej w Brazylii; zaniechanie poszukiwań tudzież przygoda z wyspą; podjęcie poszukiwań przez córkę; i wreszcie spotkanie córki i matki. Tym sposobem powstaje książka: utrata, potem poszukiwanie, później odnalezienie; początek, środek, wreszcie zakończenie. Co zaś się tyczy oryginalności, tej przydaje epizod z wyspą, czyli część druga partii środkowej, a również ów zwrot akcji, kiedy to córka podejmuje poszukiwania zarzucone przez matkę.

Odeszła mnie wszelka radość z odnalezienia Foe. Siedziałam tam, czując się tak, jak gdyby członki wypełniał mi ołów.

– Wyspa nie tworzy odrębnej historii – rzekł Foe łagodnie, kładąc mi dłoń na kolanie. – Możemy ją ożywić, jedynie wplatając w większą opowieść. Sama jedna nie lepsza jest aniżeli pełna wody łódź, co dryfuje dzień za dniem skroś pustego oceanu, aż wreszcie któregoś z tych dni pokornie i bez zamieszania tonie. Wyspie twojej brak światła i cienia. Od początku do końca nazbyt jest niezmienna. Przypomina bochen chleba. Z pewnością utrzyma nas przy życiu, jeżeli odczuwamy głód lektury; któż atoli ją wybierze, skoro wokół miał będzie smakowitsze słodczyce i paszety?

– W listach, których pan nie czytał – rzekłam – wyraziłam przekonanie, że jeśli historia sprawia wrażenie niemądrej, dzieje się tak jeno dlatego, że tak uparcie zachowuje milczenie. Ów cień, którego brak pan odczuwa, tu się znajduje: to rzecz o uciętym Piętaszkowym języku.

Foe nijakiej nie dał mi odpowiedzi, mówiłam więc dalej: – Historia Piętaszkowego języka to historia nie do

opowiedzenia, a przynajmniej nie ja ją potrafię opowiedzieć. Chcę rzec, wiele by tu można ułożyć historii, atoli ta prawdziwa spoczywa pogrzebana w Piętaszku właśnie, a on jest niemową. Nikt też owej prawdziwej historii nie usłyszy, póki mocą sztuki nie oddamy Piętaszkowi głosu.

– Panie Foe – ciągnęłam, przemawiając z coraz to większym trudem – gdym pomieszkiwała w twoim domu, czasami leżałam bezsennie na pięttrze, słuchając pulsowania krwi w uszach i Piętaszkowego milczenia w pokoju poniżej, milczenia, co ulatywało schodami w górę jak dym, jak kłąb czarnego dymu. Niebawem zgoła nie mogłam oddychać, czułam, że się duszę w pościeli. Płuca, serce, głowę wypełniał mi czarny dym. Musiałam prędko wyskoczyć z łóżka, odsunąć zasłony i wytknąć głowę na zewnątrz, odetchnąć świeżym powietrzem i się przekonać, że na niebie nadal są gwiazdy.

W listach moich opowiedziałam panu o Piętaszkowym tańcu. Aliści nie opowiedziałam wszystkiego.

Po tym, jak Piętaszek znalazł pańską togę i perukę i uczynił z nich swą liberię, całymi dniami wirował, tańczył i śpiewał, na własną modłę. Wszelako nie mówiłam panu, że prócz togi i peruki niczego do owych płasów nie przywdziewał. Stojąc nieruchomo, okryty był po kostki; aliści gdy się obracał, toga odstawała sztywno od ciała, odstawała tak znacznie, iż można by mniemać, że celem tańca było ukazanie nagości pod szatą.

Skoro Kruzo mi rzekł, że handlarze żywym towarem mają w zwyczaju ucinać języki pojmanym, iżby bardziej byli ulegli, wyznam, że się zastanawiałam, czy aby nie używa metafory gwoli przystojności: czy postradany język może oznaczać nie tylko sam język, lecz także ohydniejsze jakieś okaleczenie; czy przez niemego niewolni-

ka nie powinnam rozumieć niewolnika pozbawionego męskości.

Gdy owego pierwszego poranka usłyszałam nucenie i podeszłam ku drzwiom, gdy ujrzałam, jak Piętaszek tańczy w rozwianej todze, w takie popadłam osłupienie, że bez nijakiego wstydu wpatrzyłam się w to, co dotychczas pozostawało przede mną ukryte. Albowiem choć przedtem widywałam Piętaszka nagim, to jeno z oddalenia: na wyspie przestrzegaliśmy wymogów przyzwoitości o tyle, o ile to było możliwe, Piętaszek nie mniej skrupulatnie od nas.

Mówiłam panu, jaką poczułam odrazę, gdy Kruzo, otworzywszy usta Piętaszka, chciał mi pokazać, że ów nie ma języka. To coś, co Kruzo pragnął, bym zobaczyła, to, od czego odwróciła spojrzenie, to był gruby kikut w głębi ust; później sobie wystawiałam, jak kikut ów dygocze i się napina pod wpływem wzburzenia, kiedy Piętaszek próbuje coś rzec, jak się napręża niczym robak przekrojony na pół i wijący się w agonii. Od tamtej nocy bezustannie towarzyszył mi lęk, iż moje oczy nagle ujrzyć mogą ślad potworniejszego jeszcze okaleczenia.

W tańcu nic nie pozostawało nieruchome, a przecież wszystko trwało w bezruchu. Wirująca toga była szkarłatnym dzwonem nasadzonym na Piętaszkowe ramiona i spowijającym mu ciało, Piętaszek zaś ciemnym słupem pośrodku. Co było przede mną ukryte, ujawniło się. Zobaczyłam; lub raczej oczy miałam otwarte i mogłam ujrzyć to, co się przed nimi znalazło.

Zobaczyłam i dałam temu wiarę, aczkolwiek później przyszedł mi na myśl Tomasz, który także zobaczył, lecz uwierzyć nie chciał, póki nie dotknął rany.

Nie wiem, jak o takich sprawach napisać można w książce, jeżeli i tym razem nie użyje się metafor. Kie-

dym po raz pierwszy o panu usłyszała, powiedziano mi, żeś jest nader dyskretnym człowiekiem, poniekąd duchownym, co w trakcie swej pracy wysłuchał najmroczniejszych wyznań najbardziej zrozpaczonych pokutników. Nie uklęknę przed nim, ślubowałam sobie, nie uklęknę niczym jeden z owych szubieniczników, z ustami pełnymi ohydnych zwierzeń: jasno wypowiem to, co da się wypowiedzieć, pomnę zaś milczeniem niewypowiadalne. Lecz oto wyrzucam z siebie najskrytsze moje sekrety! Jest pan niby niepoprawny rozpustnik, przed którym tak się bronią kobiety, lecz na koniec są wobec niego bezsilne, albowiem sama owa niepoprawność służy uwodzicielowi za najcelniejszy oręż.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego, co trzeba mi wiedzieć o Bahii – rzekł Foe.

– Mówiłam sobie... czyż już wcześniej tego nie znałam?... mówiłam sobie: Przypomina cierpliwego pająka, co przycupnął pośrodku sieci, czekając, aż ofiara sama doń przyjdzie. A gdy się wijemy w jego uścisku, gdy rozwiera szczęki, by nas pożreć, gdy ostatnim tchem coś krzyczymy, on się blade uśmiecha i rzecze: „Ja was nie zapraszałem, samiście przyszli”.

Długie milczenie zapadło między nami. „Rzucony na brzegi, których nigdy nie myślał odwiedzić”... słowa przyszły nieproszone. Co oznaczały? Z ulicy dobiegło rozgłośnie zrządzenie jakiejś kobiety. Tyrada jej nie miała końca. Uśmiechnęłam się – nie mogłam się powstrzymać – i Foe uśmiechnął się również.

– Co się tyczy Bahii – podjęłam – z wyboru opowiadam o niej tak niewiele. Historia, za której sprawą pragnę być znana, to historia wyspy. Pan ją nazywa epizodem, ja atoli pełnoprawną historią. Rozpoczyna się ona mym przybyciem tamże, kończy zaś śmiercią Kruzo tudzież

powrotem moim i Piętaszka do Anglii, gdyśmy tak znowu pełni byli nadziei. Owa główna historia zawiera kilka pomniejszych: zawiera rzecz o tym, jakim sposobem zostałam rozbitkiem (opowiadaną przeze mnie Kruzo), rzecz o katastrofie okrętu Kruzo i o pierwszych latach na wyspie (opowiadaną przez Kruzo mnie), także historię Piętaszka, która właściwie nie tyle jest historią, ile łamigłówką albo też luką w opowieści (wystawiam ją sobie pod postacią dziurki od guzika, starannie obrębjonej dookoła, lecz pustej, czekającej na rzeczony guzik). Wziąwszy wszystko razem, w opowieści tej mamy początek i koniec, a też nader zajmujące dygresje, brak jeno treściwego oraz urozmaiconego środka, w miejscu gdzie Kruzo nazbyt wiele czasu trawił na uprawianiu teras, ja zaś na wędrówkach plażą. W swoim czasie poddał pan myśl, by uzupełnić ów środek, wymyślając piratów i kanibali. Na to nie mogłam przystać, albowiem nie była to prawda. Teraz pan podsuwa, iżby sprowadzić wyspę do epizodu w historii traktującej o kobiecie, co poszukuje utraconej córki. To również odrzucam.

Najmocniej pan się myli, skoro nie rozróżnia pomiędzy mym milczeniem a milczeniem istoty takiej jak Piętaszek. Piętaszek nie włada słowem, przeto nie umie się bronić przed transformacjami, którym dzień po dniu ulega zgodnie z życzeniami innych ludzi. Rzeknę, że jest kanibalem, i kanibalem się staje; rzeknę, że jest pomywaczem, i oto już mamy pomywacza. Gdzież tedy prawda o Piętaszku? Pan mi odpowie: nie jest on ni kanibalem, ni pomywaczem, to zaledwie nazwy, co nie tykają najgłębszej jego istoty, Piętaszek materialnym jest ciałem, ciałem z krwi i kości, jest sobą, Piętaszek to Piętaszek. Z tym atoli się nie zgodzę. Mniejsza, kim Piętaszek jest dla samego siebie (jest-li kimkolwiek? Jak może nam o tym powie-

dzieć?): dla świata pozostaje takim, jakim ja go widzę. Tedy Piętaszkowe milczenie to milczenie bezradne. Piętaszek dzieckiem jest swego milczenia, dzieckiem nienarodzonym, dzieckiem oczekującym narodzin, które urodzić się nie może. Tymczasem moje milczenie w kwestii Bahii tudzież innych spraw to milczenie z wyboru, milczenie rozmyślne: moje własne milczenie. Bahia, twierdzą, to odrębny świat, Brazylia zaś to świat jeszcze rozleglejszy. Bahia i Brazylia nie zawierają się w historii wyspy, nie sposób ich wtłoczyć w jej ramy. Przykładowo: Na ulicach Bahii ujrzy pan Murzynki obnoszące tace ze słodyczami na sprzedaż. Niech tutaj wyliczę niektóre z owych słodkości. Są zatem *pamonhas*, czyli indiańskie kukurydziane ciasteczka; *quimados* sporządzane z cukru, po francusku zwane *bon-bons*; *pão de milho*, biszkopt kukurydziany, i *pão de arroz*, biszkopt ryżowy; także *rolete de cana*, czyli bułeczki z trzcina cukrową. Owóż te akurat nazwy sobie przypominam, wszelako wiele jest innych frykasów, zarówno słodkich, jak i pikantnych, a wszystkie znaleźć można na tacy każdej przekupki, na rogu każdej ulicy. Niechże pan pomyśli, ileż jeszcze dziwów, ileż nowości kryje owo tętniące życiem miasto, kędy dzień i noc suną ulicami tłumy ludzi, nagich Indian z puszczy, hebanowych Dahomejczyków, dumnych Luzytańczyków i mieszkańców wszelkiej maści, kędy tłustych kupców niewolnicy dźwigają w lektykach pośród procesji biczowników, pośród pływających tancerzy, przekupniów i ciżby zdążającej na walki kogutów. Jakże pan by zdołał zawrzeć Bahię w okładkach książki? Tylko małe, skąpo zaludnione miejsca można ujarzmić i zatrzymać w słowach, miejsca takie jak bezludne wyspy albo opuszczone domy. A zresztą córki mojej nie ma już w Bahii, córka moja przepadła w interiorze, w świecie tak rozległym i tak osobliwym,

że z trudem go sobie wyobrażam, w świecie równin oraz plantacji jak ta, którą porzucił Kruzo, gdzie niepodzielnie włada mrówka i wszystko stoi na głowie.

Szkopuł w tym, że ja nic nie mam wspólnego z czeredą pańskich rzezimieszków czy innych rozbójników, co to wymamrotawszy swe wyznanie, wnet dyndają w Tyburn, wtrąceni w wiekuiste milczenie, a wówczas ty, panie, możesz przedstawić ich losy, jak ci się żywnie podobają. Ja jeszcze władna jestem kierować i poprawiać, a nade wszystko wstrzymywać. Takim to sposobem nadal się staram płodzić własną historię.

Tu ozwał się Foe.

– Chciałbym, Susan, byś wysłuchała takiej oto historii z czasów, kiedy przebywałem w Newgate. Owóż pewna skazana, złodziejka, gdy już mieli ją powlec na wóz i zabrać do Tyburn, poprosiła o duchownego, chcąc przed nim uczynić prawdziwą spowiedź; albowiem, jak rzekła, wcześniejsze jej wyznania były fałszem. Wezwano tedy ordynariusza. Przyznała mu się wówczas do tychże kradzieży, o które ją oskarżano, a też do wielu innych; przyznała się do licznych nieprawości tudzież bluźnierstw; przyznała się do porzucenia dwójki dzieci i do zadławienia trzeciego w kołysce. Wyznała, iż jednego męża ma w Irlandii, drugiego zesłanego do amerykańskiej Karoliny, trzeciego zaś w Newgate, a wszyscy ci mężowie żyją. Wyszczególniła swe zbrodnie z lat młodości i z dzieciństwa, aż wreszcie, gdy słońce stało już wysoko na niebie, a strażnik więzienny jał łomotać w drzwi, kapelan uciszył niewiastę. „Trudno mi dać wiarę, moja pani – rzekł – iżby jedno życie starczyło na popełnienie wszystkich owych zbrodni. Czyś istotnie tak wielką jest grzesznicą, jak pragniesz, bym wierzył?” „Jeżeli nie mówię prawdy, ojczye wielebny – odparła kobieta (notabene Irlandka) – czyż nie kalam

sakramentu i czyż nie jest to grzech cięższy nawet aniżeli te, którem wyznała, grzech wymagający dalszej spowiedzi i skruchy? Jeśli zaś szczerze nie odczuwam skruchy (czy odczuwam ją szczerze? Zaglądam w swoje serce i nie umiem rzec, taki tam panuje mrok), czyż spowiedź moja nie jest fałszem, grzech tedy grzechem w dwójnasób?” Tak więc kobieta byłaby się spowiadała i podawała swą spowiedź w wątpliwość jak dzień długi, aż woźnica by przysnął, a przekupnie i gapie rozeszli się do domów, gdyby kapelan nie uniósł rąk i donośnym głosem nie dał nieszczęsnej rozgrzeszenia, zakrzykując wszelkie jej protesty, że historia jeszcze nieskończona, potem zaś nie uszedł pospiesznie.

– Czemu pan mi to opowiada? – spytałam. – Czyż jestem kobietą, której już pora na szubienicę, czyż pan jest kapelanem?

– Możesz rozumieć tę historię, jak tylko sobie chcesz – odrzekł Foe. – Ja morał jej widzę w tym, że przychodzi taki czas, gdy musimy się odślonić przed światem, a potem na zawsze już zadowolić milczeniem.

– A dla mnie morał jest taki, że ten ma ostatnie słowo, kto rozporządza największą siłą. Czyli kat i jego przybocznicy, ci wielcy i ci mali. Gdybym to ja była ową Irlandką, nigdy nie zaznałabym spokoju w grobie, wiedząc, jakiemu to interpretatorowi powierzyłam historię swych ostatnich godzin.

– Tedy wysłuchaj drugiej opowieści. Pewną kobietę (jeszcze jedną kobietę) skazano na śmierć, już nie pomnę za co. Skoro się zbliżał ów fatalny dzień, popadała biedaczka w coraz większą rozpacz, bo nie mogła znaleźć nikogo, kto by się zaopiekował jej córeczką, ledwie niemowlęciem, wraz z nią zamkniętym w celi. Nareszcie jeden ze strażników, uzalivszy się nad nieszczęśliwą, po-

wiedział o wszystkim żonie i pospołu uradzili, że wezmą dziecko jako własne. Gdy skazana ujrzała córeczkę bezpieczną w ramionach przybranej matki, zwróciła się ku swym ciemnościom i rzekła: „Teraz możecie ze mną uczynić, co wam się żywnie podoba. Uciekłam bowiem z waszego więzienia; wszystko, co teraz tu macie, to tylko moja łuska” (szło jej, wierzę, o ową łuskę, która zostaje po motyłu, gdy ten już wyfrunie). To, rzecz jasna, historia z dawnych czasów; dziś już nie traktujemy matek tak po barbarzyńsku. Lecz pomimo to opowieść moja nadal znajduje zastosowanie, a rozumieć je należy tak: Istnieje więcej niż jeden sposób, by żyć wiecznie.

– Panie Foe, brak mi daru wydobywania przypowieści za przypowieścią, jako kuglarz wydobywa róże z rękawa. Był taki czas, przynajmniej, gdy się spodziewała sławy, gdy miałam nadzieję ujrzeć, jak na ulicy odwracają się za mną głowy, i sływać szepty: „Oto idzie Susan Barton, kobieta-rozbitek”. Aliści próżne to były ambicje i dawno już je porzuciłam. Niechże pan na mnie spojrzy. Od dwóch dni nic nie jadłam. Suknie wiszą w strzępach, włos mam całkiem gładki. Wyglądam jak staruszka, jak brudna starucha-Cyganka. Sypiam po bramach, na cmentarzach, pod mostami. Czy potrafi pan uwierzyć, że pragnę takiego właśnie żebraczego żywota? Zażywszy kąpieli, w nowym przyodziewku i ze stosownymi referencjami od pana, mogłabym jutro znaleźć sobie posadę kucharki, i to wcale wygodną posadę, w dobrym domu. Pod każdym względem mogłabym znów wieść życie godne istoty z krwi i kości, życie, jakie pan zaleca. Wszelako nędzne to życie. Życie przedmiotu. Gdy mężczyzna posiada nierządnicę, to właśnie jako istotę z krwi i kości. Fale mnie uniosły i rzuciły na wyspę, a w rok później te same fale przyniosły statek, moje ocalenie; co zaś do

prawdziwej historii owego roku, historii w takiej postaci, w jakiej powinna widnieć pośród wielkiego porządku rzeczy danego od Boga, to nadal pozostają równie jej nieświadoma jak nowo narodzone dziecko. Dlatego właśnie nie mogę spocząć, dlatego jak zły szeląg podążam w ślad za panem do tej kryjówki. Czybym tu się znalazła, jeśli bym nie wierzyła, że jesteś poniekąd mym wybrankiem, tym jednym, jedynym wybranym po to, iżby opowiedzieć prawdziwe moje dzieje?

Czy znasz historię muzy, panie Foe? Muza to taka kobieta, taka bogini, która nocą odwiedza poetów i zapładnia ich wersami. W późniejszych swych relacjach poeci opowiadają, że muza przychodzi w godzinach najgłębszej rozpacz i dotyka ich świętym ogniem, aż wyschłe dotąd pióra same tryskają. Gdym ja spisywała dla pana pamiętnik i widziała, jak bardzo pod mym piórem ów przypomina wyspę, jaki jest nudny, pusty i bez życia, wówczas żalowałam, że nie istnieje muza płci męskiej, młody bóg, który by nocą odwiedzał autorki i sprawiał, by ich pióra sunęły potoczyście. Teraz atoli mam więcej rozsądku. Muza to zarazem bogini i płodny bóg. Nie wybrano mnie na matkę mojej historii, lecz na kogoś, kto historię tę spłodzi. Nie ja tu jestem przyszłą oblubienicą, lecz pan jest tym wybranym. Czemu jednak muszę dowodzić swej słuszności? Odkąd to od mężczyzny w zalotach oczekuje się, by zabiegał o wybrankę, używając sylogizmów? Dlaczego ode mnie ktoś miałby tego wymagać?

Foe nic nie odrzekł, przemierzył pokój ku odgradzonej zasłoną alkwie i powrócił ze słojem w ręku.

– Oto wafle pieczone z ciasta migdałowego, na włoską modłę – powiedział. – Niestety, nic więcej nie mam.

Wzięłam wafel i nadgryzłam. Tak był delikatny, że stopniał mi na języku.

– Strawa bogów – zauważyłam. Foe uśmiechnął się i potrząsnął głową. Podałam wafel Piętaszkowi, który wziął go ospale z mej dłoni.

– Ten chłopiec, Jack, niebawem tu przyjdzie – rzekł Foe. – Potem przyniesie nam coś na wieczkę.

Zapadła cisza. Popatrywałam na wieże i dachy.

– Wspaniała to kryjówka – rzekłam – istne orle gniazdo. Ja swój pamiętnik pisałam przy świecy, w pokoju bez okien, opierając kartkę na kolanie. Jak pan myśli, czy właśnie dlatego moja historia tak była nudna? Dlatego że niewiele mogłam zobaczyć, że niewiele widziała?

– Historia twoja nie jest nudna, choć nadto jednostajna – stwierdził Foe.

– Nudna nie jest dopóty, dopóki pamiętamy, że jest prawdziwa. Aliści traktowana jako przygoda, nudna jest nad wyraz. Właśnie dlatego pan nalegał, żeby wprowadzić do niej kanibali, czy tak? – Foe raz i drugi z rozważą skłonił głowę. – W obecnym tu Piętaszku masz, panie, żywego kanibala. Spójrz. Jeśli po nim sędzić, kanibale nie mniej są nudni aniżeli Anglicy.

– Z pewnością tracą wigor, gdy ich pozbawić ludzkiego mięsa – odparł Foe.

Rozległo się pukanie; wszedł chłopiec, który nas przywiódł do tego domu.

– Witaj, Jack! – zawołał Foe. – Pani Barton... znasz panią Barton, prawda?... pani Barton zostaje z nami na wieczkę, więc proszę o podwójne porcje. – Wydobył sakiewkę i dał Jackowi pieniądze.

– Nie zapomnij, panie, o Piętaszku – wtrąciłam.

– Ależ oczywiście, weź też porcję dla służącego Piętaszka. – Chłopiec wyszedł. – Znalazłem Jacka wśród bezdomnych i sierot, które sypiają w dołach na popiół przy

hucie szkła. Chłopak ma, jak sam twierdzi, dziesięć lat, ale jest już wyśmienitym kieszonkowcem.

– Nie próbuje pan go sprowadzić na drogę poprawy?

– Gdyby zrobić tego chłopca uczciwym człowiekiem, znaczyłoby to skazać go na przytułek – odrzekł Foe. – Chciałabyś posłać dziecko do przytułku, tylko po to, żeby uratować parę chusteczek?

– To nie, lecz z drugiej strony pańskie praktyki zaprowadzą Jacka na szubienicę. Czy nie mógłbyś go wziąć do siebie i wyuczyć abecadła, i posłać go w świat jako swego terminatora?

– Jeślibym posłuchał twojej rady, iluż by tu spało na podłodze terminatorów, których wyrwałem ulicy? Niechybnie wzięto by mnie za mistrza w złodziejskim fachu i to mnie posłano na szubienicę. Jack ma swoje własne życie, nie zdołałbym mu wymyślić lepszego.

– Piętaszek także ma własne życie – powiedziałam – mimo to nie wypędzam Piętaszka na ulicę.

– A dlaczego nie?

– Bo jest bezradny. Bo Londyn to dla niego obcy świat. Bo wzięto by go za zbiega, sprzedano i odesłano na Jamajkę.

– Czy prędzej nie trafiłby do swych pobratymców, którzy by go otoczyli opieką i nakarmili? – rzekł Foe. – Więcej jest Murzynów w Londynie, niżbyś potrafiła uwierzyć. Przejdź się choćby po Mile End Road w letnie popołudnie, zajrzyj na Paddington, a sama się przekonasz. Czy Piętaszek nie byłby szczęśliwszy pośród Murzynów? Mógłby grać w kapeli ulicznej i zarobić parę groszy. Mnóstwo tu takich wędrownych kapel. Podarowałbym mu swój flet.

Zerknęłam w stronę Piętaszka. Czy się pomyliłam, czy też w jego oku mignął błysk zrozumienia?

– Piętaszku, rozumiesz, co mówi pan Foe? – zawołałam. Odpowiedział mi tępym spojrzeniem.

– Albo też gdybyśmy mieli w Londynie ów doroczny targ służby, jak na zachodzie kraju – podjął Foe – Piętaszek mógłby stanąć w szeregu, z motyką na ramieniu, i dostać posadę ogrodnika, nie mówiąc ni słowa.

Jack powrócił, niosąc przykrytą tacę, z której dolaływała smakowita woń. Postawił tacę na stole, szepnął coś do Foe.

– Daj nam parę minut, a potem je wprowadź – rzekł Foe; do mnie zaś: – Mamy gości, lecz najpierw się posilmy.

Jack przyniósł pieczeń wołową w sosie, a do tego trzypensowy bochenek chleba i dzban piwa. Jako że były tylko dwa talerze, pierwsi zjedliśmy ja i Foe, po czym znów napełniłam swój talerz i podałam Piętaszkowi.

Rozległo się pukanie. Foe otworzył drzwi. Światło padło na dziewczynę, którą zostawiłam w lasach Epping; za jej plecami, w cieniu, spostrzegłam drugą kobietę. Gdy tak stałam oniemiała, dziewczyna przemierzyła pokój, objęła mnie i ucałowała w policzek. Poczułam nagły chłód, myślałam, że upadnę.

– A oto Amy – rzekła dziewczyna – Amy z Deptfordu, moja niania z dzieciństwa.

W skroniach mi łomotało, wszelako zebrałam siły i stanęłam twarzą w twarz z ową Amy. Ujrzałam smukłą, przystojną niewiastę w moim wieku, z jasnymi lokami wymykającymi się spod czepka.

– Miło mi cię poznać, pani – wymamrotałam. – Ale pewna jestem, że nigdy w życiu cię nie widziała na oczy.

Ktoś dotknął mego ramienia. Był to Foe: poprowadził mnie do krzesła, posadził, dał mi szklanek wody.

– To chwilowa słabość, to przejdzie – powiedziałam. Skinął głową.

– Tedy jesteście wszyscy razem – rzekł Foe. – Proszę, usiądźcie, Susan, Amy. – Wskazał łóżko. Mały Jack stał u jego boku, popatrując na mnie z ciekawością. Foe zaś świecił drugą lampę, postawił na kominku. – Za chwilę Jack przyniesie węgiel i rozpali ogień, tak, Jack?

– Słucham, panie – powiedział chłopiec.

Ozwałam się: – Robi się późno, my z Piętaszkiem musimy już iść.

– Nawet o tym nie myśl – zaprotestował Foe. – Nie masz dokąd pójść. A zresztą, kiedyś ostatnio przebywała w takiej kompanii?

– Nigdy – odparłam. – Nigdy w życiu nie przebywałam w takiej kompanii. Sądziłam, że to zwykły dom z pokojami do wynajęcia, a tymczasem widzę, że to jakoweś miejsce spotkań aktorów. Szkoda moich słów, panie Foe, próżno mi powtarzać, że kobiet tych nie znam, bo zaraz mi odpowiesz, że zapomniała, a potem je nakłonisz, iżby snuły długie opowieści o przeszłych czasach, kiedy to, jak będą utrzymywać, ja także byłam aktorką.

Owóż pozostaje mi tylko zapewnić, że to nieprawda, bo cóż więcej? Równie dobrze jak pan znam liczne, nader liczne sposoby oszukiwania samego siebie. Lecz jakże nam żyć bez wiary, że wiemy, kim jesteśmy i kim byliśmy? Gdybym ja sama była osobą tak grzeczną, jak pan tego pragnie, gdybym miała bez ociągania przyznać, iż choć wierzę, że córkę moją pochłonęły brazylijskie stepy, to całkiem też możliwe, że ubiegły rok przeżyła w Anglii i teraz jest w tym pokoju, jakkolwiek pod nierozpoznawalną dla mnie postacią... albowiem ta córka, którą ja pamiętam, wysoka jest i ciemnowłosa, i ma swe własne imię... gdybym tedy przypominała butelkę podskakującą na falach, butelkę z karteczką w środku, gdyby karteczka owa mogła równie dobrze zawierać wiadomość od dzie-

cka, co dla zabawy łowi ryby w kanale, jak i od żeglarza dryfującego po morzu... gdybym zatem była jeno naczyniem gotowym pomieścić każdą wlewaną weń historię, bez wątpienia pan by mnie odprawił z niczym, bez wątpienia rzekłby sobie: „Toż to nie kobieta, lecz dom słów, pusty, bez nijakiej treści”.

Nie jestem opowieścią, panie Foe. Owszem, jako opowieść mogę cię frapować, ponieważ rozpoczęłam relację o swych dziejach bez słowa wstępu, zsuwając się za burtę i płynąc do brzegu. Wszelako życie moje nie zaczęło się w falach. Wodne bezmiary poprzedzał żywot sięgający wstecz do mych samotnych poszukiwań w Brazylii, stamtąd do lat, gdy córka jeszcze była ze mną, i dalej aż do dnia mych narodzin. Wszystko to składa się na historię, której nie myślę opowiadać. Nie myślę zaś jej opowiadać, bo nikomu, nawet panu, nie winnam nijakiego dowodu, że jestem istotą z krwi i kości, kimś, kto ma prawdziwą przeszłość na tym świecie. Wolę raczej opowiedzieć o wyspie, o sobie, Kruzo i Piętaszku, o tym, cośmy tam robili: albowiem wolną jestem kobietą, która dowodzi swej wolności, opowiadając własną historię tak, jak sama tego sobie życzy.

Tu umilkłam, zdyszana. Spostrzegłam, że obie, dziewczyna i kobieta imieniem Amy, przyglądają mi się z uwagą, a co więcej, zdawało się, z niejaką zyczliwością. Foe skinął głową, jak gdyby pragnął mi dodać odwagi. Chłopiec stał nieruchomo z szufelką do węgla w dłoni. Nawet Piętaszek wlepił we mnie wzrok.

Przeszłam przez pokój. Gdy się zbliżyłam, dziewczyna ani drgnęła. Jaki jeszcze mi pozostał sprawdzian? – pomyślałam; za czym wzięłam ją w ramiona i pocałowałam w usta, i poczułam, jak się poddaje uściskowi, jak oddaje mi pocałunek, odwzajemniając, rzekłbyś, pocałunek

kochanka. Czyżbym się spodziewała, że dziewczyna rozplynie się pod mym dotknięciem, że ciało jej się pokruszy i uleci niczym popiół ze spalonego papieru? Chwyciłam ją mocno, wbiłam jej palce w ramiona. Czy w samej rzeczy było to ciało mojej córki? Otworzyłam oczy i ujrzałam twarz Amy mającą tuż obok mojej, usta Amy rozchylone jak do pocałunku.

– Ona w niczym mnie nie przypomina – wymamrotałam.

Amy potrząsnęła głową.

– Twoim jest dzieckiem, pani, prawdziwie owocem twego łona – odrzekła. – Podobieństwo istnieje, choć ukryte.

Odsunęłam się.

– Nie idzie mi o ukryte podobieństwa. Idzie mi o błękitne oczy i brązowe włosy. – Mogłabym też wspomnieć o miękkich i bezradnych usteczkach, gdybym chciała sprawić jej ból.

– Jest także dzieckiem swego ojca, nie tylko matki – zauważyła Amy. Już miałam rzec, że skoro tak, to ojciec dziewczyny musi być moim przeciwieństwem, a przecież takich mężczyzn nie poślubiamy, bierzemy sobie tych, co nas ledwo uchwytne przypominają; aliści nagle pojęłam, że szkoda tu słów, gdyż w oku Amy błyskało nie tyle życiwe, ile raczej głupawe światelko.

– Panie Foe – przemówiłam, obracając się ku niemu (i teraz, ufam, naprawdę wyglądałam na zdesperowaną, a Foe to zauważył) – nie wiem już zgoła, do jakiegom trafiła domu, pomiędzy jakich ludzi. Mówię sobie, że to oto dziecko, które nazywa się mym imieniem i nazwiskiem, jest widmem, materialnym widmem, jeżeli takowe istnieją, widmem, co mnie nawiedza z niepojętych przyczyn, włokąc za sobą inne widma. Zastępuje, mówię sobie, córkę zagubio-

ną w Bahii, a przysłał je pan po to, iżby mnie pocieszyć; atoli pozbawiony daru przywoływania widm, sprowadza pan takie, co w niczym nie przypomina mojej córki. Albo też w skrytości ducha pan myśli, że córka moja nie żyje, i przywołuje jej zjawę, na co przybywa zjawą przypadkiem nosząca moje imię, wraz z towarzyszką. Tak właśnie przypuszczam. Co zaś do chłopca, nie umiem rzec, czy jest widmem, czy też nie, nie ma to zresztą znaczenia.

Wszelako jeśli kobiety owe pańskim są tworem, jeśli mnie odwiedzają na twoje polecenie, wypowiadając słowa, któreś dla nich przygotował, to kim jestem ja i kim w istocie ty jesteś? Przedstawiłam się panu własnymi słowami, to wiem... zsunęłam się za burtę, jęłam płynąć, moje włosy unosiły się wokół mnie, i tak dalej, te słowa pan na pewno pamięta. Także i potem, przez długi jeszcze czas, gdy pisałam listy, których pan nigdy nie przeczytał, których później nawet nie wysłałam, których na koniec wręcz nie napisałam, owóz wtedy jeszcze wierzyłam we własne autorstwo.

Aliści znalazłszy się wreszcie w tym samym co pan pokoju, gdzie z pewnością nie muszę relacjonować każdego kroku (widzisz mnie, nie jesteś ślepy), nadal opisuję i tłumaczę. Niech pan tylko posłucha! Opisuję ciemne schody, ogołocony pokój, zasłoniętą alkowę, szczegóły tysiącokrotnie bardziej znajome panu aniżeli mnie; opowiadam o naszym wyglądzie, odtwarzam nasze słowa. Dlaczego mówię, do kogo mówię, skoro mówić nie trzeba?

Zrazu mniemałam, iż opowiem ci historię wyspy, a uporawszy się z tym, powrócę do swego dawnego życia. Teraz całe moje życie staje się opowieścią: nie zostało mi już nic własnego. Sądziłam, że jestem sobą, ta dziewczyna zaś istotą z innego rzędu stworzeń, istotą, co wypowiada słowa przez pana dla niej wymyślone. Lecz

oto popadłam w zwątpienie. Prócz zwątpienia niczego już nie mam. Ja uosabiam zwątpienie. Kto mnie opowiada? Czy i ja jestem widmem? Do jakiego należę rzędu? A pan: kim pan jesteś?

Podczas całej owej przemowy Foe stał niby skamieniały przy kominku. Spodziewałam się jakowejś odpowiedzi, albowiem nigdy dotąd słowa go nie zawiodły. Lecz miast odpowiedzieć, bez nijakich wstępów podszedł do mnie, wziął mnie w ramiona i ucałował; i jako wcześniej, gdy dziewczyna oddała mi pocałunek, poczułam, że moje usta odwzajemniają pocałunek Foe (komu jednak czynię to wyznanie?), tak jak kobieta zwykła się odwzajemniać kochankowi.

Czy to właśnie była jego odpowiedź – że on i ja jesteśmy mężczyzną i kobietą, że mężczyzna i kobieta stoją poza zasięgiem słów? Jeżeli tak, marną wybrał odpowiedź – już raczej demonstrację aniżeli odpowiedź – odpowiedź taka nie zadowoliłaby żadnego filozofa. Amy, dziewczyna i Jack uśmiechali się jeszcze szerzej niż wprzód. Wyrwałam się, bez tchu.

– Panie Foe – rzekłam – dawno temu napisałeś pewną historię (znalazłam ją w bibliotece i dla zabicia czasu odczytałam Piętaszkowi), historię kobiety, która całe popołudnie spędziła na rozmowie z drogą przyjaciółką, a na koniec przyjaciółkę objęła i pożegnała, aż do następnego spotkania. Aliści owa przyjaciółka, o czym kobieta nie wiedziała, poprzedniego dnia zmarła, o wiele mil stamtąd, tedy kobieta rozmawiała z widmem. Pani Barfield: takie nosiła nazwisko, pamięta pan, nieprawda? Przeto z historii tej wnoszę, iż zdajesz sobie sprawę, że widma mogą z nami rozmawiać, a też obejmować nas i całować.

– Słodka moja Susan – rzekł Foe; na te słowa ma surowa mina zlągnęła: od wielu lat nikt mnie nie nazy-

wał „słodką Susan”, z pewnością Kruzo nigdy tak do mnie nie powiedział – słodka moja Susan, nic ci nie umiem rzec względem tego, kto spośród nas jest widmem, a kto nie: w tę kwestię możemy się jeno wpatrywać w milczeniu, jako ptak patrzy na węża, żywiąc nadzieję, że nas nie połknie.

Lecz jeśliś niezdolna pozbyć się zwątpienia, coś ci rzeknę, co cię pewnie uspokoi. Weźmy najśrodszy z naszych lęków, czyli że na ten świat wszystkich nas przywołał z innego rzędu (któryśmy teraz już zapomnieli) jakowyś nieznan nam magik, jako twierdzisz, że ja przywołałem twą córkę i jej towarzyszkę (nieprawda, nie przywołałem). Mimo wszystko pytam: Czy skutkiem tego utraciliśmy wolność? Czy choćby ty sama w mniejszym jesteś stopniu panią swego losu? Czyż koniecznie stajemy się kukiełkami w historii, której końca nie widać i ku któremu to końcowi pędzą nas niby skazanych przestępców? Ty wiesz i ja wiem, każde na własny sposób, cóż to za pokrętne zajęcie, to nasze pisanie; sztuczki magiczne bez wątpienia niewiele się od niego różnią. Siedzimy, spoglądając w okno, po niebie płynie chmura o kształcie wielbłąda, i nim się połapiemy, wyobraźnia przenosi nas lotem strzały w piaski Afryki, a nasz bohater (czyli nikt inny, jeno my sami w przebraniu) ściera się na bułaty ze zbrodniczym Maurerem. Przepływa następna chmura, w kształcie żaglowca, i w okamgnieniu lądujemy, zrozpaczeni rozbitkowie, na wyspie bezludnej. Czyż mamy powód wierzyć, że przeznaczone nam życie przebiega wedle logiczniejszego planu aniżeli owe kapryśne przygody?

Wiem, powiesz mi, że bohaterowie oraz bohaterki przygód to ludzie prości, niezdolni odczuwać takich wątpliwości, jakie ciebie trapią względem twego własnego życia. Aliści czyś wzięła pod rozwagę, że owe wątpli-

wości należą może do historii, którą przeżywasz, że niewiele więcej znaczą niżli każda inna twoja przygoda? Ja tylko pytam.

Trawiąc życie na pisaniu książek, nader często, wierząc mi, gubiłem się w labiryncie zwątpienia. Wyuczyłem się przeto takiej oto sztuczki: w tym miejscu, gdzie akurat jestem, umieszczam znak albo też sygnał, aby w przyszłych wędrówkach mieć do czego wrócić, aby nie pobrać jeszcze bardziej, niż już zbłądziłem. Umieściwszy ów znak, ruszam dalej; im częściej zaś do niego wracam (a znak ten wskazuje mi własną moją ślepotę i nieudolność), z tym większą pewnością wiem, że się zgubiłem, tym głębszej nabieram zarazem otuchy, ponieważ udało mi się znaleźć drogę powrotną.

Czyś kiedy pomyślała (i na tym też zakończę), że w swych własnych wędrówkach również mogłaś, nie o tym nie wiedząc, pozostawić za sobą podobny jakiś znak; bądź też, jeśli istotnie mniemasz, iż nie jest panią swego losu, że takowy znak ktoś pozostawił z myślą o tobie, jako symbol owej ślepoty, o której wspominałem; czyś pomyślała, że z braku lepszego planu twoje poszukiwanie wyjścia z labiryntu (jeżeli istotnie labirynt oplątał cię i omotał) może się rozpocząć z tegoż miejsca i wracać tam tylekroć, ile trzeba, póki wreszcie nie pojmiesz, że nadeszło dla ciebie wybawienie?

Tu Foe odwrócił się ode mnie, by się zająć Jackiem, który od dobrej chwili ciągnął go za rękaw. Wymienili parę cichych słów; Foe dał chłopcu pieniądze, a ten z wesołym „Dobrej nocy!” wyszedł. Następnie pani Amy zerknęła na zegarek i wykrzyknęła, że bardzo już późno.

– Daleko masz, pani, do domu? – spytała ją. Popatrzyła na mnie dziwnie.

– Nie – odrzekła. – Niedaleko, całkiem niedaleko.

Dziewczyna zbierała się do odejścia z widocznym ociąganiem, wszelako znów ją objęłam i ucałowałam, co chyba podniosło ją na duchu. To jej pojawianie się czy też widmowe odwiedziny, czy Bóg wie co jeszcze, mniej mnie teraz niepokoiło, gdym poznała ją lepiej.

– Chodź, Piętaszku – rzekłam – na nas też już pora.

Aliści Foe się sprzeciwił.

– Uczynisz mi największy zaszczyt, zostając na noc tutaj. A zresztą, gdzież indziej znajdziesz sobie łóżko?

– Dopóki nie pada, tysiąc mamy łóżek do wyboru, a wszystkie twarde – odparłam.

– Tedy zostań ze mną – prosił Foe. – Przynajmniej będziesz miała miękkie łożo.

– A Piętaszek?

– Piętaszek również.

– Ale gdzie on będzie spał?

– A gdzie byś sobie życzyła?

– Przecież go nie odeślę – rzekłam.

– W żadnym razie.

– Czy zatem może spać w pańskiej alkowii? – wskazałam kąt pokoju odgradzony zasłoną.

– Naturalnie – odrzekł Foe. – Rozłożę i dla niego matę, a i poduszka się znajdzie.

– To wystarczy.

Podczas gdy Foe przysposabiał alkwii, obudziłam Piętaszka.

– Chodź, Piętaszku, mamy dom na tę noc – szepnęłam – a jeśli szczęście nam dopisze, jutro raz jeszcze nas nakarmi.

Pokazałam Piętaszkowi jego poślanie i zaciągnęłam zasłonę. Foe zgasił lampę; usłyszałam, że się rozbiera. Chwili się wahałam, niepewna, co też spisywaniu mej historii

wróży fakt, że tak bardzo mam się zbliżyć z jej autorem. Posłyszałam szczęknęcie sprężyn łóżka.

– Dobrej nocy, Piętaszku – zaszeptałam. – Nie zważaj na swą panią ni na pana Foe. Wszystko będzie dobrze. – Za czym rozdziałam się do koszuli, rozpuściłam włosy i wsunęłam się do pościeli.

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu, Foe po swojej stronie, ja po swojej. Nareszcie Foe przemówił.

– Czasami pytam siebie, jak by to było, gdyby stworzenia Boże nie potrzebowały snu. Jesliby przez całe życie przyszło nam czuwać, czybyśmy przez to lepszymi byli ludźmi, czy może gorszymi?

Na osobliwy ów wstęp nie znalazłam odpowiedzi.

– Chcę rzec, czy lepsi bylibyśmy, czy też gorsi – ciągnął Foe – gdybyśmy nie musieli już zstępować nocą w głąb siebie samych i napotykać tego, co zwykle tam nas czeka?

– I cóż to jest takiego? – zapytałam.

– Ciemne strony naszej jaźni – odrzekł. – Ciemne strony jaźni, a też inne zjawy. – Potem zaś nagle: – Czy dobrze sypiasz, Susan?

– Sypiam bardzo dobrze, pomimo wszystko.

– A czy we śnie spotykasz zjawy?

– Miewam sny, wszelako postaci, co do mnie wówczas przychodzą, zjawami nie nazywam.

– Czym tedy są?

– Czym? Wspomnieniami. Wspomnieniami z godzin jawy, rozbitymi, pomieszanymi i w zmienionej formie.

– A czy są realne?

– Tak realne albo raczej tak mało realne, jak same wspomnienia.

– U pewnego starodawnego autora z Italii przeczytałam raz o człowieku, który odwiedził czy też śnił, że odwiedził Piekło – rzekł Foe. – Napotkał tam dusze

zmarłych. Jedna z owych dusz płakała. „Nie sądź jeno, śmiertelniku”, ozwała się do niego, „że skorom nie jest materialna, te oto łzy, które tu widzisz, nie są łzami prawdziwego żalu”.

– Żal był prawdziwy, zgoda, lecz czyj? – rzuciłam. – Ducha czy owego Włocha? – Wyciągnęłam rękę i zamknęłam dłoń Foe w swoich. – Panie Foe, czy naprawdę wiesz, kim jestem? Pewnego dnia przyszłam do ciebie w deszczu, gdyś bardzo się spieszył, i zatrzymałam wywodem o wyspie, którego z pewnością nie miałeś życzenia słuchać. (– Bardzo się mylisz, miła moja – powiedział Foe, obejmując mnie). Doradził mi pan, bym to spisała – ciągnęłam – bo spodziewał się pewno przeczytać o krwawych rozprawach na morzach albo też o rozwiązłości Brazylijczyków. (– Nieprawda, nieprawda! – Foe się roześmiał, tuląc mnie w ramionach. – Wszak od pierwszej chwili obudziłaś moją ciekawość, najgoręcej tedy pragnąłem usłyszeć wszystko, coś tylko miała do opowiedzenia!) Lecz nie, prześladuję pana swoją własną nudną historią, narzucam ci ją także i teraz, w tej najskrytszej z kryjówek. Co więcej, wlokę tu za sobą owe kobiety, widma nawiedzające widmo, niczym pchły żerujące na pchle. Tak właśnie pan to widzi, może nie?

– A czemu to, jak sama mówisz, nawiedzasz mnie, Susan?

– Przychodzę po pańską krew. Czy nie po to powracają widma? Nie po to, aby pić krew żywych? Czyż nie taka była prawdziwa przyczyna serdecznego powitania, jakie pańskiemu Włochowi zgotowały cienie?

Miał odpowiedzieć, Foe znów mnie pocałował, a przy pocałunku tak mocno ugryzł w wargę, aż krzyknęłam i odsunęłam się od niego. On jednak przytulił mnie mocno i ssał ranek.

– Ja tym właśnie sposobem żeruję na żywych – mruknął.

Legł na mnie: mogłabym mniemać, iż znowu spoczywam w ramionach Kruzo. Albowiem obaj te same mieli lata, a też równie masywne ciała, choć żaden nie był tęgi; z kobietą także poczynali sobie nader podobnie. Zamknęłam oczy, usiłując powrócić na wyspę, do wiatru i huku fal. Lecz wyspa była dla mnie stracona, oddalona o tysiąc mil wodnej pustyni.

Powściągnęłam zapaly Foe.

– Pozwól, proszę – szepnęłam – z pierwszą nocą łączy się pewien przywilej, i dziś ja rozszczę sobie do niego prawo.

Nakłoniłam Foe, by legł pode mną, za czym podkasałam koszulę i siadłam na nim okrakiem (co, zda się, wprawiło go w pomieszanie, jako że uczyniła to kobieta).

– Tak oto poczyną sobie muza, kiedy odwiedza swych poetów – wyszeptalam, czując, jak z moich członków nieco ustępuje ociężałość.

– Krzepka to była przejażdżka – rzekł później Foe. – Wytrzęsała mi wszystkie kości, muszę złapać oddech, nim zaczniemy od nowa.

– Przejazdżka to zawsze nielekka, gdy muza składa wizytę – odparłam. – Musi czynić wszystko, co w jej mocy, by spłodzić potomka.

Foe spoczywał nieruchomo przez chwilę tak długą, aż myślałam, że zasnął. Aliści gdy mnie samą jęła ogarniać senność, ozwał się: – Pisałaś o tym swoim Piętaszku, jak powiosłował w wodorosty... Takie ogromne kępy wodorostów dają schronienie pewnemu zwierzowi, przez żeglarzy zwanemu krakenem: słyszałaś może o nim? Stwórz ten macki ma grubości męskiego uda, a długie na wiele jardów, ma też dziób na kształt orlego. Wyobrażam sobie, jak ów kraken leży na morskim dnie, spoglądając w niebo

przez spletany kłęb wodorostów, podkulając liczne swe macki, czekając. I ku teźże upiornej orbicie Piętaszek kieruje swoją kruchą tratwę.

Nie potrafiłam odgadnąć, co w takiej chwili skłoniło Foe do opowieści o morskich potworach, ale milczałam.

– Jeśliby się pojawiła wielka macka, owinęła się wokół Piętaszka, a potem bezgłośnie go wciągnęła w głębinę i więcej się nie pokazała, czyby cię to zdziwiło? – spytał Foe.

– Potworna macka wyskakująca z głębin... owszem, byłabym zdziwiona. Zdziwiona, a też i pełna niedowierzania.

– Lecz czy zdziwiona na widok Piętaszka znikającego z powierzchni fal, z powierzchni ziemi? – dumał Foe. Znów chyba zapadł w drzemkę. – Powiadasz – nagle się przebudziłam – powiadasz, że kierował łódź tam, gdzie zatonał okręt... okręt, można mniemać, przewożący niewolników, nie zaś handlowy, jak utrzymywał Kruzo. Skoro tak, wystaw sobie setki Piętaszkowych towarzyszy, albo też ich szkieletów, wciąż skutych łańcuchem w czeluści statku, podczas gdy małe barwne rybki (o których mówiłaś) przemykają skroś ich oczodołów i pustych klatek, co niegdyś mieściły serca. Wystaw sobie Piętaszka, jak spogląda na nich z góry, jak rozrzuca pączki i płatki, a te przez krótką chwilę unoszą się na wodzie, by wnet zatonać i osiąść pomiędzy kośćmi umarłych.

Czy cię nie uderza w owych dwóch relacjach to, jak Piętaszka coś przyzywa z głębin... jak go przyzywa, a może też mu zagraża? Wszelako Piętaszek nie umiera. W swej kruchej łódeczce żegluję po naskórku śmierci, a mimo to wychodzi bez szwanku.

– Nie była to łódź, lecz kłoda drewna – sprostowałam.

– Każda historia, wierzę, skrywa jakoweś przemilczenie, jakowyś ukryty obraz, słowo nie wymówione. Dopóki nie wypowiemy niewypowiedzianego, dopóty nie dotrzemy do serca owej historii. Pytam tedy: Dlaczego Piętaszek stanął w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, skoro życie na wyspie nie kryło żadnych zagrożeń, i dlaczego ocalał?

Pytanie zdało mi się dziwaczne. Nie znalazłam żadnej odpowiedzi.

– Powiedziałem: serce historii – podjął Foe – ale powinienem raczej rzec: oko. Oko historii. Piętaszek kieruje kłode przez mroczną źrenicę (albo też martwy oczodół) oka, co spogląda nań z morskiego dna. Po nim to płynie i wychodzi bez szwanku. Nam zaś pozostawia zstąpienie w głąb tegoż oka. Inaczej bowiem żeglujemy jak on po powierzchni i przybijamy do brzegu, wiedząc ledwie tyle co wprzód, po czym wracamy do dawnego naszego żywota i śpimy bez snów, niczym dzieci.

– A ja bym rzekła: usta. Piętaszek mimo woli żeglował przez wielkie usta lub też dziób, wedle pańskich słów, usta rozwarłe, by go pożreć. Naszym jest zadaniem zstąpić do tych ust (skoro już używamy metafor). Naszym jest zadaniem otworzyć Piętaszkowe usta i usłyszeć, co skrywają: milczenie, być może, albo też szum, niby szum muszli przytkniętej do ucha.

– To również – odrzekł Foe. – Szło mi o coś innego; lecz o to również. Musimy sprawić, żeby przemówiło Piętaszkowe milczenie, a też milczenie otaczające Piętaszka.

– Ale kto tego dokona? Nietrudno jest, leżąc w łóżku, mówić, co należy uczynić, kto atoli zanurkuje w głąb wraku? Na wyspie przekonywałam Kruzo, że tym kimś powinien być Piętaszek, okręcony w pasie liną gwoli bez-

pieczeństwa. Lecz skoro Piętaszek nie umie nam rzec, co widzi, nie jest-li on w mej historii tylko wyobrażeniem (lub może przewidywaniem) innego nurka?

Foe nic nie odpowiedział.

– Wszystkie moje wysiłki, by przywrócić Piętaszkowi mowę czy też przywrócić mowie Piętaszka, spetzły na niczym – przyznałam. – Piętaszek wypowiada się jeno w muzyce i w tańcu, te zaś tak się mają do mowy jak wrzaski i krzyki do słów. Chwilami sama siebie pytam, czy w ogóle kiedyś władał jakim bądź językiem, czy w ogóle wie, co to język.

– A pokazałaś mu pismo?

– Jak może pisać, jeżeli nie potrafi mówić? Litery to zwierciadło słów. Nawet kiedy zda się, że piszemy w milczeniu, pismo daje świadectwo, że w duchu przemawiamy sami do siebie.

– Wszelako Piętaszek ma palce. Skoro ma palce, może składać litery. Pisanie nie musi z przeznaczenia być cieniem mowy. Wsłuchaj się w siebie, pisząc, a spostrzeżesz, że chwilami słowa składają się na papierze *de novo*, jak mawiali Rzymianie, przychodzą z najgłębszego milczenia duszy. Zwykliśmy wierzyć, że świat nasz stworzony został przez Boga, gdy ten wypowiedział Słowo. Pytam atoli: Czy raczej takowego nie napisał, czy nie napisał Słowa tak długiego, że jeszcześmy go nie doczytali do końca? Czy być może, że Bóg bez ustanku pisze świat, świat i wszystko, co na nim się znajduje?

– Nie mnie osądzać, czy pisanie władne jest się tworzyć z niczego – odparłam. – Możliwe, że uczyni tak dla autorów; dla mnie tego nie robi. Co się zaś tyczy Piętaszka, pomimo wszystko pytam: Jakże go nauczymy pisać, skoro nie ma w nim słów, nie ma słów w jego sercu, by dały się odzwierciedlić w piśmie, a przeciwnie, Pię-

taszka wypełnia jeno wir uczuć i żądz? A jeśli idzie o Boże pisanie, uważam, że jeżeli Bóg pisze, to używa sekretnego pisma, którego nam, stanowiącym część owego manuskryptu, nie dane jest odczytać.

– Odczytać go nie potrafimy, zgoda, o to również mi szło, albowiem jesteśmy tym właśnie, co Bóg pisze. My wszyscy albo też część z nas: możliwe, że niektórzy nie powstają pod Jego piórem, po prostu istnieją; lub też (myślę zwłaszcza o Piętaszku) spisuje ich inny, bardziej tajemniczy autor. Niemniej Boże pisanie to przykład pisma nie wspieranego mową. Mowa jest środkiem wyrażania słowa, nie samym słowem. Piętaszek mową nie włada, aliści ma palce i właśnie palce staną się jego środkiem wyrazu. Nawet gdyby ich nie miał, gdyby handlarze żywym towarem ucięli mu wszystkie, mógłby jeszcze trzymać sztyfcik węgla drzewnego między palcami stóp bądź też w zębach, tak jak żebracy na Strandzie. Nartnik, choć to głupi owad, na powierzchni stawów kreśli imię Boże, jako powiadają Arabowie. Nikt aż tak nie jest ułomny, by nie dał rady pisać.

Znajdując spór z Foe równie bezowocnym jak niegdyś spory z Kruzo, powściągnęłam język. Foe niebawem zapadł w sen.

Nie wiem, czy sprawiło to nieznanome otoczenie, czy też ciało Foe przyciśnięte do mnie na wąskim łóżku; dość, że pomimo znużenia nie mogłam zasnąć. Co godzinę słyszałam stróża nastukującego w bramie na dole; słyszałam – lub też zdawało mi się, że słyszę – tupot mysich łapek na gołej podłodze. Foe począł chrapać. Znosiłam ów hałas, dopóki się dało; potem wysunęłam się z łóżka, wdziałam koszulę i stanęłam w oknie, spoglądałam na dachy w świetle gwiazd, dumając, jak daleko jeszcze do świtu. Podeszłam do Piętaszkowej alkowy, odciągnęłam zasłonę.

Czy pośród najgłębszej czerni tego kąta Piętaszek spał, czy też leżał wpatrzony we mnie? Raz jeszcze mnie uderzyło, jak lekko oddycha. Można by sądzić, że zniknął z nastaniem ciemności, gdyby nie ta jego woń: niegdyś brałam ją za woń dymu z palonego drewna, teraz atoli wiedziałam, że to jego własna, senna i promieniująca spokojem. Przeszyła mnie bolesna tęsknota za wyspą. Z westchnieniem puściłam zasłonę i wróciłam do łóżka. Ciało Foe we śnie jak gdyby urosło: dla mnie zostało miejsca ledwie na szerokość dłoni. Oby prędko nastał dzień – modliłam się; i w tejże chwili zasnęłam.

Gdym otworzyła oczy, było już całkiem widno. Foe siedział przy stole, plecami do mnie, pisząc. Odziałam się i postąpiłam na palcach ku alkowie. Piętaszek spoczywał na macie, otulony szkarłatną togą.

– Chodź, Piętaszku – szepnęłam – pan Foe pracuje, musimy odejść.

Aliści nim dotarliśmy do drzwi, Foe sobie o nas przypomniał.

– Nie zapomniałaś aby o pisaniu, Susan? – rzekł. – Nie zapomniałaś, że masz wyuczyć Piętaszka liter? – Wyciągnął ku mnie dziecinną tabliczkę i rysik. – Wróc w południe i niechaj Piętaszek pokaże, czego się nauczył. Weź to na śniadanie. – Dał mi sześciopensówkę: choć skąpa to była zapłata za odwiedziny muzy, przyjęłam pieniądze.

Spożyliśmy tedy obfite śniadanie złożone z chleba i mleka, po czym znaleźli na cmentarzu ławeczkę skąpaną w słońcu.

– Postaraj się, jak tylko umiesz najlepiej, Piętaszku – rzekłam. – Natura nie stworzyła mnie nauczycielką: brak mi cierpliwości.

Narysowałam na tabliczce dom z drzwiami, oknami i kominem, pod spodem zaś wypisałam litery d-o-m.

– To obrazek – wyjaśniłam, wskazując rysunek – a to słowo. – Po kolei wymówiłam wszystkie głoski słowa „dom”, pokazując przy tym litery, a następnie ujęłam palec Piętaszka i powiodłam nim po literach, podczas gdy sama wymawiałam słowo; na koniec dałam Piętaszkowi rysik i tak pokierowałam jego dłonią, aby poniżej mojego „d-o-m” napisał swoje. Później wytarłam tabliczkę, żeby nie pozostał żaden obrazek prócz tego w Piętaszkowej głowie, i znów poprowadziłam jego rękę, składając słowo po raz trzeci i czwarty, aż całą tabliczkę pokryły litery. Ponownie ją wytarłam do czysta.

– A teraz zrób to sam, Piętaszku.

Piętaszek naskrobał trzy litery d-o-m albo też trzy kształty dostatecznie je przypominające: czy w rzeczy samej były to owe trzy litery, czy naprawdę oznaczały słowo „dom”, a też mój obrazek i dom jako taki – jeden Piętaszek to wiedział.

Narysowałam statek pod pełnymi żaglami i kazałam Piętaszkowi wypisać „statek”, potem zaś jęłam go uczyć słowa „Afryka”. Afrykę przedstawiłam w postaci rzędu drzew palmowych tudzież lwa wędrującego między nimi. Czy moja Afryka odpowiadała tej, której wspomnienie nosił Piętaszek? Mocno w to wątpiłam. Niemniej napisałam A-f-r-y-k-a, a następnie pomogłam mu uformować litery. Teraz przynajmniej wiedział, że słowa bywają krótsze i dłuższe. Nauczyłam go pisać m-a-t-k-a (kobieta z dzieciątkiem na ręku) i wytarłszy tabliczkę, przystąpiłam do powtórki czterech naszych słów.

– Statek. – Pokazałam, że ma pisać. T-s-t-s-t-s nabazgrał, raz za razem, a może t-f; byłby zapisał całą tabliczkę, gdybym nie wyjęła mu rysika z ręki.

Długo, surowo weń się wpatrywałam, aż opuścił powieki i zamknął oczy. Czy to możliwe, by ktokolwiek,

choćby i najbardziej nieoświecony, bo od zarania żyjący w poddaństwie i niemocie, był równie głupi, jak się wydawał Piętaszek? Czy może w duchu śmiał się z mych wysiłków, gdy próbowała mu przybliżyć dar mowy? Wyciągnęłam rękę, ujęłam go pod brodę, obróciłam jego twarz ku sobie. Uniosły się Piętaszkowe powieki. Czy w najtajniejszych zakamarkach owych czarnych źrenic pobłyskiwała iskierka drwiny? Nie potrafiłam jej dostrzec. Aliści gdyby nawet tam się kryła, czy nie byłaby to iskierka afrykańska, ukryta przed moim angielskim okiem? Westchnęłam.

– Chodźmy, Piętaszku, pora wracać do naszego pana. Pokażemy mu, jak nam poszły nauki.

Było południe. Foe zastaliśmy ogolonego i w dobrym nastroju.

– Piętaszek nie myśli się uczyć – oznajmiłam. – Jeżeli do jego talentów prowadzi jakowaś furtka, ta furtka jest zamknięta albo też ja nie potrafię jej odnaleźć.

– Nie smuć się – odparł Foe. – Jeśli choć posiałaś ziarno, wystarczający to na razie postęp. Nie traćmy ducha: Piętaszek może nas jeszcze zadziwić.

– Wszak pisanie nie rośnie w nas jak kapusta, podczas gdy myślami błądzimy gdzie indziej – rzekłam z niejakim rozdrażnieniem. – Sztuki owej nie sposób osiąść bez długich ćwiczeń i dobrze pan o tym wie.

Foe zacisnął usta.

– Możliwe – przyznał. – Wszelako tak jak wiele jest rodzajów ludzi, tak i wiele jest rodzajów pisma. Nie osądź swego ucznia nazbyt pochopnie. Jego również może jeszcze odwiedzić muza.

Gdyśmy tak rozprawiali, Piętaszek usadowił się na macie, nadal dzierżąc tabliczkę. Spojrzałam mu przez ramię – wypełniał ją wzorem jakby z liści i kwiatów. Kiedym jed-

nak podeszła bliżej, owe liście okazały się oczami, otwartymi oczami, a każde oko umieszczone było na ludzkiej stopie: całe rzędy oczu na stopach: oczy wędrujące.

Sięgnęłam po tabliczkę, by ją pokazać Foe, lecz Piętaszek trzymał mocno.

– Oddaj! Oddaj mi tabliczkę, Piętaszku! – nakazałam. Za czym Piętaszek, miast mnie usłuchać, wetknął trzy palce do ust, zwilżył je śliną i wytarł tabliczkę do czysta.

Cofnęłam się ze wstrętem.

– Panie Foe, ja muszę odzyskać wolność! – wykrzyknęłam. – Przebrała się miarka! To gorsze niżli wyspa! On jest jak ów starzec nad rzeką!

Foe próbował mnie uspokoić.

– Starzec nad rzeką? Nie wiem, o kogo ci idzie.

– To taka historia, ot, historyjka, nic więcej – rzekłam.

– Pewien człowiek ulitował się raz nad starcem czekającym na brzegu i zaofiarował się przenieść go przez rzekę. Pokonawszy bez szwanku wezbrane wody, przyklękniętą, żeby postawić starca po drugiej stronie. Aliści ów ani myślał zejść mu z grzbietu: o nie, zacisnął kolana na szyi tragarza, jął bić go po bokach, krótko mówiąc, przedzierzgnął go w zwierzę juczne. Odbierał mu od ust każdy kęs i byłby go zajeździł na śmierć, gdyby człowiek ów nie uratował się podstępem.

– Teraz poznaję tę historię. To jedna z przygód Sindbada z Persji.

– Niech tak będzie: ja jestem Sindbadem z Persji, a Piętaszek tyranem, co jeździ na mym grzbiecie. Chodzę z nim, jem z nim, nie spuszcza mnie z oka, gdy śpię. Jeśli się od Piętaszka nie uwolnię, to się uduszę!

– Słodka moja Susan, powściągnij gniew. Twierdzisz, że to ty jesteś osłem, Piętaszek zaś jeźdźcem, lecz gdyby Piętaszek odzyskał język, na pewno by ci rzekł, iż rzecz

ma się wręcz odwrotnie. Bolejemy nad barbarzyństwem tych, co Piętaszka okaleczyli, ale czy my sami, później si jego panowie, nie mamy powodu odczuwać skrycie wdzięczności? Albowiem dopóki Piętaszek jest niemową, dopóty możemy sobie wmawiać, że jego pragnienia pozostają nam nieznanne, i dalej go wykorzystywać wedle własnej woli.

– Mnie Piętaszkowe pragnienia wcale nie są nieznanne. Piętaszek pragnie odzyskać wolność, jako i ja. Proste są nasze pragnienia, i jego, i moje. Jak atoli Piętaszka uwolnić, jego, co przez całe życie był niewolnikiem? Oto prawdziwe pytanie. Czy mam go puścić wolno w świat wilków i oczekiwać za to pochwały? Cóż to niby za wyzolenie, gdy człowieka odeślą na Jamajkę albo też wyrzucą za drzwi w noc, wetknąwszy do ręki szylinga? Czy nawet w rodzinnej Afryce zaznałby wolności, on, niemy i całkiem samotny? My wszyscy odczuwamy w sercu ciągoty, by żyć jako ludzie wolni; któż z nas jednak potrafi rzec, co to takiego prawdziwa wolność? Skoro się pozbędę Piętaszka, czy wówczas jej zaznam? Czy wolny był Kruzo, despotyczny i niepodzielny władca wyspy? Jeżeli tak, nie przyniosło mu to radości, a przynajmniej ja żadnej radości w nim nie czułam. Co zaś się tyczy Piętaszka, to jakże mu wiedzieć, co oznacza wolność, skoro w istocie rzeczy nie zna własnego imienia?

– Co oznacza wolność, Susan, nie potrzeba nam wiedzieć. Wolność to ledwie słowo, jak każde inne. To podmuch powietrza, siedem liter na tabliczce. To jeno nazwa: tak nazywamy owo pragnienie, o którym mówisz, pragnienie, by żyć jako ludzie wolni. Nas obchodzi pragnienie właśnie, nie nazwa. Jeżeli nawet nie umiemy wyrazić słowami, co to jest jabłko, nie znaczy to wcale, że nie wolno nam jabłka zjeść. Wystarczy, że znamy nazwy swo-

ich potrzeb i potrafimy ich użyć, aby owe potrzeby zaspokoić, jako używamy monet, by kupić stawę, gdy zgłodniejemy. Zaiste skromne to zadanie nauczyć Piętaszka takiego języka, jaki służyć będzie jego potrzebom. Nikt od nas nie wymaga, iżbyśmy zrobili Piętaszka filozofem.

– Mówisz tak, panie Foe, jak mówił Kruzo, gdy uczył Piętaszka rozumieć „przynieś” i „kop”. Lecz podobnie jak nie istnieją dwa rodzaje ludzi: Anglicy i barbarzyńcy, tak i ciągot Piętaszkowego serca nie wyrażą słowa „przynieś”, „kop” ani „jabłko”, ani nawet „statek” i „Afryka”. Zawsze będzie w nim naszeptował jakowyś głos, głos pełen wątpliwości wyrażanych czy to słowami, czy bezmiejnymi dźwiękami, czy też melodią lub tonem.

– Gdy się poświęcimy odnajdywaniu dziur ukształtowanych dokładnie tak, by pomieścić owe wielkie słowa: „wolność”, „honor”, „szczęście”, wówczas zgoda, całe życie będziemy się ślizgać, obsuwać i wciąż poszukiwać, a wszystko na próżno. Słowa to bezdomne, to wędrowcy, niczym planety, i na tym koniec. Aliści musisz samą siebie zapytać, Susan: skoro fortem handlarza żywym towarem było pozbawienie Piętaszka języka, czy za równie niegodziwy fortel nie można uznać utrzymywania Piętaszka w zależności, podczas gdy my tu czepiamy się słówek w dyspucie, która, jak dobrze wiemy, nie ma końca?

– Piętaszek nie bardziej jest zniewolony aniżeli mój cień, gdy ów wszędzie za mną chadza. Wolny nie jest, lecz nie jest też od nikogo zależny. Wobec prawa jest swym własnym panem i był nim od śmierci Kruzo.

– Niemniej to Piętaszek za tobą chodzi, nie ty za Piętaszkiem. Słowa, któreś napisała i zawiesiła mu na szyi, głoszą, że został wyzwolony; kto jednak, kiedy spojrzy na Piętaszka, da im wiarę?

– Nie trzymam niewolników, panie Foe. Przeto nim sobie pomyślisz: „Oho, mówi niczym prawdziwa biała pani z plantacji!”, lepiej się wprzód zastanów. Dopóki zatykasz uszy na moje słowa, żadnemu z nich nie dowierzając, bo to słowa z języka niewolnictwa, słowa zatrute, czy traktujesz mnie choć trochę lepiej, niż handlarze żywym towarem potraktowali Piętaszka, gdy pozbawili go języka?

– Ciebie, Susan, za nic na świecie nie pozbawiłbym języka. Zostaw tu Piętaszka do wieczora. Idź na spacer. Przewietrz się trochę. Pooglądaj widoki. Ja niestety tkwię tutaj w zamknięciu. Bądź mym szpiegiem. Po powrocie mi opowiesz, jak się toczy ten świat.

Poszłam tedy na przechadzkę i w ulicznym zgiełku jęłam odzyskiwać dobry humor. Wiedziałam, że niesłusznie winą za swój stan obarczam Piętaszka. Jeżeli nie był niewolnikiem, czy mimo to nie pozostał bezradnym jeńcem mego pragnienia, by ktoś opowiedział naszą historię? Czymże się różnił od dzikiego Indianina z tych, których przywożą ze sobą eksploratorzy wraz z ładunkiem papug, złotych bożków, indygo i skór panter, na dowód, że istotnie odwiedzili Amerykę? I czy sam Foe nie jest poniekąd jeńcem? Brałam go za naturę opieszalą. Aliści czy nie mogło się zdarzyć, iż w rzeczywistości mozolił się przez tyle miesięcy, usiłując poruszyć głaz tak ciężki, że nie zdołałby tego dokonać żaden z żyjących; czy nie mogło się zdarzyć, iż stronice wychodzące spod jego pióra nie zawierały błahych opowiastek o kurtyzanach i grenadierach, jako przypuszczałam, lecz wciąż tę samą historię, powtarzaną bez końca, w jednej wersji po drugiej, za każdym razem poronioną: historię wyspy, równie martwą, gdy powstawała z jego ręki, jak i z mojej?

– Panie Foe – rzekłam – podjęłam decyzję.

Wszelako mężczyzna siedzący za stołem to nie był Foe. Był to Piętaszek, odziany w togę Foe i w jego peruce na głowie, peruce brudnej niby ptasie gniazdo. W dłoni, zawisłej nad papierami Foe, dzierzył pióro: na czubku lśniła kropla czarnego atramentu. Krzyknęłam i skoczyłam ku niemu, by mu je wyrwać. Aliści w tejże chwili ozwał się Foe, polegający w łóżku.

– Zostawże go w spokoju, Susan – rzekł znużonym głosem – właśnie się przyzwyczajają do swych narzędzi. To należy do nauki pisania.

– Powala pańskie papiery! – wykrzyknęłam.

– Moje papiery dość już są plugawe, on nie może powalać ich bardziej. Chodź, usiądź tu przy mnie.

Usiadłam więc obok Foe. W bezlitosnym świetle dnia nie mogłam nie zauważyć niechlujnej pościeli, w której spoczywał, jego długich brudnych paznokci, obwisłych worów pod oczami.

– Stara kurwa – Foe jak gdyby czytał mi w myślach – stara kurwa, która powinna uprawiać swą profesję tylko pod osłoną ciemności.

– Niechże pan tak nie mówi – sprzeciwiłam się. – Nie jest kurewstwem podejmowanie cudzych historii i zwracanie ich światu w lepszym przyodziewku. Jeśliby nie było autorów gotowych pełnić takowe posługi, jakżeby zbiedniał świat. Mam pana przekląć i nazwać kurwą za to, żeś mnie powitał mile, wziął w objęcia i przyjął moją historię? Dał mi pan dom, kiedyś nie miała żadnego. Myślę o panu jak o kochance, a nawet, jeśli się ośmielę wymówić to słowo, jak o żonie.

– Zanim nazbyt swobodnie się zdeklarujesz, Susan, przekonaj się wpierw, jaki rodzę owoc. A skoro już mowa o rodzeniu, czy nie przyszła pora, abyś mi rzekła prawdę o twym własnym dziecku, o córce postradanej w Ba-

hii? Czyś rzeczywiście ją urodziła? Czy córka twoja istotą jest z krwi i kości, czy jeno kolejną historią?

– Odpowiem, lecz nie wcześniej, niż pan mi odpowie: ta dziewczyna, którą pan mi posyła, dziewczyna, która nazywa się mym imieniem... czy ona jest istotą z krwi i kości?

– Dotykasz jej; obejmujesz ją; całujesz. Miałabyś chelność twierdzić, że tym nie jest?

– Ależ jest, jako z krwi i kości jest moja córka i ja sama; pan także jest z krwi i kości, nie mniej i nie więcej aniżeli ktokolwiek z nas. Wszyscyśmy żywi, wszyscyśmy z krwi i kości, wszyscy na tym samym świecie.

– Nie wymieniłaś Piętaszka.

Obróciłam się ku Piętaszkowi, wciąż zajętemu pisaniem. Papier, który miał przed sobą, mocno był pomazany, jak gdyby ręką dziecka nienawykłego do pióra, widniało tam atoli pismo, coś na kształt pisma: całe rzędy litery „o”, kreślonej ciasno jedna obok drugiej. Przy łokciu Piętaszka leżała druga kartka, cała zapisana; na niej dokładnie to samo.

– Czy Piętaszek uczy się pisać? – zapytał Foe.

– On już pisze... poniekąd pisze – odparłam. – Pisze literę „o”.

– To początek – rzekł Foe. – Jutro musisz go nauczyć „a”.

IV

Schody ciemne są i odrapane. Na podeście potykam się o ciało. Nie porusza się, nie wydaje żadnego dźwięku. Przy świetle zapalki dostrzegam, że to kobieta albo dziewczyna: podkulone nogi schowane pod długą szarą suknią, ręce założone pod pachy; a może członki ma nie-naturalnie krótkie, niedorozwinięte członki kaleki? Twarz spowija szary wełniany szal. Zaczynam go odwijać, ale szal jest bez końca. Głowa zwisa bezwładnie. Dziewczyna waży nie więcej niż worek słomy.

Drzwi nie są zamknięte. Pokój zalewa światło księżycyca wpadające przez jedyne okno. Po podłodze coś prędko przemyka, mysz albo szczur.

Leżą obok siebie na łóżku, nie dotykają się. Skóra, sucha jak papier, ciasno opina kości. Ściągnięte wargi odsłaniają zęby, co sprawia wrażenie uśmiechu. Oczy mają zamknięte.

Unoszę przykrycie, wstrzymuję oddech, spodziewam się jakiegoś poruszenia, kurzu, rozkładu; lecz spoczywają spokojnie, on w nocnej koszuli, ona w koszulce. Czuć nawet słaby zapach bzu.

Zasłona odgradzająca alkowę drze się przy pierwszym pociągnięciu. W kącie zalega głęboka ciemność; w powietrzu wypełniającym ten pokój zapalki nie chcą się palić. Przyklęknąwszy, macając na oślep, odnajduję męzczyznę

imieniem Piętaszek: leży na plecach, wyciągnięty jak długi. Dotykam jego stóp, twardych jak drewno, sunę dłonią wyżej, po miękkiej, ciężkiej materii otulającej ciało, aż do twarzy.

Chociaż skórę ma ciepłą, muszę chwilę poszukać, aż wreszcie wyczuwam tętno na szyi. Jest słabe, jakby serce biło gdzieś daleko. Pociągam go lekko za włosy. Istotnie przypominają jagnięce runo.

Zęby ma zaciśnięte. Wpycham paznokcie pomiędzy górny a dolny rząd, usiłuję je rozewrzeć.

Kładę się obok niego na podłodze, twarzą w dół: w nozdrza uderza zapach zastarzałego kurzu.

Po długiej chwili, tak długiej, że może nawet zdążyłem zasnąć, on się porusza, wzdycha, odwraca się na bok. Odgłos, który przy tym wydaje jego ciało, jest cichy i suchy, jak gdyby liście spadały na liście. Unoszę rękę do jego twarzy. Zęby się rozchylają. Przysuwam się bliżej, czekam z uchem tuż przy jego ustach.

Z początku nie słycać nic. Później, jeżeli uda mi się nie zważać na bicie własnego serca, zaczynam wyłaniać najcichszy, odległy szum: tak jak to ona powiedziała, szum fal w muszli. A ponad tym szumem, jakby ktoś raz czy dwa dotknął struny skrzypiec, zawodzenie wiatru i krzyk ptaka.

Jeszcze bliżej się przysuwam, próbuję usłyszeć inne dźwięki: ćwierkanie wróbli, łomot oskarda, czyjeś wołanie.

Z jego ust, bez tchu, dobywają się odgłosy wyspy.

Przy narożniku domu, nieco wyżej niż na wysokości głowy, jest przybita do ściany tabliczka. *Daniel Defoe, pisarz*, brzmią słowa: białe litery na niebieskim tle, po-

nizej jeszcze jakiś napis, drukiem zbyt drobnym, nie do odczytania.

Wchodzę. Chociaż jest jasny jesienny dzień, w te mury światło nie przenika. Na podeście potykam się o ciało, lekkie jak słoma ciała kobiety albo dziewczyny. W pokoju zalega mrok głębszy niż przedtem. Lecz macając wzdłuż gzymsu kominka, znajduję ogarek świecy i go zapalam. Pali się mętnym błękitnym płomieniem.

Ci dwoje na łóżku leżą twarzą w twarz, jej głowa w zgięciu jego ramienia.

W alkowie Piętaszek odwrócił się do ściany. Na jego szyi – czego wcześniej nie zauważyłem – widać bliznę na kształt naszyjnika, pozostawioną przez sznur bądź łańcuch.

Stół jest pusty, jeśli nie liczyć dwóch zakurzonych talerzy i kufła. Na podłodze stoi skrzynka na papiery, z mosiężnymi zawiasami i zamkiem. Przenoszę ją na stół, otwieram. Pożółkła kartka na samym wierzchu kruszy się w równiutką półksiężyc, kiedy jej dotykam kciukiem. Przysunawszy bliżej świecę, odczytuję pierwsze słowa skreślone wysokim, pochyłym pismem: „Szanowny panie Foe, w końcu nie mogłam już dłużej wioślować”.

Z westchnieniem, z cichutkim pluskiem zsuwam się za burtę. Łódź, porwana prądem, odpływa, podskakując na falach, wabiona na południe ku królestwu wielorybów i wiecznego lodu. Wokół mnie unoszą się na wodzie płatki, które rozrzucił Piętaszek.

Kieruję się w stronę ciemnych urwisk wyspy, lecz nogę muska coś ciężkiego i nieruchawego, coś mnie gładzi po ręce. Jestem w ogromnej kępie wodorostów: liście wznoszą się i opadają w rytmie falującego morza.

Z westchnieniem, z cichutkim pluskiem zanurzam głowę pod wodę. Chwytając się łodyg, pomalą sunę coraz głębiej. Płatki pływają naokoło mnie jak śnieżna ulewa.

Mroczny masyw wraku tu i tam znaczą białe cętki. Jest olbrzymi, większy od samego lewiatana: kadłub bez masztów, rozłupany przez środek, ze wszystkich stron obramowany ławicami piasku. Drewno szerniało, jeszcze czarniejsza jest dziura, która prowadzi do wnętrza. Jeżeli gdzieś się czai kraken, to czai się właśnie tutaj, spogląda lodowatymi, przymrużonymi podmorskimi oczyma.

Wokół moich stóp z wolna unosi się i kłębi piasek. Nie widać rojów małych barwnych rybek. Wchodzę do dziury.

Jestem pod pokładem, pod nogami mam lewą burtę. Posuwam się naprzód, czepiając rozmokłych belek i podpór. Na sznurku u szyi wisi ogarek świecy. Trzymam go przed sobą jak talizman, choć nie daje światła.

Drogę tarasuje coś miękkiego, być może rekin, martwy rekin porośnięty gąbczastymi morskimi kwiatami, albo też ciało strażnika otulone zbutwiałą tkaniną, obracające się raz za razem, bez końca. Przełazę obok niego na czworakach.

Nie sądziłem, że morze bywa brudne. Jednakże piasek pod moimi dłońmi jest miękki, przesiąknięty wilgocią, oślizły, nieomywany krążącymi wodami. Przypomina błoto Flandrii, w którym teraz spoczywają całe pokolenia martwych grenadierów, wdeptanych w ziemię, ułożonych jakby do snu. Jeśli nieruchomieję dłużej niż na chwilę, zaczynam tonać, cal po calu.

Docieram do przegrody i do schodni. Drzwi na końcu schodni są zamknięte; kiedy jednak napieram na nie ramieniem, ściana wody ustępuje, teraz mogę wejść.

To nie kabina kąpielowa na lotnisku. W mrocznej przestrzeni tej kajuty woda trwa nieruchoma i zamarła, woda ta sama co wczoraj, co przed rokiem, co trzysta lat temu. Susan Barton i martwy kapitan – grubi jak świnie w tych

swoich białych nocnych koszulach, kończyny sterczą im sztywno z ciała, ręce pomarszczone od tak długiej kąpie-li wyciągają się w geście błogosławieństwa – Susan Barton i martwy kapitan unoszą się na kształt gwiazd pod niskim stropem. Przeczolguję się pod nimi.

W ostatnim kącie odnajduję Piętaszka. Tkwi na wpół zagrzebany w piasku, z podciągniętymi kolanami, z rękoma wetkniętymi między uda.

Pociągam go za wełniste włosy, dotykam łańcucha na jego szyi.

– Piętaszku – mówię, próbuję mówić, przyklękając nad nim, zapadając się dłońmi i kolanami w szlam – co to za statek?

To jednak nie miejsce dla słów. Każdą wypowiedzianą sylabę woda natychmiast porywa, wypełnia, rozprasa. Tutaj ciała same dla siebie są znakami. To dom Piętaszka.

Piętaszek się odwraca, odwraca bez końca, aż wreszcie leży wyciągnięty jak długi, z twarzą tuż obok mojej twarzy. Skóra napina mu się na kościach, wargi ma ściągnięte. Przesuwam paznokciem po zębach, próbuję się dostać do środka.

Otwierają się jego usta. W głębi wzbiera powolny strumień: wypływa bez tchu, bez przerwy. Przepląwa na wskroś jego ciało i wylewa się na mnie, płynie przez kajutę, płynie przez wrak; omywając urwiska i plaże wyspy, toczy się na północ i na południe, aż po krańce ziemi. Miękki i zimny, mroczny i nieskończony bije o moje powieki, o skórę mojej twarzy.